

FANTASY & SF

CLIFFORD D. SIMAK
ZDOBYWCA GRAND MASTER NEBULA

ZASADA WILKOŁAKA

BYĆ CZŁOWIEKIEM. CO TO WŁAŚCIWIE OZNACZA?



PHANTOM PRESS

Spis treści

Karta tytułowa

.. 1 ..

.. 2 ..

.. 3 ..

.. 4 ..

.. 5 ..

.. 6 ..

.. 7 ..

.. 8 ..

.. 9 ..

.. 10 ..

.. 11 ..

.. 12 ..

.. 13 ..

.. 14 ..

.. 15 ..

.. 16 ..

.. 17 ..

.. 18 ..

.. 19 ..

.. 20 ..

.. 21 ..

.. 22 ..

.. 23 ..

.. 24 ..

.. 25 ..

.. 26 ..

.. 27 ..

.. 28 ..

.. 29 ..

.. 30 ..

.. 31 ..

.. 32 ..

.. 33 ..

.. 34 ..

.. 35 ..

Clifford D. Simak

ZASADA

WILKOTAKA

Tłumaczenie:

Anna Berg

PHANTOM
P R E S S

1993

.. 1 ..

Stworzenie przystanęło, pochyliło się nisko, prawie do ziemi, i zaczęło wpatrywać się w punkciki słabego światła na horyzoncie. Chciało nasycić się jego blaskiem, uczynić je tarczą przeciw wszechogarniającym ciemnościom.

Zaskowyczało niespokojne, niemal przerażone.

Świat był zbyt gorący i mokry, ciemności zbyt gęste, by je przeniknąć wzrokiem. Planeta pulsowała życiem, bujnym i niepohamowanym, atmosfera drgała gwałtownie i nieprzerwanie. A jednak nie było to życie doskonałe. Może dlatego dźwięki wokół zlewały się niby w jeden jęk agonii, a niskie, przeciągłe wycie, dochodzące z oddali, brzmiało jak bezsłowna skarga. Rozmyte ogniki migotały słabo, czasami błysnęły żywym światłem, ale były zbyt odległe, nie mogły rozproszyć mroków wszechpotężnej nocy. A ponadto wszędzie to istnienie, przekraczające swą intensywnością prawa jakiegokolwiek materii, odpowiadające słabymi reakcjami na nieliczne odpowiednie bodźce.

Może, mówiło sobie stworzenie, nie powinno było tak usilnie starać się wydostać. Może powinno było pozostać, zadowolone z tego bezimiennego miejsca, gdzie pozbawione było istnienia, a nawet sensu czy poczucia istnienia, wspomnień o nim. Wszystko zastępowała wiedza, niejasna i zachowana z nieznannej przeszłości, że istnieje stan zwany "istnieniem". Rzadkie błyski inteligencji, oderwane szczątki przypadkowych informacji pchnęły je do zmagania o wolność. Musiało uciec i stać się indywidualnym bytem, móc wreszcie sprawdzić, gdzie było, jak

się tu dostało i po co.

Wtedy to było oczywiste, ale teraz?

Przylgnęło do ziemi, skowycząc jeszcze żałośniej.

Jak w jednym miejscu mogło być tak dużo wody? Takie mnóstwo roślinności i burzliwe przemieszczanie się elementów? Ten chaotyczny świat, wypełniony bezładnym pędem i hałasem, był niewiarygodny w swym istnieniu. A jednak musiał istnieć, skoro tutaj się znalazło. W zdumieniu patrzyło na wodę, świętokradczo zajmującą przestrzeń, bezkarnie spływającą widocznymi strumieniami ze zboczy, zatrzymującą się w każdym zagłębieniu, tworząc kałuże i miniaturowe stawiki. Pozwoliła sobie nawet wtargnąć do atmosfery, żeby spadać z nienacką na ogłupiałe formy istnienia.

Wokół szyi miało okręcony koniec nieznanego tworzywa, reszta długiej tkaniny ciągnęła się wzdłuż grzbietu i opadała w błoto, raz po raz szarpana podmuchami gwałtownego wiatru. Czyżby to miało służyć za rodzaj nieznaną osłony? Nie wyglądało na tak wiele, nie chroniło, tylko przeszkadzało. Zresztą, nigdy przedtem stworzenie nie potrzebowało zabezpieczeń, wystarczyła mu gruba warstwa srebrzystego futra na grzbiecie.

Przedtem - zastanowiło się. Przed czym? Kiedy? Ze wszystkich sił wyęczało nadwerężony intelekt, próbowało zatrzymać niewyraźne wspomnienia. Stale powracało niejasne wyobrażenie majestatycznie nieruchomego lądu, zimnego i suchego powietrza, chmur śniegu i piasku podrywanych silniejszymi podmuchami, nocnego nieba rozświetlonego milionami gwiazd tak jasno, jak łagodną poświatą księżyców w dzień. Jeszcze jeden obraz powracał natrętnie, wdzierał się do mózgu i zakłócał przyjemne wspomnienia: niezrozumiały krok w

przestrzeń, nie wyjaśniona wyprawa w ciemność, by badać sekrety gwiazd.

Ale czy to naprawdę pochodziło z pokładów pamięci, czy nie było wytworem rozszalałej wyobraźni, zrodzonym w tym bezimiennym miejscu, z którego stworzenie zdołało się wyrwać? Nie miało możliwości, by to sprawdzić.

Stańto, wyciągnęto ramiona i zebrało tkaninę wlokącą się po ziemi. Trzymając przed sobą mokre zwoje materiału, patrzyło, jak drobne krople wody spadają w kałuże, rozpryskują się i toną.

Te światła z przodu, niedaleko? To nie mogą być gwiazdy, są zbyt nisko nad ziemią. W dodatku tej nocy wcale nie było gwiazd. Sam ten fakt był w najwyższym stopniu niezrozumiały: jak mogło nie być gwiazd, skoro one są zawsze?

Ostrożnie postąpiło kilka kroków naprzód. Oprócz obrazu nieruchomych światel mózg zaczęły bombardować sygnały z podświadomości. Uważnie zbadało informacje o obecności minerału i wywnioskowało, że stoi on w mroku w postaci dużego bloku skalnego o kształtach tak regularnych, że nie mogła ich wyrzeźbić natura.

Przestrzeń wokół nieprzerwanie pędziła na oślep wypełniona oszalałymi odgłosami życia, rozświetlana na ułamki sekund blaskami pojedynczych światełek, które tylko podkreślały złowrogość zasnutego czarnymi chmurami nieba.

Zastanowiło się, czy ma nadal tak krążyć dookoła źródeł skupionej energii, czy może zbliżyć się do nich ruchem spiralnym? Czy nie lepiej byłoby od razu dostać się do nich i sprawdzić, czym były w rzeczywistości? A może na odwrót, powinno odnaleźć swe ślady i powrócić do bezimiennej pustki, z której tak nierozważnie uciekło, zrezygnowało z osłony, jaką dawała nicość? Pomimo chęci nie mogło wybrać tego

rozwiązania, bo nie było sposobu na odnalezienie przyjaznej nicości. Już w chwilę po uwolnieniu tajemnicza pustka zniknęła, miejsce nieistnienia samo zanurzyło się w niebyt. Stworzenie wędrowało już zbyt długo od tego czasu, zostawiło jedyne znajome miejsce daleko za sobą.

Gdzie były tamte dwa, stłoczone z nim w nicość? Czy tak jak i ono zdołały wyrwać się z tego miejsca, a może pozostały, intuicyjnie wyczuwając obcość rozciągającą się na zewnątrz, atakującą okrutnie, wyniszczającą, pozbawiającą najdrobniejszego wrażenia pewności. A jeżeli nie uciekły, to gdzie są teraz?

Nie tylko gdzie, ale przede wszystkim kto?

Dlaczego nigdy nie odpowiedziały na jego pytania, a może po prostu nie słyszały go? Może w tym bezimiennym miejscu nie było odpowiednich warunków na stawianie pytań i domaganie się odpowiedzi? Wielokrotnie myślało, że to bardzo dziwne - zajmować tę samą przestrzeń, mieć tę samą świadomość możliwości istnienia wespół z dwoma innymi bytami i nie być w stanie skontaktować się z nimi.

Pomimo ciepła nocy dygotało z zimna, które nosiło w sobie. Powtarzało sobie, że nie może tu zostać, ale nie może też błąkać się bez końca. Musi znaleźć jakieś schronienie, miejsce, by wreszcie odpocząć. Z drugiej strony, jak dotąd nie potrafiło zrozumieć, czy i gdzie możliwe jest znalezienie schronienia w tym nie uporządkowanym, chaotycznym świecie.

Powoli posuwało się do przodu, niepewne swych poczynań, nie wiedząc, gdzie iść ani co robić.

Światła - zastanowiło się. Powinno zbadać światła, czy też raczej...

Nagle eksplodowało niebo i wypełniło świat swą błękitną

jasnością. Stworzenie straciło wszystkie zmysły, oślepienie odskoczyło do tyłu, mózg porażał mu tak wielki strach, że aż musiało wyrazić go w dzikim, przeciągłym wyciu. Ciemności powróciły równie nagle, jak pojawił się blask. Stworzenie urwało krzyk przerażenia i bez wysiłku powróciło do stanu nieistnienia.

.. 2 ..

Deszcz zacinał Andrew Blake'owi w twarz, ziemia drżała, a w powietrzu, które w wielkich masach przewalało się nad jego głową, słyhać było jeszcze pomruki oddalającej się burzy. Blake wyczuwał w atmosferze ostry zapach ozonu. Szedł, a mokry, zimny piach przesuwiał się pod jego bosymi stopami.

Jak się tu znalazł, na zewnątrz pośród ulewy i piorunów? Dlaczego nie miał sandałów i przykrycia na głowę, a jego ubranie było przemoczone do cna, aż woda spływała z niego strumieniami?

Po kolacji wyszedł na chwilę na werandę, by popatrzeć na czarne chmury zbierające się nad zachodnim pasem gór i zwiastujące mocną ulewę, i teraz - w chwilę później - sam znalazł się pośród tej ulewy, a przynajmniej miał nadzieję, że jest to ten sam deszcz i burza.

Wicher szarpał korony drzew, świstał wśród gałęzi. Blake, stojąc u stóp góry, słyszał szum wody spływającej ze zbocza. Po drugiej stronie wezbranego strumyka spostrzegł rozświetlone okna jakiegoś domu.

Zamroczony, w pierwszym odruchu pomyślał, że to jego dom. Nie, w pobliżu jego domu nie było zbocza tak gęsto porośniętego drzewami ani strumienia. Były drzewa, ale znacznie mniej, a poza tym powinny być inne domy. Ten stał samotnie.

Ze zdumieniem potrząsnął głową, wyciągnął ręce i drżącymi palcami wyciskał wodę z włosów, nie zważając na to, że spływa mu po twarzy i zalewa oczy.

Deszcz, który ustał na chwilę, zaczął zacinać teraz ze zdwojoną

siłą, i to ostatecznie przesądziło - Andrew z determinacją skierował się w stronę domu. Oczywiście, że to nie jego dom, ale każdy dom był wystarczająco dobry, aby dowiedzieć się od mieszkańców, gdzie się znajduje i...

Powiedzą mu, gdzie jest? Chwileczkę, to przecież czyste szaleństwo! Przed sekundą stał na własnej werandzie i oglądał nadciąganie ciężkich chmur burzowych, przed sekundą nie spadła jeszcze ani jedna kropla deszczu.

To musi być koszmarny sen albo bardzo sugestywna halucynacja. Ale deszcz przeinaczający go do cna i zapach ozonu w powietrzu są z pewnością rzeczywiste - czy ktokolwiek mógłby wąchać ozon we śnie?

Idąc w stronę domu, nadepnął prawą nogą na jakiś twardy przedmiot. Poczul, jak ból przeszywa mu stopę i rozchodzi się wzdłuż całej kończyny.

Odruchowo podniósł zranioną nogę i skacząc na drugiej, wymachiwał obolałą kończyną w powietrzu. Po chwili zlokalizował rwący ból w dużym palcu.

Lewa noga obsunęła mu się nagle w błocie i z impetem usiadł, rozpryskując wokół wodę i grudki błota. Ziemia była zimna i mokra.

Pozostał w tej pozycji. Mógł teraz podciągnąć bliżej prawą nogę i delikatnie zbadać palcami ranę.

Wystarczająco dobitny dowód, że to nie sen. We śnie człowiek tak bezmyślnie nie rozciąłby sobie palca.

Coś się wydarzyło. Nieświadomie, w ułamku sekundy, został przez nieznaną siłę przeniesiony o dziesiątki mil od swego domu. Przeniesiony i pozostawiony w ulewie, przy grzmocie piorunów i wśród nocy tak ciemnej, że nie widział nic o krok.

Ponownie pomacał zranione miejsce: ból trochę zmalał. Wstał

ostrożnie i delikatnie postawił zranioną stopę. Mógł iść utykając, uważnie stawiać prawą nogę, zwracając palce ku górze.

Kulejąc, potykając się i ślizgając w błocie, doszedł do strumienia, przeszedł przez wodę sięgającą mu do kostek i zaczął wspinać się ku domowi.

Błyskawica przecięła horyzont. W jej świetle spostrzegł masywną bryłę domu z ciężkimi kominami, o oknach osadzonych głęboko w kamieniu.

Kamienny dom! Anachronizm. Kto dzisiaj żyje w kamiennych budowlach?

Wolno dotarł do ogrodzenia. Szedł miarowo i unikał urazów w skaleczony palec. Miał nadzieję, że trzymając się płotu, nawet w tych ciemnościach zdoła odnaleźć bramę. Natrafił na furtkę i zauważył trzy małe świetlne trójkąty. Domyślił się, że tam muszą znajdować się drzwi.

Poczuł pod stopami płaskie, równo ułożone kamienie i szedł odrobinę pewniej. Przy drzwiach zwolnił; nie unosił nóg, ale przesuwał je po powierzchni chodniczka. Obawiał się, że natrafiając na schody, ponownie się urazi. Teraz dbał tylko o swoją stopę.

Rzeczywiście - były stopnie. Trafił na nie dokładnie tak, jak nie chciał. Stał sztywny, drżąc i zaciskając zęby, przeczekując falę najsilniejszego bólu. Wspiął się na schody i zlokalizował dotykiem drzwi. Pomimo starań nie mógł odnaleźć przycisku dzwonka. W końcu wymacał kołatkę.

Nie zdziwił się zbyt - był to przecież kamienny dom i kołatka pasowała do tego staroświeckiego stylu. Dom tak mocno wrośnięty w przeszłość...

Ogarnął go paniczny strach. Nie przestrzeń, lecz czas - pomyślał. Jeżeli w ogóle był przeniesiony, to może w czasie, a nie

w przestrzeni?

Drżącą ręką uniósł kołatkę i zastukał do drzwi. Czekał, ale żaden odgłos z wnętrza nie wskazywał na to, że go usłyszano. Zastukał ponownie.

Na ścieżce za nim rozległ się zgrzyt szybkich kroków. Odwrócił się i został oślepiony stożkiem jasnego światła. Postać z latarką znieruchomiała. Po chwili oczy Andrew przystosowały się na tyle, że mógł rozróżnić ciemniejszą sylwetkę mężczyzny na tle nieba. Jednocześnie za jego plecami otworzyły się drzwi domu i smuga światła z wnętrza rozjaśniła fragment podwórza. Mógł lepiej widzieć człowieka z latarką, ubranego w kożuch z owczych skór, spod którego wystawał materiał w kratę. W drugiej dłoni mężczyzna trzymał metalowy przedmiot, w którym Blake rozpoznał pistolet. Drugi mężczyzna, ten, który otworzył drzwi, zapytał ostro:

- Co tu się, u diabła, dzieje?

- Ktoś próbował dostać się do środka, senatorze - odpowiedział człowiek z latarką. - Widocznie udało mu się przemknąć obok mnie...

- Przemknął - przerwał mu senator - bo cię tu wcale nie było. Poszedłeś gdzieś ukryć się przed deszczem. Jeśli pracujesz tu jako strażnik i płacę ci za to, wymagam, byś czasami robił to, co do ciebie należy.

- Było bardzo ciemno - próbował protestować strażnik - i dlatego on się prześliznął...

- Ja bym tego tak nie nazwał - triumfował senator. - On zwyczajnie przyszedł i zastukał kołatką. Ktoś próbujący prześliznąć się ukradkiem nie puka do drzwi. Przyszedł niby z wizytą, a ty go nie widziałeś.

Blake odwrócił się w stronę gospodarza domu.

- Przepraszam - powiedział. - Przykro mi, że wprowadziłem takie zamieszanie. Doprawdy, nie wiedziałem, nie miałem zamiaru. Po prostu zobaczyłem dom i chciałem...

- To nie o to chodzi - przerwał mu strażnik. - Senatorze, dzisiaj wieczorem działo się tu wiele dziwnych rzeczy. Parę minut temu widziałem wilka...

- Tu nie ma wilków - odpowiedział chłodno senator. - Na Ziemi obecnie w ogóle nie ma wilków. Już od ponad stu lat.

- Ale ja naprawdę widziałem wilka - upierał się strażnik. - Spostrzegłem go, kiedy był ten silny błysk i grzmoty, tam, po drugiej stronie strumienia, na zboczu.

- To ja pana przepraszam - zwrócił się senator do Blake'a - że trzymam pana na tym deszczu i zimnie. W taką noc trudno wytrzymać na dworze.

- Sądzę, że się zgubiłem - Blake próbował wyjaśnić swoją obecność, nie szczękając jednocześnie zębami. - Gdyby mógł mi pan powiedzieć, gdzie się znajdujemy, i wskazać drogę do...

- Wyłącz latarkę - powiedział senator do strażnika - i wracaj do pracy...

Stożek światła znikł.

- A to dobre - wilki - powiedział senator w rozdrażnieniu. Potem dodał, już do Blake'a: - Jeśli pan wejdzie, będę mógł zamknąć drzwi.

Blake posłusznie postąpił naprzód do ciepłego wnętrza. Znalazł się w dużym holu; w ścianie naprzeciwko wykute były wysokie drzwi, prowadzące do pokoju, gdzie w wielkim kamiennym kominku wesoło płonął ogień. Zdobione sztychami pomieszczenia pełne były ciężkich mebli w kolorze orzechowym.

Senator podszedł i zaczął przyglądać się przybyszowi,

- Nazywam się Andrew Blake - przedstawił się

niespodziewanie gość. - Obawiam się, że zabrudzę panu podłogę.

Woda spływała z ubrania Andrew i tworzyła kałuże na podłodze, od drzwi prowadziły ślady jego mokrych stóp.

Senator był wysokim, szczupłym mężczyzną, miał gładko uczesane szpakowate włosy i srebrne wąsy, pod którymi widoczny był zarys silnej kwadratowej szczęki. Miał na sobie białą, długą szatę, ozdobioną jedynie na brzegach purpurowym motywem roślinnym.

- Wygląda pan jak tonący szczur - senator pozwolił sobie na szczerą uwagę. - Przepraszam, jeśli pana uraziłem. Zgubił pan sandały.

Otworzył jedną z bocznych szaf i ze sterty ubrań wyjął grubą, brązową szatę.

- Proszę. - Podał ją Blake'owi. - To powinno być dobre. Prawdziwa wełna. Przypuszczam, że jest panu zimno.

- Tylko trochę. - Andrew próbował opanować szczękanie zębów, aż rozbolała go żuchwa.

- Wełna pana rozgrzeje. - Senator wnioskował nie ze słów, lecz z tego, co widział. - Nieczęsto spotykana. Teraz wszystko wyparły syntetyki. Kupiłem to od pewnego szkockiego górala, nieszkodliwego, trochę postrzelonego konserwatysty. Myśli bardzo podobnie jak ja, że kultywowanie tradycji to cnota.

- Z pewnością ma pan rację - Andrew próbował być miły.

- Weźmy na przykład ten dom - ciągnął senator. - Zbudowany trzysta lat temu i zachowany w stanie prawie nienaruszonym. Solidna robota prawdziwych robotników. Materiałem było prawdziwe drewno i kamień, nie tak, jak to dzisiejsze... - Bystro spojrzał na Blake'a. - Ja się tutaj rozgadałem, a pan powoli zamarza. Proszę iść tymi schodami na prawo, a potem w pierwsze drzwi na lewo, do mojego pokoju. Sandały znajdzie pan

w regale, spodnie także. Przypuszczam, że pańskie są zupełnie przemoczone.

- Też tak sędzę - odparł Blake.

- W porządku, proszę wziąć z bieliźniarki wszystko, czego pan potrzebuje. Drzwi z pokoju prowadzą do łazienki; nie zaszkodzi panu dobry, gorący prysznic. Ja w tym czasie poproszę, aby Elaine przygotowała nam kawę, i otworzę butelkę brandy...

- Proszę nie robić sobie kłopotu. - Blake był zaskoczony gościnnością gospodarza. - Tak wiele pan dla mnie zrobił...

- Ależ, o czym my mówimy? Cieszę się, że wpadł pan do nas.

Niosąc ofiarowane mu ubranie, Blake wszedł na piętro do pokoju na lewo. Przez otwarte drzwi wewnątrz połyskiwała biel łazienki. Musiał przyznać, że gorąca kąpiel była wyśmienitym pomysłem.

Odłożył ubranie i wszedł pod prysznic. Odwiązał, własną przemoczoną szatę i zrzucił na podłogę. Zdziwiony spojrzał uważniej na swoje nogi. Był nagi jak jednodniowe piskłę. Zgubił spodnie, nie wiedząc jak i gdzie.

.. 3 ..

Kiedy zszedł na dół, senator już czekał na niego w pokoju z kominkiem. Siedział w fotelu, na którego oparciu przysiadła ciemnowłosa kobieta.

- A oto i nasz młody człowiek - senator odezwał się pierwszy. - Przedstawił mi się pan, ale z przykrością muszę stwierdzić, że umknęło to mojej uwadze.

- Nazywam się Andrew Blake.

- Przepraszam za tę nieuwagę. Mój umysł utracił dawną zdolność koncentracji - usprawiedliwił się, - Moja córka Elaine. Moje nazwisko brzmi Chandler Horton. Z paplaniny tego głupca na zewnątrz wie już pan oczywiście, że jestem senatorem.

- Czuję się zaszczycony - odpowiedział Blake. - Bardzo mi miło panią poznać, panno Elaine.

- Blake? - odezwała się dziewczyna. - Słyszałam gdzieś to nazwisko, i to stosunkowo niedawno. Proszę powiedzieć, dlaczego jest pan sławny?

- Ja? Ależ wcale nie jestem sławny. - Pytanie zaskoczyło go.

- A jednak to było we wszystkich gazetach. Widziałam pana na żywo w trójwymiarze, w wiadomościach. Już wiem! Pan jest tym człowiekiem, który powrócił z gwiazd...

- Uważał pan to za coś zwykłego? - Senator podniósł się z fotela. - To bardzo interesujące, panie Blake. Na tamtym krześle będzie panu bardzo wygodnie. Powiedziałbym, że to jest honorowe miejsce. Przy kominku.

- Kiedy wpadają do nas przyjaciele - Elaine zwróciła się do Blake'a konfidencjonalnym tonem - tatko nabiera manier barona

czy raczej wiejskiego dziedzica. Nie trzeba brać mu tego za złe.

- Pan senator - odpowiedział Blake - jest bardzo gościnnym gospodarzem.

- Jak pan sobie przypomina, obiecałem kieliszek brandy. - Senator sięgnął po karafkę i szklaneczki.

- I proszę nie zapomnieć pochwalić trunek - powiedziała Elaine. - Nawet gdyby nie chciał przejść panu przez gardło. Senator dumny jest ze swojej znajomości alkoholi. Włączyłam automatycznego kucharza, gdyby miał pan ochotę na filiżankę kawy...

- Kucharz znowu działa? - zdziwił się senator.

- Nie najlepiej. - Elaine pokręciła przecząco głową. - Jest w stanie zrobić to, o co go prosiłam: kawę, jajka na bekonie. Zjadłby pan z nami? Myślę, że jeszcze są ciepłe - dokończyła, patrząc na Blake'a.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodny.

- Od lat mamy kłopoty z tym urządzeniem - odezwał się sceptycznie senator. - Przez pewien czas bez względu na zamówienie serwowało półsurowy rostbef. - Podał obojgu napełnione szklaneczki i usiadł w fotelu. - Dlatego lubię to nieskomplikowane domostwo. Zbudowane trzysta lat temu przez człowieka, który dbał o wspaniałość budowli, a jednocześnie miał dużą dozę zmysłu ekologicznego. Dlatego jako budulca użyto miejscowego wapienia i okolicznych drzew. Ten dom nie niszczy przyrody, jest jej częścią. Oprócz automatycznego kucharza nie mamy żadnych innych wynalazków techniki.

- Jesteśmy dosyć staromodni - dodała Elaine. - Myślę czasami, że nasz sposób życia jest równie dziwaczny, jak w dwudziestym wieku byłoby mieszkanie w szałasie.

- Niemniej ma to pewien urok - zauważył Blake. - Daje

poczucie pewności i bezpieczeństwa.

- Ma pan rację - zgodził się senator. - Zwłaszcza kiedy posłucha się deszczu i wycia wichru za oknami. - Obrócił szklaneczkę w dłoni. - No, oczywiście nie może latać ani mówić. Ale kto by chciał rozmawiać z domem czy też latać...

- Tatusiu! - nie wytrzymała Elaine.

- Och, proszę mi wybaczyć. - Senator uśmiechnął się przekornie. - Tradycje to moje hobby i często lubię o tym rozmawiać. Czasami może nawet zapominać o dobrych manierach, daję się ponieść emocjom. Moja córka mówiła, że widziała pana w trójwymiarze.

- Dobrze, że sobie przypomniałeś, tato. Bez przerwy myślisz o konferencjach bioinżynierii i nie słuchasz, co do ciebie mówię.

- Ależ, kochanie, te konferencje są niezmiernie ważne. Ludzkość musi dużo wcześniej zdecydować, co robić z nowo odkrytymi planetami. Uważam, że przekształcenie ich na podobieństwo Ziemi jest bardzo nierozsądnym rozwiązaniem. Pomyśleć tylko, ile czasu i pieniędzy to pochłonie.

- O, póki pamiętam - mama dzwoniła. Nie wróci dziś na noc do domu. Usłyszała wiadomość o burzy i wolała zostać w Nowym Jorku.

Senator odchrząknął cicho.

- W porządku, to nie jest noc na podróże. Mówiła, jak jej się Londyn podobał?

- Była zachwycona przedstawieniem.

- Musicałem - wyjaśnił senator Blake'owi. - Ta stara forma rozrywki przeżywa swój mały renesans. Według mnie, to bardzo prymitywne, ale żona to lubi. Jest miłośnikiem sztuki.

- Jak to okropnie zabrzmiało - powiedziała Elaine.

- Wcale nie. To prawda. Ale powracając do sprawy

bioinżynierii - ciągnął senator. - Jakie są pańskie poglądy na ten problem, panie Blake?

- Żadne. Z zakłopotaniem wyznaję, że nic nie wiem na ten temat. Nie miałem możliwości zapoznać się ze współczesnymi problemami Ziemi.

- Nie miał pan możliwości? Rozumiem - ten mały wypad do gwiazd. Przypominam sobie tę historię. Był pan w kapsule i znaleźli pana górnicy na asteroidach. Jaki to był system?

- W pobliżu Antares, na jednej z małych gwiazd bez nazwy; jest zwyczajnie oznaczona numerem. Ja nie pamiętam zupełnie nic. Ożywiono mnie dopiero tu, w Waszyngtonie.

- I nic pan nie pamięta?

- Ani trochę. - Smutek zabrzmiał w jego głosie. - Dla mnie życie zaczęło się niecały miesiąc temu. Nie wiem, kim jestem ani co...

- Ma pan jednak nazwisko.

- To tylko małe udogodnienie. Wybrałem jedno z wielu; równie dobre byłoby John Smith czy jeszcze inne. Człowiek musi mieć nazwisko, to wszystko.

- O ile sobie przypominam, ma pan zbiór podstawowej wiedzy.

- Tak, ale to dosyć dziwna sprawa. Mam wiadomości o Ziemi, o ludziach i o życiu - w większości nieaktualne. Ciągle jestem zaskakiwany nowościami. Popelniam gafy na każdym kroku, słowami, zachowaniem. Beznadziejne położenie.

- Nie musi pan o tym mówić - powiedziała Elaine cicho. - Nie chciałam pana urazić.

- Nie szkodzi. Staram się zaakceptować to. Mam nadzieję, że kiedyś ten niezrozumiały stan się skończy i dowiem się prawdy. Może odnajdę siebie - kim jestem, skąd pochodzę i z jakiego czasu? I co zdarzyło się tam, w przestrzeni? To chyba zrozumiałe, że jestem porządnie zagubiony. Wszyscy są bardzo

opiekuńczy i wyrozumiali, nikt mnie nie niepokoi. Dostałem domek w małej wiosce...

- W tej? - zapytał senator - Przypuszczam, że gdzieś w pobliżu.

- Sam nie wiem. Przytrafiło mi się coś niezwykłego i teraz nie wiem, gdzie jestem. Ja mieszkam w wiosce zwanej Middleton.

- To w dolinie - skojarzył sobie senator. - Jakies pięć mil stąd. W takim razie jesteśmy sąsiadami.

- Wyszedłem po kolacji - zaczął opowiadać Blake. - Stałem na werandzie i patrzyłem w stronę gór. Nadciągała burza, błyskało się i czarne chmury sunęły nisko, ale daleko od wioski, nad pasmem gór. I nagle, w tej samej chwili, znalazłem się na wzgórzu po drugiej stronie strumienia, w gęstej ulewie. Byłem cały przemoczony...

Przerwał, uważnie odstawił szklaneczkę i patrzył wyczekująco na gospodarzy.

- Tak to było - dodał. - Wiem, że to brzmi niewiarygodnie.

- To niemożliwe - odruchowo zareagował senator.

- Też tak myślę. Co więcej, zostałem przeniesiony nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Nie dość, że jestem kilka mil od domu, to jeszcze jest noc, podczas gdy ja wyszedłem na werandę o zmroku.

- Przepraszam pana za mojego głupiego strażnika; oślepił pana. Musiał pan być wystarczająco wstrząśnięty. Nie prosiłem o ochronę, nie chcę ich tutaj, ale nalegania z Genewy zmuszają senatorów do podejmowania różnych środków ostrożności. Jestem pewien, że nikt nie nastaje na nasze życie. W końcu, po tylu wiekach Ziemia jest choć częściowo ucywilizowana.

- To ma związek z bioinżynierią - wyjaśniła Elaine. - Jest wokół tego dużo zainteresowania i emocji.

- To nie ma żadnego związku, chodzi tylko o konsekwentną

taktykę. Nie ma powodów, żeby...

- Powody są jasne - dziewczyna prowadziła wywód. - Fanatycy z Biblijnego Kręgu, superkonserwatyści, konwencjoniści, twarogłowi dogmatycy - oni wszyscy są zagorzałymi przeciwnikami projektu. - Odwróciła się do Blake'a. - Nie uwierzy pan, ale mój ojciec mieszka w kamiennym domu sprzed trzech wieków i przechwala się, że nie używa przyrządów...

- Kucharz - wtrącił senator. - Zapomniałaś o kucharzu.

- I przechwala się, że nie ma w domu żadnych automatycznych udogodnień. - Zignorowała uwagę. - Ten sam człowiek pod innymi względami zrównał się z arcypostępowcami, z tą bandą szaleńców o dzikim spojrzeniu, sięgających stulecia w przyszłość.

- To nie jest odległa przyszłość - senator mówił niewyraźnie, w podnieceniu. - Tego wymaga zdrowy rozsądek. Przekształcenie jednej planety na podobieństwo Ziemi będzie kosztowało tryliony dolarów. W znacznie krótszym czasie i za rozsądne pieniądze można stworzyć ludzkość przystosowaną do życia na innych planetach. Zamiast dostosowywać planety do ludzi, możemy dostosować ludzi do zmiennych warunków...

- I w tym właśnie jest problem. Wszyscy oponenti wysuwają to jako kontrargument. Zmienić człowieka, to działa na wyobraźnię. Ale kiedy to się uda, ta istota na innych planetach nie będzie już człowiekiem.

- Może będzie miała inny wygląd, ale nadal pozostanie człowiekiem.

- Rozumie pan - Elaine zwróciła się do Blake'a - że nie jestem przeciwko ojcu, ale czasami szalenie trudno wytłumaczyć mu cokolwiek.

- Moja córka diabelnie stara się być adwokatem i czasami wyświadcza mi przysługę. Tym razem jednak nie ma potrzeby,

sam poradzę sobie z przeciwnikami.

Senator podniósł karafkę. Blake zaprzeczył ruchem głowy.

- Gdybym mógł jakoś dostać się do domu... Zasiedziałem się.

- Może pan zostanie u nas na noc?

- Dziękuję, jestem szczerze zobowiązany, ale chciałbym jednak...

- Oczywiście. Jeden ze strażników zawiezie pana. Lepiej, żebyście pojechali samochodem. Jazda poduszkowcem w taką noc jest niebezpieczna.

- Będę bardzo wdzięczny.

- Wreszcie jeden ze strażników zrobi coś pożytecznego - powiedział senator. - Odwiezie pana do domu i przestanie mieć przywidzenia. Przy okazji, czy nie widział pan wilka, będąc na dworze?

- Nie - zaprzeczył Blake. - Nie widziałem wilka.

.. 4 ..

Michael Daniels miliony razy oglądał panoramę miasta z okien kliniki. Czarne fundamenty dzielnicy mieszkaniowej Riverside połyskiwały wilgocią w światłach nocy odbijanych od granatowego tła Potomaku.

Domy wolno, jeden po drugim wyłaniały się z mgły, światłami zaznaczając swą obecność na zachmurzonym niebie, obniżały się powoli, by precyzyjnie wylądować na wyznaczonych fundamentach.

Mogli to być pacjenci przybywający na leczenie lub członkowie personelu powracający z wakacji. Równie dobrze mogli być to jednak ludzie nie związani ze szpitalem. Za dzień czy dwa zaczną się konferencje bioinżynierii i z tego powodu miasto zaludnia się w szybkim tempie. Przestrzeń rosła w cenę, a latające domy zajmowały wszystkie dostępne place.

W dali zamigotały światła statku kosmicznego. Choć niewyraźne w deszczu i mgle, wystarczająco jasno wskazywały, że pojazd kieruje się na jedno z lądowisk w pobliżu Old Virginia.

Daniels, śledząc jego lot, zastanawiał się, z której gwiazdy powraca. Z jak długiej wyprawy? Uśmiechnął się smutno do swoich myśli. Zawsze zadawał sobie te same pytania, taki śmieszny nawyk z dzieciństwa. Jak wszyscy mali chłopcy marzył o podróży do gwiazd.

Krople deszczu na szybie łączyły się w cicho spływające strumienie, za oknem niezmiennie było widać domy nadlatujące, by zająć ostatnie wolne fundamenty. Bulwarem sunęło kilka samochodów, rozpryskując spod kół fontanny brudnej wody.

Pogoda skutecznie zniechęciła kierowców do zasiadania za sterami poduszkowców.

Miał właśnie opuścić klinikę, właściwie już dawno powinien być w domu. Dzieci z pewnością spały, ale wiedział, że Cheryl będzie czekać na jego powrót.

Na wschodzie, na krańcach jego pola widzenia majaczyła świetlista kolumna, zbudowana nad brzegiem rzeki dla uczczenia pierwszych astronautów, którzy, wystrzeleni w kosmos przy pomocy siły reakcji chemicznej, przed pięciuset laty okrążyli Ziemię.

Waszyngton - miasto pomników i kruszących się budowli, mieszanina marmuru i granitu pokryta grubą warstwą mchu. Metal i kamień pokryte patyną wspomnień o chwalebnej przeszłości, otoczone aurą dawno minionej wielkości. Dawniej stolica starej republiki, obecnie zamieniona w siedzibę prowincjonalnych władz. Atmosfera wielkości, jaką mimo wszystko zachowało, dodawała miejscu uroku, była atrakcją turystyczną jak czyste plaże i malownicze krajobrazy. Najpiękniejsze było nocą, przykryte mgłą, z której łatwiej wyłaniały się duchy odległych zdarzeń.

Stłumione odgłosy nocnego życia szpitala docierały do pokoju - miękki chód pielęgniarki, szelest przekładanych kart, cichy dzwonek w dyżurce po drugiej stronie korytarza. Drzwi do pokoju otworzyły się. Daniels odwrócił się tyłem do okna.

- Dobry wieczór, Gordy - powitał wchodzącego mężczyznę.

- Myślałem, że już poszedłeś - powiedział z uśmiechem Gordon Barens, rezydent kliniki.

- Właśnie miałem zamiar. Zatrzymałem się dłużej nad tym sprawozdaniem. - Wskazał na stół zavalony papierami.

Barens przejrzał pobieżnie rozłożone kartki.

- Andrew Blake. Intrygująca sprawa.

- Więcej niż intrygująca. - Daniels z zakłopotaniem pokręcił głową. - To jest zwyczajnie niemożliwe. Ile on ma lat według ciebie? Oceniając na pierwszy rzut oka.

- Nie więcej niż trzydzieści, Mike. Oczywiście wiemy, że według znanej chronologii może mieć ze dwieście lat.

- Powiedzmy, że ma trzydzieści lat. Nie spodziewałbyś się żadnych śladów choroby, rozkładu? Ciało wcześniej zaczyna się spalać, tuż po dwudziestce. Od tego czasu jest już tylko jeden kierunek - postęp ku starości i śmierci.

- Tak, wiem. Rozumiem, że Blake jest tutaj wyjątkiem.

- Doskonały egzemplarz. Młodzieńcze zdrowie i siła. Więcej, okaz bez skazy, bez słabości.

- Ciągłe nie ma informacji, kim on naprawdę jest?

- Na razie nie. Administracja Przestrzeni przeczesła kartoteki. Bez skutku. Podobnych do niego są tysiące. Przez dwa ostatnie stulecia kilkadziesiąt statków po prostu zaginęło. Odleciały i już nigdy o nich nie słyszano. Blake mógł być pasażerem na jednym z nich.

- Ktoś go zamroził i umieścił w kapsule. Czy to nie jest wskazówka?

- Myślisz, że był ważną osobą i ktoś się nim zaopiekował?

- Powiedzmy.

- To nie ma sensu. Nawet jeżeli ktoś zadałby sobie tyle trudu, to cała sprawa wydaje się dosyć śliska. Można wystrzelić człowieka w przestrzeń, ale jakie są szanse odnalezienia go? Jedna na bilion? Na trylion? Może jeszcze mniejsze. Przestrzeń jest ogromna i pusta.

- A jednak Blake został odnaleziony.

- Tak, wiem. Jego kapsuła znalazła się w obrębie systemu

słonecznego, skolonizowanego niecałe sto lat temu. Odkryli go kosmiczni górnicy; krążył po orbicie jednego z asteroidów. Marzyli o ogromnych diamentach i migocąca kapsuła przyciągnęła ich wzrok i rozpała ciekawość. Za parę lat roztrzaskałaby się o asteroid. Spróbuj zrozumieć coś z tego.

Barens odłożył dokumenty na stół i podszedł do Daniela.

- Masz rację. Facet miał cholerne szczęście. Uratował się tylko dzięki przypadkowi. Kiedy go odnaleziono, ktoś mógł otworzyć kapsułę; była przezroczysta, widzieli go. Widzieli, że w środku jest człowiek. Ktoś mógł wpaść na szaleńczy pomysł wyssania go i ożywienia w kosmosie, bo to mogło się opłacić. Był doprawdy kuszący. Mógł mieć cenne informacje.

- Na wiele by im się to nie zdało - odparł Daniels. - On nic nie wie. Poza ogólnym zbiorem ludzkich wiadomości, jego mózg wydaje się nic nie zawierać. Rozumiesz? Zbiór danych zebranych na Ziemi przed dwustu laty - wygląd, język, zachowanie. Nic więcej. Ani śladu innych wspomnień, kim był, skąd pochodził, co się z nim działo.

- Nie wątpicie w oryginalność jego ziemskiego pochodzenia? Dlaczego nie może pochodzić z jednej z gwiazdnych kolonii?

- Raczej mało prawdopodobne. Wiedział, czym i jaki był Waszyngton w przeszłości. Ciągle uważał miasto za stolicę Stanów Zjednoczonych. Powiedział mnóstwo innych rzeczy znanych tylko Ziemiainowi. Jak możesz się domyślić, poddaliśmy go wielu szczegółowym testom.

- Jak on się czuje?

- Pozornie dobrze. Ostatnio nie miałem od niego wiadomości. Mieszka w górach, w małej wiosce na zachód stąd. Obydwaj zgodziliśmy się, że potrzebuje dużo wypoczynku. Musi mieć czas na adaptację do nowych warunków, szansę, by pomyśleć i

poszukać w pamięci odpowiedzi na podstawowe pytania. Nie chciałem nic sugerować, nie chciałem mu się narzucać. Myślę, że to będzie całkiem normalne, jeżeli coś sobie przypomni. Sam był bardzo poruszony.

- A jeśli coś odnajdzie, czy przyjdzie z tym do ciebie?

- Nie wiem - odpowiedział Daniels. - Mam nadzieję. Nie uważałem za stosowne domagać się tego. Decyzja należy do niego. Możliwe, że da mi znać, jak wpadnie w kłopoty.

.. 5 ..

Blake stał przed domem i obserwował oddalające się czerwone światła samochodu. Deszcz ustał i przez przerzedzone chmury migotały nieliczne gwiazdy. Wzdłuż ulicy wyłaniały się z ciemności regularne bryły domów, oświetlone lampami zewnętrznymi. W jego własnym domu rozświetlony był hol - znak, że czekano na niego. Na zachód od miasteczka pięł się ku niebu potężny masyw górski.

Ostry północno-zachodni wiatr wywołał u Blake'a dreszcze, pośpiesznie więc szczelniej otulił się wełnianą szatą, postawił kołnierz i skierował się w stronę domu. Gdy był już na ostatnim stopniu schodków przed wejściem, drzwi otworzyły się automatycznie. Wszedł do środka i usłyszał:

- Dobry wieczór panu - powiedział Dom i dodał tonem wymówki: - Wygląda na to, że pan się spóźnił.

- Coś się ze mną stało - odpowiedział Blake. - Może masz jakiś pomysł, co to mogło być?

- Opuścił pan werandę. - Dom był wyraźnie niezadowolony, że wymaga się od niego więcej informacji, niż może ich udzielić. - Wie pan oczywiście, że nasze możliwości nie sięgają poza obszar domu.

- Tak. - Blake mówił cicho i niewyraźnie, jakby do siebie. - Wiem o tym.

- Przed wyjściem powinien pan zostawić wiadomość - ciągnął Dom surowym tonem. - Żebyśmy wiedzieli chociaż, jak się z panem skontaktować. Moglibyśmy dostarczyć odpowiednie ubrania, bo jak widzę, ma pan na sobie inne rzeczy niż przed

wyściem.

- To jest pożyczone od przyjaciela.

- W czasie pańskiej nieobecności przyszła wiadomość. Jest na P.G.

Blake podszedł do pocztografu i wyjął z drukarki kartkę papieru. Precyzyjna i utrzymana w formalnym tonie wiadomość napisana była dużym, wyraźnym pismem: "Jeśli pan Andrew Blake uzna za stosowne skontaktować się z panem Ryanem Wilsonem z Willow Grove, uzyska kilka cennych dla siebie informacji".

Blake ostrożnie trzymał niecodzienny list. Wyczuwał w krótkich, oszczędnych słowach atmosferę melodramatu.

- Willow Grove? - zapytał.

- Poszukamy tego miejsca - bezbłędnie zareagował Dom.

- Gdybyś był tak miły.

- Oczywiście. Kąpiel będzie gotowa za moment, jeśli pan sobie życzy.

- Za moment będzie posiłek - zawołała Kuchnia. - Czego pan sobie życzy?

- Myślę, że na początek coś zjem. Najlepiej szynkę, jajka i dwie grzanki.

- Mogę zrobić coś bardziej wyszukanego - proponowała Kuchnia. - Grzanki z serem po walijsku, homara?

- Szynka i jajka - powtórzył Blake.

- A co pan powie na wystrój domu? - zapytał Dom. - Nie był zmieniany już niewiarygodnie długo.

- Nie. - Blake już był znużony ciągłymi pytaniami. - Zostaw to tak jak teraz. Nic nie zmieniaj. To doprawdy nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma. - Blake'owi wydawało się, że słyszy zgryźliwość w głosie Domu. - Istnieją takie rzeczy, jak...

- Nic nie zmieniaj - przerwał zniecierpliwiony Blake.
- Jak pan sobie życzy. - Dom dał za wygraną.
- Najpierw zjem, potem kąpiel i do łóżka. To był ciężki dzień.
- A wiadomość? - przypomniał Dom.
- Zapomnijmy o tym. Jutro się zastanowię.
- Miasto Willow Grove jest pięćdziesiąt siedem mil stąd na północny zachód. Właśnie sprawdziliśmy.

Blake nie odpowiedział, poszedł do jadalni i usiadł przy stole.

- Musisz sam przyjść po jedzenie - dobiegło go zawołanie Kuchni. - Ja ci nie mogę przynieść.
- Wiem o tym. Powiedz mi, kiedy będzie gotowe.
- Ale już siedzisz przy stole.
- Człowiek ma prawo siadać, gdziekolwiek zechce - zagrział Dom.

- Tak, proszę pana - zawstydziała się Kuchnia.

Kiedy wreszcie się uciszyli, Blake poczuł, jak jest śmiertelnie zmęczony. Fototapeta w pokoju była ożywiona. Właściwie po głębszym zastanowieniu nie można było nazwać tego fototapetą. Już pierwszego dnia Dom zwrócił mu na to uwagę. Ciągłe czuł się zmieszany i zaskakiwany nowinkami technicznymi. Ruchomy obraz przedstawiał gęsty las z prześwitami polan i błękitną kreską wijącego się między drzewami strumienia. Wzdłuż brzegu kicał zajac; zatrzymał się przy kępie koniczyny, przysiadł i zaczął czyścić łapkami futerko. Strzygł na boki uszami i śmiesznie kiwał głową w rytm delikatnych ruchów. Słońce odbijało się w wodzie, która niespiesznym nurtem unosiła na powierzchni kawałki kory, opadłe liście. W obrębie obrazu pojawił się ptak, przeleciał nad strumieniem i usiadł na drzewie. Podniósł główkę i zaczął bezgłośnie śpiewać.

- Czy życzy pan sobie, żeby włączyć dźwięk? - zapytała

Jadalnia.

- Nie, dziękuję. Dzisiaj tego nie potrzebuję. Chcę tylko wypocząć. Może innym razem.

Siedzieć, odpoczywać i myśleć - próbować zrozumieć coś z tego ciągu nonsensów. Próbować dowiedzieć się, co mu się przydarzyło, jak, a przede wszystkim dlaczego. Ustalić, kim lub czym był, jak znalazł się w przestrzeni i kim ma być teraz. Wszystko to uważał za koszmar, tym gorszy od mar sennych, że działał się na jawie i nie było z niego przebudzenia.

Chociaż, kiedy przyjdzie ranek, wszystko będzie znów w porządku, przynajmniej będzie wydawać się normalne. Wzejdzie słońce, świat się na nowo rozgrzeje i rozjaśni. Wyjdzie na spacer, porozmawia ze spotkanymi sąsiadami i będzie mu dobrze. A gdyby tak zapomnieć o wszystkim, wymazać z pamięci niepokojące zdarzenie. To byłoby najlepsze rozwiązanie. Jeżeli to się nie powtórzy, nie ma powodów do zmartwień.

Niespokojnie poruszył się w fotelu.

- Która godzina? Jak długo mnie nie było w domu? - spytał.

- Jest druga po północy - odpowiedział Dom. - Wyszedł pan o ósmej, może parę minut po.

Sześć godzin; mógłby wytłumaczyć się najwyżej z dwu. Co wydarzyło się w ciągu pozostałych czterech godzin i dlaczego nie mógł sobie nic przypomnieć? Podobnie dlaczego nie mógł przypomnieć sobie pobytu w kosmosie i życia przed odlotem? Dlaczego jego świadome istnienie ma trwać od momentu przebudzenia na szpitalnym łóżku w Waszyngtonie? Przecież istniał na długo przedtem, przez wiele lat. Miał kiedyś prawdziwe nazwisko i życiorys - dlaczego i jak zostało to wymazane z jego mózgu?

Zajaczek skończył skubanie koniczyny i pokicał w las. Ptak na

gałęzi przestał śpiewać. Jako nowa atrakcja pojawiła się wiewiórka, zbiegła po pniu głową w dół, zatrzymała się parę centymetrów nad ziemią, zakręciła się w mgnieniu oka i pomknęła do góry. Dotarła do konaru, odzyskała zachwianą równowagę i w podnieceniu pomachała rudą kitą.

Blake kojarzył to nieodmiennie z wyglądaniem przez okno i patrzeniem na krajobraz leśny. To nie był tradycyjny, płaski obraz - miał głębię, doskonałą perspektywę i doskonałe barwy, wzięte dokładnie z natury, a nie malowane pędzlem mistrza.

Dom ciągle go zaskakiwał swoimi możliwościami, czasami wręcz przeszkadzał i denerwował nadskakiwaniem. W swoim skarbcu niezbędnej wiedzy nie miał nic, co przygotowałoby go do podobnych wynalazków. Przypominał sobie jedynie, że przed nie wyjaśnionym czasem niepamięci ten ktoś (którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć) pokonał prawo grawitacji; w tym też czasie energia słoneczna była powszechnie używana.

Czerpanie energii z własnej elektrowni słonecznej czy zdolność latania dzięki użyciu antygravitacyjnych urządzeń to jednak nie jedyne zalety współczesnych, nowoczesnych domów. One były robotami, automatycznymi kompleksami do wykonywania poleceń, a czasami nawet nabierały cech matczyńskich. Domy opiekowały się swoimi mieszkańcami. Zasada dbania o dobro i powodzenie rodzin była zakodowana w ich elektronicznych mózgach. Służyły i rozmawiały, przypominały i upominały, zrędziły i rozpieszczały. Był to jednocześnie dom, służący i towarzysz "w jednej osobie", a raczej w jednej rzeczy. Blake uważał, że z czasem człowiek zacznie odnosić się do swego Domu jak do lojalnego i kochającego przyjaciela.

Dom robił dla ciebie wszystko. Karmił, prał twoje rzeczy,

układał cię do snu, gdyby mu pozwolić - wycierałby twój nos. Strzegł ciebie i wyprzedzał wszystkie twoje pragnienia, przekraczał ciebie i twoją własną wytrzymałość. Uważał, że potrzebujesz niezwykłości, i potrafił je wyczarować - jak ożywione fototapety (a więc nie fototapety!) z zajaczkami i śpiewającymi ptakami.

Blake wiedział, że potrzebuje czasu, aby się przyzwycząić. Tym, którzy wzrastali wraz z tak burzliwym rozwojem techniki, musiało to przychodzić o wiele łatwiej. Dla człowieka nie wiadomo skąd pochodzącego, porzuconego wśród gwiazd Bóg wie kiedy, stwarzało to niemały problem.

- Proszę przyjść po jedzenie! - głos Kuchni przerwał rozważania. - Szynka i jajka przygotowane!

.. 6 ..

Ocknęło się skulone w nie znanym sobie dotąd miejscu, w dziwnym pomieszczeniu wypełnionym przedmiotami, w większości drewnianymi; niektóre tylko były z metalu lub tworzyw sztucznych.

Zareagowało natychmiast. Uruchomiło wszystkie siły obronne i zerwało się z miejsca. Przybrało kształt piramidy, najtrwalszej formy istnienia, i otoczyło się sferą izolacji.

Poszukiwało energii, którą mogłoby naładować nadwątłone siły życiowe i rozładowany mózg. Przestrzeń posiadała dużo energii, której bogatego źródła nie umiało zlokalizować ani nazwać.

Zauważyło z zadowoleniem, że odzyskało zdolność jasnego rozumowania. Proces myślenia przebiegał szybko i logicznie, niczym nie zmącony. Nareszcie pozbyło się sennej ciężkości rozumowania. Piramidalny kształt był niezawodny, dawał mózgowi pewność i miejsce na swobodne operacje.

Skupiło się na rozwiązywaniu podstawowego w tej chwili problemu: co się z nim działo, jak - po nieznanym okresie czasu, kiedy było czynne tylko częściowo, jeśli w ogóle - stało się nagle wolne i sprawne jak dawniej?

Szukało początku, który według istniejących danych pozornie nie istniał lub był tak niejasny, że nie dawał żadnych pewnych wyjaśnień. Badało, przekopywało pokłady pamięci, tropiło w ciemnych tunelach mózgu, nie znalazło jednak zadowalającej genezy swego obecnego bytu.

Właściwie konsekwencje były żadne, esencja bytu nie

zawierała się w jego początku. Zastanowiło się, czy w ogóle miało jakiś początek, czy też bezustannie szukało swego macierzystego portu, błędząc w labiryncie mózgu. Początek, podobnie jak koniec, nie był niezbędny, ale musiało istnieć coś, co zbliżało te dwa stany.

Bardziej odpowiednie pytanie brzmiało: czy istniała jakaś przeszłość? Z pewnością tak, skoro miało mózg przeładowany strumieniami nie uporządkowanych informacji, zebranych dawniej. Mogło poszczycić się jedynie zbiorem oderwanych cząstek podstawowej wiedzy, podobnie jak planety cząstkowym promieniowaniem. Bezskutecznie próbowało dopasować je do siebie; nie powstał żaden czytelny wzór.

Dane, pomyślało w panice, kiedyś miało dane. To na pewno. Kiedyś mózg miał materiał do pracy, który może istnieje nadal, ale jakby przykryty czy zamaskowany. Pojawiał się fragmentarycznie, pozornie bez sensu, a był tak szczupły, że trudno było zweryfikować jego przydatność.

Skuliło się i przycupnęło w swej piramidalnej formie, słuchając tępego dudnienia w swoim mózgu, zdolnym i doskonałym, lecz wyjałowionym. Pracował dziko, na pełnych obrotach, lecz bez rezultatów.

Ponownie zaczęło grzebać w oderwanych wspomnieniach, aż ukazał się obraz wrogiego skalistego lądu. Ze skał wyłoniło się masywne ciało cylindryczne, czarne jak one same, i odleciało na tle szarego nieba, pociągając za sobą ewentualnych widzów swą tajemniczą siłą. Wiedziało, że cylinder zawierał coś przekraczającego wszelkie wyobrażenia, coś tak wielkiego i cudownego, że wszelki umysł odrzucał śmiało próby pojęcia tego.

Szukało znaczenia, wskazówki czy podobieństwa, ale nie było nic oprócz obrazu czarnych skał i zimnej czerni odlatującego

cylindra.

Niechętnie odwróciło swą uwagę od tej wizji i sięgnęło po następną. Tym razem była to kotlina górską przechodząca w łąkę rozkwitającą bilionami kolorowych kwiatów. Wśród kwiatów żyły różnorodne stworzenia, powietrze drgało od dźwięków muzyki. Wiedziało, że ten obraz też ma znaczenie, choć nawet najmniejszy szczegół go nie wyjawiał.

Kiedyś był ktoś drugi, inny byt, który odbierał i przekazywał obrazy, a wraz z nimi dane. Do stłoczonych obrazów były dołączone myśli, lecz dane w niewiadomy sposób przepadły.

Skurczyło się, umocniło i zanurzyło głębiej w swój piramidalny kształt. Umysł cierpiał w pustce i chaosie. Chciało po omacku odnaleźć drogę do mrocznej przeszłości, by spotkać byt dostarczający obrazów i danych.

Nie mogło na nic natrafić, nie mogło przenieść się i skontaktować z tym drugim. Przygniecione cierpieniem i samotnością zapłakało; bez łez i łkania, bo nie było do tego zdolne.

W swym suchym żalu cofnęło się do czasu, kiedy brak było jeszcze jakiegokolwiek stworzenia, kiedy przetwarzało abstrakcyjne obrazy i dane. Ale ani obrazy, ani dane nie miały barw, były tak oderwane i formalne, że aż przerażające.

Wiedziało, że próby nie mają sensu. Działo nieskutecznie cząstką swych możliwości; nie miało wystarczających danych, by coś osiągnąć. Wyczuło zbliżającą się ciemność i nie walczyło z nią. Czekало na nią.

.. 7 ..

Krzyki Pokoju obudziły Blake'a.

- Gdzie byłeś? - pytał natrętnie. - Gdzie poszedłeś? Co się z tobą działo?

Blake powinien być w łóżku, a siedział na środku pokoju na podwiniętych nogach.

- Gdzie poszedłeś? - znowu zawył Pokój. - Co się z tobą stało? Co robiłeś...?

- Zamknij się - powiedział Blake.

Pokój zamilkł.

Przez okno wpadało poranne światło; gdzieś na zewnątrz śpiewał ptak. Pokój wyglądał jak co dzień, nic sienie zmieniło. Takim go zapamiętał przez zaśnięciem.

- Teraz mi powiedz - odezwał się Blake - co dokładnie się wydarzyło.

- Odszedłeś! - zawył Pokój. - Zbudowałeś wokół siebie ścianę...

- Ścianę!

- Nicość - tłumaczył Pokój. - Plamę nicości. Wypełniłeś mnie obłokiem nicości.

- Oszalałeś. Jak mogłem zrobić coś takiego? Wypowiadając te słowa, wiedział już, że nie ma racji. Pokój mówił prawdę, nie miał innego wyjścia - przekazywał tylko tyle, ile zarejestrował za pomocą zmysłów. Nie posiadał wyobraźni. Był maszyną, co prawda wyszukaną, ale w zakres pojęć, którymi się posługiwał, nie wchodziły przesady, mity, baśnie.

- Zniknąłeś - oświadczył Pokój. - Otoczyłeś się nicością i przepadłeś. Ale przedtem zmieniłeś się.

- Jak mógłbym się zmienić?

- Nie wiem, ale zmieniłeś się. Jakbyś się rozpląwał i przybierał inną formę. Potem owinąłeś się wokół siebie.

- Nie wyczuwałeś mojej obecności, tak? Dlatego myślałeś, że poszedłem?

- Nie mogłem ciebie wyczuć - odpowiedział Pokój. - Nie mogłem przeniknąć nicości.

- Tej nicości, o której wspominałeś?

- Właśnie tej. Nie mogłem jej zanalizować.

Blake podniósł się i założył spodnie, które rzucił na podłogę poprzedniego wieczora. Potem sięgnął po brązową szatę wiszącą na oparciu krzesła. Była wełniana i ciężka. Przypomniała mu momentalnie wczorajsze wieczorne spotkanie, stary kamienny dom, senatora i jego córkę. Zmieniłeś się, opowiadał Pokój. Zmieniłeś i zamknąłeś w muszli nicości. Ależ on nie miał o tym najmniejszego pojęcia, nic nie pamiętał. Poprzedniej nocy wyszedł na werandę i w jednej chwili znalazł się na deszczu pięć mil od domu. Nie miał pojęcia, co działo się w trakcie i jak dotarł tak daleko. Wstrząśnięty, zadawał sobie jedno pytanie: co się z nim dzieje? Usiadł bezradnie na łóżku i odłożył ubranie.

- Czy jesteś tego pewien, Pokoju?

- Oczywiście.

- Może to jakieś domysły?

- Wiesz dobrze - odpowiedział oschle Pokój - że nie mogę spekulować na żaden temat.

- Jasne, nie możesz.

- Domysły - wytłumaczył Pokój - są nielogiczne.

- Oczywiście, masz rację.

Blake ubrał się i podszedł do drzwi.

- Nie masz nic więcej do powiedzenia? - zapytał Pokój z

dezaprobatą.

- Co mogę powiedzieć? Sam wiesz więcej ode mnie.

Wyszedł na klatkę schodową. Dom powitał go jak co rano śpiwnym:

- Dzień dobry panu. Słońce jest wysoko na niebie i świeci jasno, nie ma zachmurzenia. Po wczorajszej burzy ani śladu. Temperatura powietrza 9 stopni, może dojść do 16 stopni. Zaczął się piękny jesienny dzień i wszystko jest w porządku. Czy ma pan jakieś życzenia? Może zmienić wystrój domu, meble? Co by pan powiedział na dobrą muzykę?

- Zapytaj - wtrąciła się Kuchnia - co chce do jedzenia.

- Oczywiście. Co pan sobie życzy na śniadanie?

- Zjadłbym owsiankę.

- Owsiankę! - wyła Kuchnia. - Zawsze to samo: owsianka, jaja z szynką, naleśniki. Może choć raz specjalne danie? Dlaczego nie...

- Owsiankę - nalegał Blake.

- Pan będzie jadł owsiankę - Dom skwitował spór.

- W porządku. - Kuchnia była pokonana. - Już robię owsiankę.

- Nie należy się nią przejmować - powiedział Dom. - Jest bardzo sfrustrowana. Zaprogramowano jej wiele skomplikowanych przepisów na oryginalne dania, a prawie nigdy nie ma szansy ich wykorzystać. Chociażby z tego względu powinien pan czasem pozwolić jej na wypróbowanie...

- Owsiankę. - Elokwencja Domu nie wywarła na Blake'u żadnego wrażenia.

- Oczywiście, proszę pana. Poranna gazeta jest w segregatorze pocztografu. Dzisiaj nie ma ciekawych wiadomości.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział Blake - pozwól, że sam sprawdzę.

- Jak pan sobie życzy. Staram się tylko dostarczyć dokładnych

wiadomości.

- Postaraj się jednak nie przesadzać.

- Przepraszam, proszę pana. - Dom wyglądał na zawstydzonego. - Będę bardziej uważny.

Blake poszedł do holu po gazetę. Wyrzwał przez okno. Sąsiedni dom odleciał, pozostawiając puste fundamenty.

- Odlecieli dzisiaj rano - wytłumaczył Dom. - Przed godziną. Przypuszczam, że na krótkie wakacje. Cieszymy się wszyscy...

- My? - Blake sądził, że się przesłyszał.

- My, to znaczy wszystkie domy, proszę pana. Cieszymy się, że niedługo wrócą. Są takimi dobrymi sąsiadami.

- Wiele o nich wiesz. Ja tylko raz z nimi rozmawiałem.

- Och - powiedział Dom - nie miałem na myśli ludzi. Mówiłem nie o ludziach, ale o samym domu.

- To wy, domy, uważacie się za sąsiadów?

- To całkiem naturalne, proszę pana, że zawieramy znajomości z domami obok. Składamy sobie wizyty, rozmawiamy ze sobą.

- Wymieniacie informacje.

- Naturalnie. Pomówmy teraz o wystroju wnętrza - przypomniał Dom.

- Ten obecny jest dobry, odpowiada mi.

- Nie zmienialiśmy go od wielu tygodni.

- Więc - Blake zastanowił się - gdybyś mógł coś zrobić z fototapetą w jadalni...

- To nie jest fototapeta, proszę pana - skrupulatnie poprawił Dom.

- Wiem, że nie. Chcę tylko powiedzieć, że znudziło mnie oglądanie tego samego zajęcia i ptaka.

- Co by pan wolał w zamian?

- Wybierz cokolwiek, żeby tylko nie było żadnych zajęcy.

- Ależ możemy stworzyć tysiące kombinacji.

- To nie ma znaczenia, o ile oszczędzisz mi widoku zająca.

Blake odwrócił się i wszedł do jadalni. Ze ścian patrzyły na niego oczy - tysiące oczu bez twarzy, wyrwanych z twarzy i umieszczonych na ścianach. Oczy w parach lub pojedynczo, a wszystkie wpatrzone w niego.

Błękitne oczy niemowląt o niewinnym wyrazie, krwiożercze oczy, budzące przerażenie, oczy lubieżne, wyblakłe i zamglone, stare oczy. I wszystkie one znały go, wiedziały, kim jest, patrzyły na niego w zastraszająco osobisty sposób. Gdyby dołączono do nich usta, z pewnością mówiłyby do niego, krzyczały, obrażały.

- Dom! - krzyknął Blake.

- Słucham, proszę pana.

- Te oczy!

- Miał pan zastrzeżenia do zająca. Myślałem, że wszystko inne może być. Musi pan przyznać, że te oczy to zupełna nowość...

- Zabierz je stąd! - Blake stracił panowanie nad sobą.

Oczy zniknęły, w zamian pojawił się brzeg morza z piaszczystą plażą. Wzburzone fale raz po raz opływały odległy cypel, wprowadzały w ruch białe ziarenka sypkiego piasku. Wiotkie, słabe drzewa chyliły się pod naporem wiatru, krzyczące mewy unosiły się nad wodami. W pokoju wyczuwalny był słony zapach morza i mokrej plaży.

- Czy już lepiej? - zapytał Dom.

- Tak - odparł Blake - dużo lepiej. Bardzo ci dziękuję. Usiadł jak w transie, z wielkim zaciekawieniem oglądając scenę. Czuł się tak, jakby naprawdę znalazł się na plaży.

- Włączyliśmy dźwięk i zapach - poinformował go Dom. - Możemy jeszcze dodać wiatr.

- Nie - stanowczo sprzeciwił się Blake. - To w zupełności

wystarczy.

Fale z łoskotem obijały się o brzeg, pod niską czaszą czarnych, kłębiących się chmur szybowało krzykliwe ptactwo. Blake doszedł do wniosku, że nie istniało nic takiego, czego ten Dom nie mógłby odtworzyć na ścianie. Mógł stworzyć tysiące kombinacji i bezbłędnie oddać charakter scen przywołanych dzięki najnowszym osiągnięciom techniki. Człowiekowi nie pozostawało nic innego, jak tylko sięgnąć i podziwiać.

Blake'a zastanawiało słowo "dom". Czym był dom i w jaki sposób ludzkość udoskonaliła go tak dalece?

Pierwsze, niewyraźne przekazy pochodziły z odległej i prymitywnej przeszłości, kiedy to marna osłona przed wiatrem i deszczem pretendowała do zaszczytnej miana domu. Wystarczyło, by spełniała podstawowy warunek - dawała odpoczynek i schronienie. Na tym można by oprzeć definicję domu, chociaż już od dawna przestał on pełnić wyłącznie swą pierwotną funkcję; stał się przestrzenią, w której się żyje. Może wszystko zmierzało ku temu, by człowiek zupełnie przestał opuszczać swój dom, nie wychodził na zewnątrz ani z własnej woli, ani z konieczności. Nie we wszechświecie, lecz we wnętrzach domów potoczy się życie jednostek, ludzkości.

Blake sądził, że taki dzień może nadejść szybciej, niż ktokolwiek się spodziewa. Dom już dawno przestał być schronieniem czy tylko miejscem do życia. Z prostej bryły zbudowanej z martwej materii zamieniono go w służącego i przyjaciela jego mieszkańców. Zawierał w swych ścianach wszystko, czego mogli potrzebować. W przytulnym pokoiku obok salonu znajdował się trójwymiar, logiczne rozwinięcie telewizji dwuwymiarowej, jeszcze przed dwustu laty szeroko rozpowszechnionej, obecnie istniejącej jedynie w muzeach

techniki jako przestarzałe urządzenia, świadectwa rozwoju ludzkiej myśli technicznej. Trójwymiaru nie oglądało się ani nie słuchało; urządzenie wprowadzało w świat przeżyć i doświadczeń. Gdyby plażę ze ścian salonu odtworzyć w trójwymiarze, stałaby się częścią pokoju. Wystarczyło wejść do środka i włączyć odbiornik, by wkroczyć w akcję i zacząć odbierać przekaz zgodnie z jego atmosferą. Człowiek reagował na tak wymierne bodźce, jak dźwięk, zapach, smak, temperatura, obraz - oczywiście uchwytnie przez zmysły - a ponadto, dzięki subtelnym fluktuacjom przekazu sam stawał się odczuwającym i rozumiejącym, choć -jak dotąd - biernym uczestnikiem przedstawianych zdarzeń.

Po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko trójwymiaru, znajdowała się biblioteka, której prosty mechanizm elektroniczny przechowywał całą literaturę ocalałą w przeciągu długich dziejów ludzkości. Zaprogramowany komputer w jednej chwili przedstawiał wybrane fragmenty, zachowane ludzkie myśli i nadzieje, które przelano na papier, chcąc nadać ulotnym doświadczeniom, odczuciom i przekonaniom bardziej realne czy wręcz materialne kształty. Myśl jako wynik działania ludzkiego umysłu, przybrana w kształt słów na papierze, znalazła się ostatecznie w formie prostego kodu w elektronicznym mózgu maszyny.

Tak unowocześniony dom pozostawił swój prototyp daleko w tyle; swojską budowlę sprzed dwustu lat zastąpiła instytucja o złożonej strukturze, wywołująca w Blake'u zdumienie i podziw. A i tak nie było to dzieło skończone. Może dwa następne stulecia przyniosą zmiany i ulepszenia równie rewolucyjne, jak te poprzednie. Prawdopodobnie nikt nie umiałby powiedzieć, na jakim poziomie i czy w ogóle zatrzyma się ta nieustanna

modernizacja.

Blake wyjął gazetę spod pachy i zaczął ją przeglądać. Dom miał rację, niewiele było interesujących wiadomości.

Nominowano trzech kolejnych członków Banku Inteligencji, którzy mieli zasilić szeregi wybrańców - wybitnych osobowości, genialnych intelektualistów i myślicieli, słynnych erudytów. Przed ponad trzystu laty powstał projekt utworzenia banku myśli, inteligencji i wiedzy, który miał obecnie w swych zbiorach pełny obraz godnych uwagi poglądów i przekonań nieprzeciętnych ludzi. Północnoamerykański projekt zmian klimatycznych został ostatecznie przyjęty do ponownego rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy w Rzymie. Nadal trwał spór o prawa do połowu krewetek u wybrzeży Florydy. Wysłany w kosmos przed dziesięciu laty i uznany za zaginiony statek naukowo-badawczy wylądował w rejonie Moskwy. Jutro w Waszyngtonie rozpocznie się regionalna konferencja do spraw bioinżynierii.

Artykuł o bioinżynierii zajmował dwie kolumny. Oprócz komentarza zawierał wypowiedzi senatorów: Chandlera Hortona i Solomona Stone'a. Blake, zaciekawiony artykułem, usiadł wygodniej w fotelu.

Waszyngton, Ameryka Północna. Dwaj senatorzy z Ameryki Północnej zgodzili się polemizować w sprawie kontrowersyjnego projektu z zakresu inżynierii biologicznej. Będzie to jeden z punktów szeroko zakrojonego programu konferencji regionalnej, której otwarcie oficjalne nastąpi jutro. Spodziewane są spotkania i wiece polityczne. Sprawa bioinżynierii jest pierwszą od wielu lat, która wywołała tak szeroki i żywy oddźwięk w społeczeństwie. Nie istnieje obecnie problem ważniejszy i bardziej dyskusyjny.

Wspomniani senatorowie diametralnie różnią się w swych opiniach, co zresztą miało miejsce w większości spraw, jakimi zajmowali się dotychczas w swych politycznych karierach. Senator Chandler Horton zdecydowanie poparł propozycję, która na początku przyszłego roku zostanie poddana ogólnoswiatowemu referendum, podczas gdy senator Solomon Stone jest stanowczo przeciwny programowi.

Diametralnie różne opinie obydwu senatorów nie są czymś nowym i nie wywołują większego zainteresowania. Ważne jest natomiast polityczne znaczenie sporu, ponieważ w myśl tak zwanej Zasady Jednomyślności, sprawy tak wielkiej rangi jak obecna, poddawane ogólnoswiatowemu referendum, muszą otrzymać ostateczne zatwierdzenie wybranego przez głosowanie rozwiązania w jednomyślnym wniosku izby Senatu Światowego w Genewie. W przypadku przegłosowania w referendum projektu **Senator Stone** będzie zmuszony zobowiązać się do głosowania "za" na posiedzeniu Senatu. W przeciwnym razie musi, zgodnie z przyjętą konwencją, podać się do dymisji. Ogłoszono by wtedy wybory uzupełniające. W wyborach kandydować mogliby jedynie ci, którzy zgodziliby się wcześniej na poparcie stanowiska większości.

Odwrotny wynik referendum postawiłby oczywiście senatora Hortona w podobnie kłopotliwej sytuacji.

W przypadku równie zaciekłych sporów w przeszłości niektórzy senatorowie przychylali się do opinii ogółu wbrew swym wcześniej wyrażanym przekonaniom. Większość obserwatorów nie uważa, by panowie Horton i Stone poszli na wielkie ustępstwa. Obaj postawili wszystko na jedną kartę - ryzykują zwichnięcie swoich karier politycznych. Zbyt przywiązani są do swych stanowisk, by mogli pozwolić sobie na utratę reputacji uczciwych polityków. Ich

poglądy polityczne są diametralnie różne, wokół zaś wzajemnych antypatii narosło w kołach senatorskich wiele legend. Jest więc mało prawdopodobne, by w tym decydującym momencie któryś z nich oddał bez walki...

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się Dom, przerywając Blake'owi lekturę - ale Góra poinformowała mnie właśnie, że stało się z panem coś dziwnego. Mam nadzieję, że dobrze się pan czuje.

- Tak. - Blake oderwał wzrok od gazety. - Wszystko w porządku. Nic mi nie jest.

- Gdyby jednak nie - nalegał Dom - może byłoby rozsądnie z pana strony zgłosić się do lekarza.

Ostra odpowiedź cisnęła się Blake'owi na usta, ale powstrzymał się w porę. Chociaż natrętny, Dom kierował się jednak dobrymi intencjami płynącymi z głębi jego mechanicznego serca. Było to urządzenie całkowicie zaprogramowane na służenie i dobro zamieszkujących w nim osób było jedynym celem wszystkich jego działań. Nadmierna gorliwość była niezbyt uciążliwym brakiem przy wszystkich dobrodziejstwach, jakie ludzie zawdzięczali temu mechanizmowi.

- Może masz rację - spokojnie odparł Blake.

To, że coś niedobrego się z nim działo, nie podlegało właściwie dyskusji. W ciągu niecałej doby dwukrotnie przeżył coś dziwnego i niewytłumaczalnego.

- Znam jednego lekarza w Waszyngtonie. - Blake powrócił do przerwanej rozmowy. - Pracuje w szpitalu, gdzie odzyskałem przytomność. On mnie odhibernował i prowadził leczenie. Chyba nazywał się Daniels.

- Doktor Michael Daniels - uzupełnił Dom.
- Skąd wiesz, jak on się nazywa?
- Szpital przesłał nam pańską kartę chorobową z kompletnymi danymi - wyjaśnił Dom. - Inaczej nie moglibyśmy panu dobrze służyć, a po to przecież istniejemy.
- Oczywiście. W takim razie macie jego numer. Myślę, że mógłbyś się z nim skontaktować.
- Bez żadnych problemów. W każdej chwili. Czy już teraz pan sobie życzy?
- Tak, jeśli możesz. - Blake odłożył gazetę na stół, wstał i przeszedł do jadalni. Usiadł przed małym ekranem aparatu telefonicznego. Dom włączył urządzenie i gładka powierzchnia ekranu migotała jasnymi światełkami.
- Proszę chwileczkę poczekać - powiedział Dom,
Po chwili wszelkie zakłócenia odbioru znikły i na ekranie ukazał się doktor Daniels.
- Jestem Andrew Blake. Nie wiem, czy mnie pan pamięta.
- Oczywiście, że pana pamiętam. Nie dalej jak wczoraj myślałem o panu. Jak się pan czuje? - zatroskał się Daniels.
- Fizycznie bardzo dobrze - zapewnił Blake. - Ale miałem coś...
- Zawahał się. - O ile nie okaże się inaczej, przypuszczam, że pan nazwałby to halucynacjami.
- Pan jednak nie uważa, że to były halucynacje?
- Jestem w zupełności pewien, że nie - odpowiedział Blake.
- Czy mógłby pan przyjechać? - zaproponował Daniels. - Chciałbym zbadać pana na miejscu.
- Właśnie chciałem prosić o to samo.
- Waszyngton pęka w szwach - wyjaśnił doktor. - Tłumy ściągnęły na tę bioinżynierską imprezę. Prawie wszystko jest zajęte. Naprzeciwko kliniki, po drugiej stronie ulicy, jest osiedle

mieszkańciowe. Może zostały jakieś wolne fundamenty? Czy ma pan chwilę czasu? Zobaczę, co się da zrobić.

- Oczywiście, poczekam - powiedział Blake.

Twarz doktora zniknęła, a na ekranie pojawił się rozmigotany, niewyraźny obraz jego biura.

- Owsianka przygotowana. Już czeka - wycie Kuchni zakłóciło ciszę. - Także grzanka. Oraz jajka na bekonie. I jeszcze filiżanka kawy.

- Pan prowadzi rozmowę telefoniczną. Jest teraz zajęty - powiedział Dom z dezaprobatą. - A ponadto zamawiał tylko owsiankę.

- Ale może zmienił zdanie - upierała się Kuchnia. - Owsianka może nie wystarczyć. Przypuśćmy, że będzie bardziej głodny. Chyba nie chcesz, aby mówiono, że go głodzimy?

Doktor Daniels ponownie pojawił się na ekranie.

- Dziękuję, że zechciał pan poczekać - powiedział. - Sprawdziłem, ale niestety nie ma wolnych miejsc w tej chwili. Rano zwolnią się jedne fundamenty, zarezerwowałem je dla pana. Czy ten problem może poczekać do jutra?

- Myślę, że może - zgodził się na propozycję Blake. - Chciałem po prostu z panem porozmawiać.

- Porozmawiać możemy już teraz.

Blake pokręcił przecząco głową.

- Rozumiem - powiedział doktor - W takim razie spotkamy się jutro, powiedzmy - o pierwszej. Jakie ma pan plany na dzisiaj?

- Jeszcze nic nie planowałem - odparł Blake.

- Może poszedłby pan na ryby? - podsunął Daniels. - Proszę się czymś zająć i przestać myśleć o tej sprawie. Czy jest pan dobrym wędkarzem?

- Sam nie wiem. - Blake był trochę zakłopotany. - Nie myślałem

o tym. Wydaje mi się, że mógłbym spróbować. Wędkarstwo kojarzy mi się ze sportem.

- Rzeczy wiążą się panu z przeszłością - zastanowił się Daniels.

- To ciągle przypominanie sobie...

- To nie jest przypominanie - sprostował Blake. - To jest dla mnie elementarz wiedzy. Fragmentaryczne wiadomości tworzą gdzieniegdzie czytelne tło, to wszystko. Ale tak naprawdę, niewiele mi to daje. Czytam o czymś lub ktoś coś wspomina i nagle uświadamiam sobie, że już to znam, że kiedyś spotkałem się z takim faktem, stwierdzeniem, sytuacją. Jakbym to wiedział czy też natknął się na to w przeszłości, choć nie wiem, jak i kiedy. Nie mogę na to odpowiedzieć samemu sobie.

- Wiele bym dał - wtrącił Daniels - za jedną czy dwie wskazówki z tego pańskiego źródła wiedzy.

- Ja zwyczajnie z tym żyję - odparł Blake. - Mogę chociaż w ten sposób poradzić sobie ze wszystkim.

- To oczywiście najrozsądniejsze podejście - pochwalił doktor. - Życzę miłego wędkowania, a jutro spotkamy się u mnie. Wydaje mi się, że w waszych okolicach spotyka się jeszcze pstrągi. Musi pan złowić chociaż jednego.

- Dziękuję, doktorze - Blake zakończył rozmowę. Aparat wyłączył się i obraz znikł z ekranu. Blake obrócił się w fotelu.

- Zaraz jak pan skończy śniadanie - powiedział Dom - przed budynkiem będzie czekał na pana poduszkowiec. Sprzęt wędkarski znajdzie pan w tylnej sypialni, która służy nam jako rodzaj magazynu. Kuchnia przygotuje jedzenie na drogę. Ja w tym czasie poszukam strumienia obfitującego w pstrągi i zanotuję potrzebne wskazówki, jak tam dojechać...

- Skończ z tym gadaniem! - wycie Kuchni przerwało mu brutalnie. - Śniadanie stygnie.

.. 8 ..

Wody strumienia pieniały się na przeszkodzie z powalonych drzew i wyrwanych krzewów, które, przyniesione przez wiosenną powódź, zaczepiły się pomiędzy kępą przybrzeżnych brzoź a wysokim brzegiem, wysuniętym ku nurtowi w miejscu ostrego zakrętu koryta. Po przebyciu bariery wzburzone wody wyrównywały się i spokojnie podążały ku wygładzonej powierzchni czarnego jeziora.

Blake ostrożnie skierował zwrotny jednoosobowy poduszkowiec w stronę widocznej zapory na strumieniu, zbliżył się do kępy brzoź i wylądował, wyłączając pole grawitacji. Pozostał w pojeździe przez kilka minut i siedząc nieruchomo, wsłuchiwał się w szum wody. Oczarował go majestatyczny spokój jeziora i odległego łańcucha górskiego, którego wierzchołki sięgały chmur.

Kiedy wysiadł z pojazdu, poruszał się z większą niż zwykle ostrożnością, by nie zakłócać naturalnej harmonii miejsca. Chcąc dostać się do sprzętu wędkarskiego, wyjął kosz z jedzeniem i odstawił go na bok na trawiastym brzegu tuż przy kępie drzew.

W powalonych w poprzek strumienia na kształt naturalnej tamy drzewach coś zachrobotło cichutko. Blake rozejrzał się wokół. Spod drewnianej kłody spoglądała na niego para malutkich oczu, Pomyślał, że musi to być norka lub wydra. Widocznie zaniepokoiła się intruzem i teraz bada sytuację, wysuwając się bojaźliwie z kryjówki wydrążonej w pniu.

- Witaj, gospodarzu - zawołał pogodnie Blake. - Czy pozwolisz, bym na twoim terytorium spróbował swego szczęścia?

- Witaj, przybyszu - odpowiedziała wydro-norka wysokim, piskliwym głosem. - Jakiego rodzaju szczęścia chcesz spróbować? Proszę to sprecyzować.

- Co ty chciałeś... - Blake umilkł, zapominając, o co właściwie chciał spytać.

Wydro-norka wyszła z ukrycia i ukazała się w całej swej okazałości. Nie była to ani norka, ani wydra, ani żadne ze znanych Blake'owi zwierząt. Przed Andrew stała dwunożna istota, wywołująca nieodparte wrażenie, że przed chwilą wyszła z bogato ilustrowanej książki z bajkami dla dzieci. Stworzonko miało około 50 centymetrów wzrostu, owłosiony pyszczyk lekko wydłużony jak u gryzoni, nad którym pod wysokim czołem świeciło dwoje czarnych oczu. Czerwone odstające uszy, umieszczone symetrycznie po obu stronach czaszki, porośnięte były na koniuszkach szczeciniastymi włoskami. Całe ciało miało pokryte gęstym, brązowym futrem, gładkim i lśniącym. Małe rączki z długimi, szczupłymi palcami wyglądały na zręczne i szybkie. Ubrane było w jaskrawoczerwone spodnie z szelkami i z tak wieloma kieszeniami, że zakrywały one właściwie materiał samych spodni.

Zwierzątko powęszyło wokół.

- Czy ty masz może jakieś jedzenie w tym koszyku? - zapytało piskliwie.

- Tak, mam - potwierdził Blake. - Wygląda na to, że jesteś głodny.

Cała sytuacja była wysoce nieprawdopodobna, wręcz absurdalna. Za chwilę, może w mgnieniu oka, wszystko wróci do normy, ilustracja z książek dla dzieci po prostu zniknie i będzie mógł spokojnie zabrać się do łowienia ryb.

- Umieram z głodu. - Ilustracja, zamiast zniknąć, pozwoliła

sobie na udzielenie szerszych wyjaśnień. - Ludzie, którzy zwykle zostawiali mi jedzenie, pojechali na wakacje. Od tego czasu musiałem podkraść to i owo. Czy kiedykolwiek w życiu musiałeś kraść, żeby się najeść?

- Nie przypominam sobie, żebym próbował kiedyś kraść. - Blake był zaskoczony pytaniem; odpowiedział mechanicznie.

Sytuacja biła wszelkie rekordy niezwykłości; w porównaniu z nią każde pytanie mogło wydawać się zwyczajne. Absurdalne było to, że zadawała je istota nie istniejąca. Wymyślona postać ze świata bajek wyszła nagle z ustalonych dla siebie ram i z zupełną swobodą poruszała się w realnym świecie ludzi. Nie robiła sobie nic z racjonalnych żądań wyższego rozumu i zamiast zniknąć, próbowała nawiązać przyjacielską rozmowę. Nie było sposobu, by jej się pozbyć. Blake przestraszył się, że znowu ma kłopoty ze świadomością i zmysłami.

- Jeżeli jesteś głodny, to oczywiście sięgniemy do zapasów. - Blake starał się być gościnnie, nie wiedząc, z czym naprawdę ma do czynienia. - Na co miałbyś szczególną ochotę?

- Jem wszystko, co odpowiada gatunkowi *homo sapiens* - odpowiedział bajkowy karzełek. - Nie jestem wybredny w wyborze pożywienia. Mój system metaboliczny z godną podziwu elastycznością przystosował się do panujących warunków.

Podeszli razem do koszyka i Blake podniósł przykrywę.

- Wydaje mi się, że nie byłeś zdziwiony, gdy pojawiłem się pomiędzy tymi powalonymi drzewami - powiedziało stworzenie.

- Dlaczego miałbym się dziwić? To nie moja sprawa, skąd przyszedłeś - powiedział Blake, próbując jednocześnie zebrać myśli. Pamięć nie podsuwała mu żadnych obrazów. - Co tutaj mamy? Kanapki, ciasto, miseczka z... z sałatką pomidorową i jajka w majonezie.

- Jeśli pozwolisz, wezmę kilka tych kanapek.
- Ależ oczywiście, nie krępuj się.
- Chcesz się przyłączyć? - Karzełek rozgościł się na dobre.
- Nie, jestem właśnie po śniadaniu.

Stworzenie usiadło na ziemi i trzymając kanapki w obu dłoniach, zaczęło jeść łapczywie.

- Proszę wybaczyć mi złe maniery - odezwało się do Blake'a, zaspokoiwszy pierwszy głód - ale musisz zrozumieć, że nie jadłem prawdziwego posiłku już od dwóch tygodni. Możliwe, że wymagam zbyt wiele. Moi opiekunowie dają mi wystarczająco dużo dobrego jedzenia; nie tak jak większość ludzi - miseczkę mleka.

Okruszki osiadły na jego drgających wąsikach. Zajadał z wielkim apetytem, niemal w pośpiechu. Kiedy skończył drugą kanapkę, wstał i wyciągnął ręce w stronę koszyka. Zreflektował się w ostatniej chwili.

- Czy mogę?
- Oczywiście, proszę- powiedział Blake.

Karzełek wziął następną kanapkę i usiadł ponownie.

- Wybacz mi moją ciekawość, ale ilu was tu jest? - zadał kolejne dziwne pytanie.

- W ilu osobach ja tutaj jestem? - Blake myślał, że nie zrozumiał albo się przesłyszał.

- Tak, ty. Pytam, ilu was tu jest?

- Jak to? - wyjąkał Blake. - Jestem tu sam jeden. Jak miałyby być nas więcej?

- Jasne, to głupie, co mówię- zgodziło się stworzenie. - Jednak kiedy cię zobaczyłem, przyszło mi na myśl, że jest was więcej. Mógłbym przysiąc.

Zabrało się do jedzenia kanapki, ale już dużo wolniej niż dwu

poprzednich. Potem delikatnie pociągnęło palcami po wąsikach i strząsnęło okruszki.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziało z wyraźnym zadowoleniem.

- Na zdrowie - odparł Blake. - Jesteś pewien, że nie chcesz jeszcze jednej?

- Nie, dziękuję za kanapki. Ale jeśli miałbyś za dużo ciasta, to chętnie bym go spróbował.

- Poczęstuj się - powiedział Blake, a stworzenie zrobiło to z chęcią. - Ty mi zadałeś pytanie. Zgodzisz się chyba, że ja też mam prawo zapytać cię o coś.

- Jak najbardziej - zgodziło się stworzenie. - Możesz śmiało pytać.

- Odkąd cię zobaczyłem, zastanawiam się, kim lub czym ty naprawdę jesteś - wyjąwił Blake.

- Żartujesz chyba - zdziwiło się stworzenie. - Myślałem, że będziesz wiedział. Nawet mi nie przyszło do głowy, że mnie nie rozpoznasz.

- Przykro mi, ale nie wiem. - Blake pokręcił głową.

- Jestem Krasnolud - powiedziało stworzenie kłaniając się. - Do pańskiej dyspozycji.

.. 9 ..

Doktor Michael Daniels już czekał w swoim gabinecie, kiedy wprowadzono umówionego na konsultacje Andrew Blake'a.

- Jak pan się dzisiaj czuje? - zapytał doktor na powitanie.

- Nie najgorzej jak na ten wycisk, który mi pan dał wczoraj. - Blake uśmiechnął się słabo. - Czy są jeszcze jakieś testy, które pan przypadkiem pominął?

- Rzeczywiście mógł pan się poczuć tak, jakbyśmy sprawdzali na panu przydatność podręczników medycznych - przyznał Daniels. - Ale niech mi pan wierzy: nie wykorzystaliśmy jeszcze wszystkich proponowanych wariantów. Jeżeli pan chciałby coś...

- Nie, dziękuję. To w zupełności wystarczy.

- Proszę siadać. - Doktor wskazał wygodny fotel. - Musimy pomówić o kilku drobiazgach.

Blake zajął wskazane miejsce. Daniels wyjął z szuflady biurka i podsunął w jego stronę teczkę okazałych rozmiarów.

- Wydaje mi się - zaczął Blake - że próbowaliście zbadać, co mogło wydarzyć się w kosmosie... Co stało się ze mną? Czy w ogóle coś sensownego odkryliście?

- Nic konkretnego. - Daniels wzmocnił negatywną odpowiedź ruchem głowy. - Sprawdziliśmy listy załóg i pasażerów wszystkich brakujących statków. Właściwie nie my, tylko Administracja Przestrzeni. Niestety, bez rezultatu. Tak jak ja, są zainteresowani sprawą. Przypuszczam, że nawet bardziej.

- Listy pasażerów na nic się tu nie zdadzą - zauważył Blake. - Nawet gdyby tam było moje nazwisko, nie wiedzielibyśmy...

- Prawda - zgodził się Daniels - ale są tam także odciski palców

i próbki głosu na taśmie. Mamy więc pewność, że pana tam nie ma.

- W jakiś sposób znalazłem się w przestrzeni kosmicznej. Jeżeli nie statkiem, to...

- Tak, wiemy o tym - przerwał mu doktor. - A także, że ktoś pana zamroził, ktoś zadał sobie trud, żeby pana hibernować. Gdybyśmy mogli dowiedzieć się, kto i dlaczego to zrobił, bylibyśmy bliscy rozwiązania zagadki. Ale, oczywiście, zaginięcie statku oznacza automatycznie utratę zapisu z przebiegu lotu. W naszym wypadku tylko bezpośredni przekaz rejestrów na Ziemię byłby bezcennym źródłem danych.

- Sam dużo o tym myślałem - rzekł Blake. - Założyliśmy jako pewnik, że hibernowano mnie w celu uratowania mi życia. Znaczyłoby to, że ktoś podjął się tego, zanim statek uległ zniszczeniu czy może innej katastrofie. Skąd ktokolwiek mógłby wiedzieć, co miało stać się ze statkiem? No, zgodzę się, że mogły zaistnieć warunki, w których nietrudno przewidzieć czy raczej podejrzewać możliwe trudności. Ale czy nie rozważał pan innej wersji wydarzeń? Powiedzmy, ktoś mnie zamroził i usunął z pokładu, bo zrobiłem coś sprzecznego z planami, bo byłem niebezpieczny i bali się mnie, czy przeszkadzałem w jakiś jeszcze inny sposób?

- Nie - powiedział Daniels. - Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Za to myślałem o czymś innym, a mianowicie: skoro pana zamrożono i umieszczono w kapsule, prawdopodobnie nie jest to wypadek odosobniony i inni, tak jak niedawno pan, są w kosmosie. Pan miał to szczęście, że odnaleziono pana, zupełnie zresztą przypadkowo. Podjęlibyśmy poszukiwania, gdybyśmy mieli większą pewność, że rzeczywiście wysłano więcej osób. Może dałoby się uratować choć niektóre - osobiście uważam, że

ważne osoby.

- Powróćmy jeszcze do sprawy usunięcia mnie ze statku. Jeżeli uważali mnie za taką wesz, której trzeba się bezlitośnie pozbyć, to dlaczego wpadli na ten oryginalny pomysł, żeby mnie jednocześnie ocalić?

- Nawet nie próbuję zgadywać. - Doktor pokręcił głową z zakłopotaniem. - Sam pan widzi, że nie możemy wyjść poza sferę przypuszczeń. Proszę liczyć się z ewentualnością, że nigdy nie odpowiemy na te pytania. Miałem nadzieję, że odnajdzie pan coś ciekawego we wspomnieniach, ale zawiodłem się. Pan, jak sądzę, również, z praktyki wiem, jak ma pan szansę przypomnieć sobie kluczowe zdarzenia. Poczekamy jeszcze trochę, potem moglibyśmy zastosować pomocnicze leczenie psychiatryczne. Ale, mówiąc szczerze, nie zawsze jest ono skuteczne.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że mam zrezygnować z szukania prawdy o mojej przeszłości?

- Nie, nic takiego nie sugerowałem. Po prostu staram się przedstawić panu fakty. Będziemy próbowali różnymi metodami tak długo, dopóki pan zgodzi się na współpracę. Uważałem, że jestem panu winien te wyjaśnienia, żeby nie wzbudzać próżnych nadziei.

- To uczciwe z pana strony - odparł Blake.

- Jak udało się panu tamto wędkowanie? - Daniels zmienił temat.

- Całkiem nieźle - powiedział Blake. - Złowiłem sześć pstrągów i miałem pełny relaks na świeżym powietrzu. Myślę, że po to mnie pan namawiał na tę wycieczkę.

- A halucynacje?

- Były - przyznał Blake. - Miałem jedną halucynację. Nie wspomniałem panu, chciałem to po prostu zachować dla siebie.

Jedno przywidzenie mniej czy więcej, to bez znaczenia. Zdecydowałem się jednak dzisiaj rano. Spotkałem Krasnoluda.

- Och - zdziwił się Daniels.

- Słyszysz pan, co powiedziałem: spotkałem Krasnoluda. Więcej, rozmawiałem z nim. Zjadł prawie wszystko, co miałem na obiad. Wie pan, o czym mówię. On był jednym z tych małych ludzików, które występują w bajkach dla dzieci. Mają duże odstające uszy i wysokie szpiczaste czapki. Ten akurat był bez czapki. I miał twarz gryzonia.

- Jest pan szczęściarzem. Niewielu ludziom udało się kiedykolwiek spotkać Krasnoluda. Myślę, że jeszcze mniej z nim rozmawiało.

- Więc pan wierzy w takie rzeczy!

- Oczywiście, nie wierzę, tylko wiem na pewno, że one istnieją. To lud wędrowny z gwiazd Coonskina. Nie jest ich zbyt wielu. Pierwsi przesiedleńcy dotarli na Ziemię... tak, myślę, że ze sto lub sto pięćdziesiąt lat temu jako pasażerowie jednego z naszych statków badawczych. Pierwotna idea była taka, że będą składać nam krótkie wizyty w ramach wymiany kulturalnej, a potem wracać do siebie. Tak przypuszczam. Ale im się tutaj spodobało i złożyły oficjalną prośbę o pozwolenie na pozostanie. Potem gdzieś się rozproszyły, stopniowo zniknęły z oczu. Przeniosły się do lasów, tam znalazły odpowiednie miejsca do życia, zamieszkały w norach, jaskiniach, dziuplach drzew... - Przerwał i w zamyśleniu potrząsnął głową. - Dziwny lud. W większości odrzuciły materialne dobra, jakie im oferowano. Nie chciały mieć wcale do czynienia z naszą cywilizacją, pozostały niewzruszone wobec naszej kultury, techniki, polubiły za to tę planetę. Uważały ją za dobre miejsce do życia, oczywiście życia w ich specyficzny sposób. Właściwie nie wiemy o nich zbyt wiele.

Wygląda na to, że są wysoce ucywilizowane, choć w odmienny niż my sposób. Są inteligentne, ale cenią inne wartości niż my. O ile wiem, niektóre z nich przywiązały się do wybranych rodzin czy pojedynczych osób, które zostawiają dla nich jedzenie, dostarczają materiału na ubrania, od czasu do czasu wyświadczają inne przysługi. To jest dosyć dziwny układ. Krasnoludy nie są maskotkami tych ludzi, można je raczej nazwać talizmanami na szczęście. Bardzo przypomina to rolę, jaką przypisywano literackim krasnoludkom.

- Doprawdy, nie do wiary - powiedział Blake.

- Pan myślał, że ten Krasnolud był kolejną halucynacją?

- Tak. Tak właśnie myślałem. Przez cały czas spodziewałem się, że po prostu sobie pójdzie, zniknie tak, jak się pojawił. Jednak nie. Siedział sobie, zjadał kanapki i strząsając okruszki z wąsów, dawał mi dobre rady - mówił, gdzie są ławice ryb, wskazał dokładne miejsce pomiędzy brzegiem a wirem wodnym. I rzeczywiście była, nawet duża. Wygląda na to, że wiedział, gdzie są ryby.

- Próbował odwdzińczyć się za obiad. Przyniósł panu szczęście.

- Czy myśli pan, że on naprawdę wiedział, gdzie były ryby? Mnie się wydawało, że tak, ale...

- Nie byłbym tym szczególnie zdziwiony - odparł Daniels. - Mówiłem panu, że nie wiemy zbyt wiele o Krasnoludach. Możliwe, że mają umiejętności, których my nie posiadamy. Odnajdywanie skupisk ryb byłoby jedną z nich. - Uważnie spojrział na Blake'a. - Czy pan nigdy nie słyszał o Krasnoludach? Mówię o tych prawdziwych, nie z książek.

- Nie, nigdy.

- Myślę, że to dla nas ważne. Gdyby pan w tym czasie był na Ziemi, musiałby pan o nich słyszeć - wyjaśnił doktor.

- Może słyszałem, ale nie pamiętam.

- Nie sądzę. Incydent zrobił duże wrażenie, wszystkie środki masowego przekazu go nagłośniły. Z pewnością przypominałby pan sobie o tak głośnym wydarzeniu. Oczywiście, jeżeliby pan o nim słyszał. Takie rzeczy na trwałe i głęboko przenikają do świadomości i podświadomości.

- Mamy także inne wskazówki - zauważył Blake. - Ubrania, które nosimy, są dla mnie nowością. Zamiast szortów, sandałów, obszernej szaty nosiłem, o ile sobie dobrze przypominam, spodnie i dopasowaną kurtkę. Albo weźmy statki. Nie wiedziałem o istnieniu urządzeń antygravitacyjnych. W moich czasach używano energii nuklearnej...

- Nadal jej używamy.

- W moich czasach były tylko reaktory nuklearne. Teraz podstawowa energia pochodzi z kontrolowania i manipulowania siłami grawitacji, reakcji jądrowych używa się tylko dodatkowo dla podniesienia szybkości statków.

- Jak sądzę, kilka innych rzeczy także jest panu nieznanych - zauważył Daniels. - Powiedzmy, domy...

- Och, jeżeli o to chodzi... niemal doprowadziły mnie do szaleństwa. Dobrze, że chociaż z powodu Krasnoludów mogę poczuć ulgę. Przynajmniej jeden dziwny incydent znalazł wyjaśnienie.

- Ma pan na myśli halucynacje? Oczywiście, wiem, że pan by ich tak nie nazwał. Przynajmniej wczoraj tak pan powiedział.

- Bo to nie jest odpowiednie określenie - wyjaśnił Blake. - Pamiętam wszystko, co robię i co się dzieje do pewnego punktu, potem jest przerwa, pustka i na powrót jestem sobą. Nic nie pamiętam z tych dziur w świadomości, chociaż jest wiele dowodów, że w tym czasie coś się działo. Można dokładnie

określić, ile to trwało.

- Po raz drugi to się zdarzyło, kiedy pan spał - upewnił się doktor.

- Tak. Pokój zarejestrował pewne zjawisko, kiedy się zaczęło, skończyło i ile trwało.

- Jakiego rodzaju ma pan dom?

- Typ Norman-Gilson B 258.

- To jeden z nowszych i lepszych modeli. Znakomicie wyposażony i skomputeryzowany. Niemal doskonale skonstruowany. Mało prawdopodobne, by się popsuł.

- Nie sądzę, żeby była jakaś awaria - zgodził się Blake. - Myślę, że Pokój mówił prawdę. To, co zarejestrował i przekazał mi, rzeczywiście musiało się tam wydarzyć. Obudziłem się, siedząc w kucki na podłodze...

- Nie mając pojęcia, co się stało, dopóki Pokój panu nie powiedział. Domyśla się pan, skąd biorą się te dziwne przypadki?

- Ani trochę. Miałem nadzieję, że pan ma jakieś sugestie.

- Niestety żadnych - odpowiedział doktor. - To znaczy, żadnych prawdopodobnych hipotez. Jeżeli chodzi o pana, to są dwie, powiedziałbym... kłopotliwe rzeczy. Pierwsze, to pańska kondycja fizyczna. Wygląda pan na trzydzieści, no, najwyżej trzydzieści pięć lat. Ma pan kilka zmarszczek, to wszystko. Sprawia pan wrażenie człowieka dojrzałego, a jednak ma pan ciało młodzieńca. Brak jakiejś skazy czy słabości, żadnego znaku choroby lub choćby utraty sił. Doskonały okaz zdrowia. Jak to pogodzić z rysami twarzy trzydziestolatka?

- A ta druga rzecz? Powiedział pan, że chodzi o dwie sprawy.

- Ta druga? No cóż, pański elektroencefalogram ma dziwny wykres. Zarejestrowaliśmy główną czynność mózgu, ale pojawiło się jeszcze coś. Prawie - waham się, czy mogę to powiedzieć - tam

są niemal dwa wykresy; drugi zapis nakłada się na czynności pańskiego mózgu. Jest to słaby zapis słabych czynności. Mogę to panu wytłumaczyć, a raczej określić jako procesy uzupełniające.

- Co pan mi próbuje wmówić, doktorze? Że jestem nienormalny? To by oczywiście wyjaśniało halucynacje; to musiałoby znaczyć, że mam halucynacje, a nie coś innego.

Doktor Daniels przecząco pokręcił głową.

- Nie, nie powiedziałem tego i nie miałem tego na myśli. Pański wynik jest dziwny, nigdy przedtem nie spotkałem się z czymś takim. Przebieg funkcji jest prawidłowy, żadnych zakłóceń. Pański mózg wygląda równie zdrowo jak pańskie ciało. Zaryzykowałbym sugestią, że badanie wskazuje na obecność więcej niż jednego mózgu. Chociaż doskonale wiemy, że ma pan tylko jeden mózg. Potwierdzenie otrzymaliśmy na zdjęciu rentgenowskim.

- Czy jest pan pewien, że jestem człowiekiem?

- Pańskie ciało wskazuje na to. Skąd te wątpliwości?

- Sam nie wiem - odparł Blake. - Znaleziono mnie w kosmosie, może pochodzę stamtąd...

- Rozumiem - przerwał mu Daniels. - Proszę o tym całkowicie zapomnieć. Nie ma najmniejszego powodu, by sądzić, że mógłby pan nie być człowiekiem. Przeciwnie, mamy aż nadto dowodów, że jest pan doskonałym przedstawicielem rodzaju ludzkiego.

- I co teraz? Mam iść do domu i czekać, aż będzie więcej tych...

- Może nie tak od razu. Chcielibyśmy, aby pan został z nami jeszcze przez jakiś czas - zaproponował doktor. - To tylko kilka dni. Oczywiście, jeżeli pan zechce.

- Dodatkowe testy?

- Może. Przede wszystkim chcę porozmawiać z moimi kolegami z kliniki i poprosić, by zainteresowali się panem.

Możliwe, że oni coś odkryją lub zasugerują. No i chcę oczywiście, by został pan jeszcze kilka dni na obserwacji.

- Na wypadek, gdyby znowu pojawiły się te halucynacje?

- No, to też, między innymi - odparł Daniels.

- Niepokoi mnie ta sprawa mojego mózgu - wyznał Blake. -
Mówi pan, że więcej niż jeden...

- Nie. Tak tylko sugeruje encefalogram. Ja bym się tym wcale nie martwił.

- W porządku - zgodził się Blake. - Przeszanę o tym myśleć.

Łatwo powiedzieć, ale co mogło znaczyć to niezwykle pytanie Krasnoluda? Ilu nas jest? Powiedział, że mógłby przysiąc, iż pierwsze wrażenie, jakie odebrał, to jakby było nas więcej.

- Doktorze, czy jeżeli chodzi o Krasnoludy, to one...

- To co Krasnoludy?

- Ach, nic - rzekł pośpiesznie Blake. - Myślę, że to zupełnie nieistotne.

Wyjątki z protokołu posiedzenia senatorskiej komisji badawczej (region Waszyngton, Ameryka Północna) do rozpatrzenia kwestii projektu programu rozwoju inżynierii biologicznej jako podstawy polityki kolonizacji innych układów słonecznych.

Pan Peter Doty, adwokat z ramienia komisji: Czy nazywa się pan Austin Lukas?

Dr Lukas: Tak. Mieszkam w Tenafly, w New Jersey, i pracuję w Instytucie Biologii, w Nowym Jorku, na Manhattanie.

Pan Doty: Jest pan szefem departamentu badawczego waszego Instytutu, czyż nie tak?

Dr Lukas: Prowadzę nadzór nad jednym z programów badawczych.

Pan Doty: Który to program związany jest z bioinżynierią?

Dr Lukas: Tak, rzeczywiście. Obecnie skoncentrowaliśmy się szczególnie na problemie wykształcenia zwierząt hodowlanych o wszechstronnych możliwościach rozwoju.

Pan Doty: Byłby pan łaskaw to wyjaśnić?

Dr Lukas: Z przyjemnością. Mamy nadzieję, że uda nam się wyhodować zwierzę, które będzie dostarczało kilku różnych rodzajów mięsa, będzie dawało mleko, zaspokajało popyt na wełnę, włosie, skóry, może wszystko jednocześnie. Spodziewamy się, że mogłoby ono zastąpić wiele gatunków zwierząt, wyspecjalizowanych przez człowieka w ciągu wieków od czasu rewolucji neolitycznej.

Senator Stone: Domyślam się więc, doktorze Lukas, że istnieją

przesłanki wskazujące na bliski sukces i możliwości praktycznego zastosowania wyników.

Dr Lukas: Oczywiście, że istnieją. Mogę już teraz powiedzieć, że zdołaliśmy pokonać główne przeszkody. Tak naprawdę, to już wyhodowaliśmy stado takich zwierząt, teraz pracujemy nad pewnymi ulepszeniami. Naszym ostatecznym celem jest wyhodowanie jednego gatunku, który zastąpi wszystkie zwierzęta hodowane dotychczas i tak jak one, będzie zaspokajało wszystkie nasze potrzeby.

Senator Stone: Czy w tym eksperymencie także macie nadzieje na sukces?

Dr Lukas: Dotychczasowy przebieg badań pozwala nam żywić takie nadzieje.

Senator Stone: Czy można wiedzieć, jak nazywa się to zwierzę już istniejące?

Dr Lukas: Na razie nie mamy dla niego nazwy, senatorze. Nie traciliśmy czasu na wymyślanie dla niego imion.

Senator Stone: To nie będzie krowa, prawda?

Dr Lukas: Nie, niezupełnie. Chociaż, oczywiście, będzie miało pewne cechy wołu.

Senator Stone: Czy to świnia? Może owca?

Dr Lukas: Nie, ani jedno, ani drugie. To znaczy - niezupełnie te stare gatunki, ale jednak z pewnymi cechami obu.

Senator Horton: Myślę, że możemy oszczędzić sobie tych długich wstępów. Mój szanowny kolega chce zapytać, czy zwierzę, które próbujecie wyhodować, jest zupełnie nową formą życia - powiedzmy, syntetycznego życia - czy też nadal zostanie zachowane pokrewieństwo z obecnie żyjącymi formami naturalnymi?

Dr Lukas: Odpowiedź na to pytanie, senatorze, jest niezwykle

trudna i niejednoznaczna. Powiem krótko: z całą pewnością cechy obecnie istniejących naturalnych form życia posłużyły nam za wzór i zostały w dużej części zachowane, z drugiej strony nie zawaham się stwierdzić, że stworzyliśmy nowy rodzaj zwierzęcia.

Senator Stone: Dziękuję panu za te wyjaśnienia. Pragnę także podziękować mojemu koledze senatorowi za szybkie zgłębienie właściwej istoty moich pytań. Więc okazuje się, że mamy, jak sam pan to określił, całkowicie nowy gatunek zwierząt, dalekiego kuzyna krowy, owcy, świni, możliwe, że nawet innych form życia...

Dr Lukas: Tak, innych form także. Oczywiście, gdzieś musi być granica jego wszechstronnych możliwości i cech, choć na razie nie doszliśmy do niej. Czujemy się na tyle precyzyjni i sprawni naukowo, by kontynuować odtwarzanie różnorodnych stworzeń, a następnie krzyżowanie ich dla uzyskania formy zdolnej do samodzielnego życia...

Senator Stone: Im dalej posuwają się panowie w tym eksperymencie, tym mniejszy istnieje związek z obecnie istniejącymi rodzajami zwierząt, czyż nie tak?

Dr Lukas: Tak, przypuszczam, że to prawdziwa teza. Musiałbym pomyśleć, zanim mógłbym dać autorytatywną odpowiedź.

Senator Stone: Pozwoli pan, doktorze, że dokładniej zbadamy zakres pańskich działań. Dotychczas inżynieria biologiczna zajmowała się zwierzętami. Czy możliwe są podobne zmiany ludzkiego organizmu?

Dr Lukas: O tak, z pewnością.

Senator Stone: Jest pan pewien, że można stworzyć nowe rodzaje ludzkości w laboratorium. Prawdopodobnie wiele

różnorodnych typów i podtypów rodzaju ludzkiego.

Dr Lukas: Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Senator Stone: I kiedy to zostanie zrobione - kiedy zbudujecie człowieka o specyficznych właściwościach - czy będzie on mógł rozmnażać się, powielając zsyntetyzowane przez was cechy?

Dr Lukas: Z całą pewnością mogę to potwierdzić. Stworzone przez nas zwierzęta rozmnażają się, zachowując pożądane cechy. Z ludźmi nie powinno być inaczej. Jest to tylko kwestia prostej wymiany danych genetycznych. Zapewne sam pan rozumie, że to musi być zrobione jako początek zmian.

Senator Stone: Wyjaśnijmy to dokładnie, żeby nie było wątpliwości. Przypuśćmy, że zostanie rozwinięta nowa gałąź rodzaju ludzkiego. Czy będzie ona reprodukować się w obrębie tego samego rodzaju?

Dr Lukas: Dokładnie tak. Oczywiście z wyjątkiem drobnych mutacji i wariacji powstałych w wyniku naturalnego procesu ewolucji. Wie pan przecież, że wszystkie naturalne organizmy zmieniają się poprzez ewolucję. Tak rozwinęło się obecne życie na naszej planecie.

Senator Stone: Powiedzmy, że stworzyliście nowy rodzaj człowieka. Przypuśćmy, dla przykładu, że będzie on mógł żyć na planecie o wielokrotnie zwiększonej, w porównaniu z ziemską, grawitacji, że będzie mógł oddychać innym rodzajem powietrza, że będzie żywił się pokarmami, które dla nas okazały się szkodliwe czy śmiertelnie trujące... Czy mógłby pan... Pozwoli pan, że inaczej sformułuję moje pytanie. Jak pan sądzi, czy byłoby możliwe skonstruowanie tak niezwyklej istoty?

Dr Lukas: Chce pan, oczywiście, usłyszeć moją rozważną i przemyślaną opinię.

Senator Stone: Inaczej nie zadawałbym trudu ani panu, ani

sobie.

Dr Lukas: Cóż, więc odpowiem, że uważam to za całkowicie możliwe. Na początek musielibyśmy wziąć pod uwagę wszystkie znaczące czynniki, naszkicować plan budowy biologicznej...

Senator Stone: Ale czy to może być zrobione?

Dr Lukas: Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Senator Stone: Czy zdołalibyście zaprojektować istotę zdolną do życia w każdych warunkach planetarnych?

Dr Lukas: Senatorze, muszę wyjaśnić, że ja osobiście bym nie mógł. Bioinżynieria ludzka nie mieści się w polu moich zainteresowań. Ale, oczywiście, leży to w mocy sztuki bioinżynierii jako takiej. Są ludzie już dzisiaj pracujący nad tym problemem i oni mogą to zrobić. Nie było dotąd żadnych poważnych prób stworzenia takiego człowieka, ale trudności, o ile wiem, zostały rozpracowane.

Senator Stone: Czy sam proces tworzenia także?

Dr Lukas: Tak to rozumiem. Stworzono podstawy teoretyczne wraz z metodami praktycznego zastosowania.

Senator Stone: Czy ludzie opracowujący je mogą w każdej chwili zaprojektować i stworzyć człowieka zdolnego do życia na każdej planecie?

Dr Lukas: Nie posuwajmy się za daleko, senatorze. Na razie nie we wszystkich warunkach. Możliwe, że w przyszłości, ale teraz na to jeszcze za wcześnie. Ponadto, proszę zauważyć, zdarzają się warunki ekstremalne, w których żadne formy życia nie przetrwają.

Senator Stone: Ale można stworzyć taki organizm ludzki, który przystosowałby się do warunków zabójczych dla nas.

Dr Lukas: Ma pan w zupełności rację.

Senator Stone: Więc niech mi wolno będzie spytać, doktorze...

Czy ta istota nadal będzie człowiekiem?

Dr Lukas: Byłaby wzorowana, na tyle, na ile to możliwe, na strukturze biologicznej i intelektualnej ludzkiego organizmu. Trzeba mieć punkt wyjścia. To po prostu konieczność.

Senator Stone: Czy ta istota wyglądałaby jak ludzie?

Dr Lukas: W wielu przypadkach nie.

Senator Stone: Prawdopodobnie w większości przypadków. Czy nie mam racji, doktorze?

Dr Lukas: To byłoby uzależnione jedynie od surowości środowiska naturalnego, w którym taki człowiek miałby żyć.

Senator Stone: Czasami musiałyby wyglądać jak potwór, prawda?

Dr Lukas: Senatorze, proszę sprecyzować pojęcia. Co dla pana oznacza słowo potwór?

Senator Stone: W porządku. Powiedzmy, że potwór to istota wywołująca u ludzi obrzydzenie swym wyglądem. W której przy największych staraniach trudno byłoby dostrzec podobieństwo do ludzi. Stworzenie, które postawione z nami twarzą w twarz wzbudzałoby przestraszanie, przerażenie nawet, może obrzydzenie.

Dr Lukas: To, czy czulibyśmy obrzydzenie, zależałoby w dużej mierze od nas samych, od tego, jacy jesteśmy my, a nie ów potwór. Właściwy stosunek do...

Senator Stone: Zapomnijmy w tej chwili o właściwym stosunku. Rozważmy sytuację przeciętnej kobiety czy mężczyzny, choćby kogoś spośród tutaj obecnej publiczności. Czy zwykli ludzie, patrząc na pańską hipotetyczną istotę, mogliby czuć obrzydzenie i wstręt?

Dr Lukas: Przypuszczam, że niektórzy mogliby. Pozwoli pan jednak, że sprostuję pańską wypowiedź. To nie ja mówiłem o potworze. Pan niepotrzebnie używa słów o negatywnych

konotacjach...

Senator Stone: Jednak przyznaje pan, że wielu ludzi uważałoby tę istotę za potwora?

Dr Lukas: Możliwe, że jakaś część tak by myślała.

Senator Stone: Twierdzą, że wielu ludzi.

Dr Lukas: Tak. Nie można wykluczyć, że wielu.

Senator Stone: Dziękuję, doktorze. Myślę, że to już wszystko, o co chciałem zapytać.

Senator Horton: Doktorze Lukas, przyjrzyjmy się teraz bliżej temu syntetycznemu człowiekowi. Może mówię nieprecyzyjnie, ale przynajmniej mój szanowny kolega zgadza, się na tę nazwę.

Senator Stone: Syntetyczny człowiek? Tak, to chyba trafne. Z pewnością nie człowiek naturalny. Projekt inżynierii biologicznej zakłada kolonizację innych planet nie przez ludzi, ale przez syntetyczne stwory wcale do nas niepodobne. Innymi słowy - zakłada wysłanie w galaktyki hord potworów.

Senator Horton: Chwileczkę. Pomyślmy. Zakładamy, że **Senator Stone** ma rację co do ewentualnego nieprzyjemnego wyglądu syntetycznego człowieka. Zgódźmy się z tym. Dla mnie jednak sprawa jego wyglądu pozostaje drugorzędna. Ważne, kim czy też czym on będzie. Prawda, doktorze?

Dr Lukas: Jak najbardziej, senatorze.

Senator Horton: Pomijając kwestię jego powierzchowności, czy nadal można uważać go za człowieka?

Dr Lukas: Tak, to nadal będzie człowiek. Nawet jeżeli budowa ciała nie nosiłaby żadnych śladów pokrewieństwa. Jego tożsamość będzie wpisana w mózg, zdolności intelektualne, motywacje i emocje.

Senator Horton: Więc ta istota będzie miała ludzki mózg?

Dr Lukas: Tak, senatorze.

Senator Horton: Dlatego też będzie miał ludzkie poglądy, uczucia, pragnienia?

Dr Lukas: Tak właśnie będzie.

Senator Horton: Na tej podstawie można go nazwać człowiekiem, niezależnie od wyglądu fizycznego.

Dr Lukas: Tak, to byłby człowiek.

Senator Horton: Doktorze, czy według pańskich informacji taki syntetyczny człowiek został już kiedykolwiek zbudowany?

Dr Lukas: Tak, około dwieście lat temu. Zbudowano dwoje takich ludzi. Były jednak różnice w...

Senator Stone: Chwileczkę, doktorze. Czy mówi pan o tym starym micie, który od czasu do czasu powraca na łamy gazet?

Dr Lukas: Senatorze, to nie jest mit.

Senator Stone: Czy istnieje dokumentacja potwierdzająca jego prawdziwość?

Dr Lukas: Nie, senatorze.

Senator Stone: Co pan ma na myśli, mówiąc nie? Bierze pan udział w publicznej konferencji mającej na celu zbadanie pańskiej działalności naukowej i wygłasza pan oświadczenia bez pokrycia?

Senator Horton: Ja mogę to udowodnić. W odpowiednim czasie przedstawię niezbędne dokumenty.

Senator Stone: Powinien pan więc zająć miejsce świadka, senatorze...

Senator Horton: Ależ nie, jestem w pełni zadowolony z zeznań doktora Lukasa. Wspomniał pan coś o różnicach...

Senator Stone: Chwileczkę! Wnoszę sprzeciw. Świadek nie jest kompetentny.

Senator Horton: Dobrze, sprawdzimy to. Doktorze, w jakich okolicznościach uzyskał pan te informacje?

Dr Lukas: Przed dziesięciu laty przygotowywałem artykuł do jakiejś gazety i zacząłem starania o dostęp do tajnych zapisów w Administracji Przestrzeni. Poszedłem tropem czegoś, co pan nazywa mitem. Niewielu ludzi wiedziało o tym, ale ja postanowiłem sprawdzić, czy to nie coś więcej niż stare baśnie. Więc, jak mówiłem, zgłosiłem się do Administracji po...

Senator Stone: I chce pan powiedzieć, że otrzymał pan wolną rękę w takiej sprawie?

Dr Lukas: Nie, nie tak od razu. Administracja Przestrzeni była co najmniej niechętna moim prośbom. W końcu uciekłem się do argumentacji, że w sprawie sprzed dwu wieków nie może być mowy o zachowaniu tajemnicy z prostego powodu - przedawnienia. Była to już tylko kwestia historycznego zapisu. Nie muszę chyba dodawać, jak trudno było przekonać ich o logiczności mojego rozumowania.

Senator Horton: Ale w końcu powiodło się panu.

Dr Lukas: Tak, w końcu tak. Choć dodam, że przy dużym poparciu znaczących osobistości. To zrozumiałe, jeśli się zauważy, że w swoim czasie materiały te były ściśle tajne. Pod względem formalnym to obowiązywało nadal. Potrzeba było wielu mocnych argumentów, by pokazać absurdalność stawianych zastrzeżeń...

Senator Stone: Pozwoli pan, że panu przerwę, doktorze. Wspomniał pan o poparciu ze strony kogoś ważnego.

Dr Lukas: Tak, to prawda.

Senator Stone: Czyżbym się mylił, zgadując, że w znacznej mierze pochodziło ono od senatora Hortona?

Senator Horton: Ponieważ pytanie odnosi się do mnie, pozwoli pan, doktorze, że odpowiem. Z zadowoleniem stwierdzam, iż mogłem służyć pomocą w tak ważnej sprawie.

Senator Stone: W porządku, to mi wystarczy. Chciałem, by znalazło się to w protokole.

Senator Horton: Proszę kontynuować, doktorze Lukas.

Dr Lukas: W rejestrach był zapis o tym, że 221 lat temu - w roku 2266, mówiąc dokładnie - zrobiono dwoje syntetycznych ludzi. Byli zbudowani jak ludzie i mieli ludzkie mózgi, ale skonstruowano ich do celów specjalnych. Mieli zapoczątkowywać kontakty Ziemi z życiem na innych planetach. Odlecieli na pokładach statków badawczych i mieli w czasie ekspedycji zbierać dane o dominujących formach życia na nowo odkrytych planetach.

Senator Horton: Czy mógłby pan powiedzieć nam, bez zagłębiania się w szczegóły, jak zaplanowano wykonywanie przez nich tego zadania?

Dr Lukas: Postaram się, żeby moje wyjaśnienia zabrzmiały dla państwa czytelnie. Ci syntetyczni ludzie mieli wysoką zdolność adaptacji. Z braku lepszego terminu nazwałbym to właściwościami typowymi dla plastyku. Zastosowano koncepcję nieskończonej otwartości, rozwiniętą nie dalej, jak na dziesięć lat przed tym eksperymentem. Nawiasem mówiąc, to niespotykane, by tak śmiała teoria w tak krótkim czasie znalazła zastosowanie praktyczne. Wszystkie podstawowe komponenty skonstruowanych ciał opierały się na zasadzie nieskończonej otwartości - proszę zauważyć, skończone, a jednak w swej esencji niekompletne. Aminokwasy...

Senator Horton: Może w tej chwili wyjaśni nam pan raczej, do jakich zadań skonstruowano te ciała, a nie na jakich zasadach.

Dr Lukas: Pyta pan, jak zaplanowano ich działanie?

Senator Horton: Tak, jeśli można.

Dr Lukas: Idea zakładała, że po wylądowaniu na jakiejś

planecie przedstawiciela dominującego na niej gatunku schwyta się, przebada i skopiuje. Myślę, że nie jest panom obce pojęcie powielania biologicznego. Struktura, skład chemiczny, procesy metaboliczne - wszystkie dane charakteryzujące daną jednostkę - będą odczytane i przekazane do mózgu syntetycznego człowieka. One zaś zmienią go w identyczną kopię osobnika, od którego pochodziły dane, właśnie dzięki zasadzie nieskończonej otwartości. To nie może być, oczywiście, powolny proces; skutki mogłyby okazać się fatalne. To musi być niezwykle zjawisko - taka nagła zmiana człowieka w zupełnie inne stworzenie.

Senator Horton: Powiedział pan, że w takich warunkach człowiek zmienia się w inną istotę. Czy to oznacza, że pod każdym względem - intelektualnie, emocjonalnie, jeśli jeszcze te terminy będą adekwatne?..,

Dr Lukas: Rzeczywiście, człowiek stanie się innym stworzeniem. Nie jedną z tych istot, to jasne, ale dokładną kopią schwytanego oryginału. Przejmie jego wspomnienia i myśli, będzie jakby telepatycznie odbierał posunięcia swego oryginału. Po opuszczeniu statku tak przystosowany syntetyczny człowiek może odszukać współtowarzyszy swego modelu, przyłączyć się do nich i przeprowadzać badania...

Senator Horton: Czy to znaczy, że nadal zachowa swój ludzki umysł?

Dr Lukas: Cóż, to trudno powiedzieć. Ludzka mentalność, pamięć, tożsamość nie będą usunięte, ale mocno osłabione, wyciszone jakby. One będą w podświadomości, zdolne odezwać się w każdej chwili. Syntetyczny człowiek miałby więc zakodowany imperatyw, by po określonym czasie powrócić na statek i po przylocie na Ziemię, w myśl tej samej zasady, odzyskałby ludzką postać. Wtedy przypomniałby sobie wszystkie

doświadczenia zdobyte w zmienionej formie i mógłby je przekazać.

Senator Horton: Czy można zapytać o konkretne rezultaty eksperymentu?

Dr Lukas: Niestety, rejestry milczą na ten temat. Ostatnia zarejestrowana informacja to fakt ich odlotu. Dalej raporty się urywają.

Senator Horton: Czy można przyjąć, że coś się nie udało?

Dr Lukas: Tak, choć nie mam pojęcia, co to by mogło być.

Senator Horton: Coś stało się tym syntetycznym ludziami?

Dr Lukas: Tak, to jedna z możliwości. Nie ma sposobu, by to sprawdzić.

Senator Horton: Może nie działali jak należy?

Dr Lukas: Och, z pewnością mogli wykonywać swe zadania. Plan nie mógł zawieść. Musieli działać według programu.

Senator Horton: Zadaję te pytania, bo wiem, że i tak padłyby z ust mego szanownego kolegi. Teraz zapytam o sprawę ważną dla mnie - czy dzisiaj można by skonstruować syntetycznego człowieka?

Dr Lukas: Tak, mając niezbędne dane w ręku, nikt nie miałby z tym większego kłopotu.

Senator Horton: Jednak oprócz tych dwu osobników nie zbudowano nigdy następnych?

Dr Lukas: O ile wiem, nie.

Senator Horton: Czy nie snuje pan jakichś przypuszczeń co do...

Dr Lukas: Nie, senatorze, żadnych.

Senator Stone: Jeśli mogę panom przeszkodzić... Czy ma pan, doktorze Lukas, jakiś opisowy termin na określenie procesu zastosowanego w budowie syntetycznego człowieka?

Dr Lukas: Istotnie, istnieje odpowiedni termin. Nazwano to zasadą wilkołaka.

Po drugiej stronie ulicy, na parkingu dla latających domów, tylne drzwi jednego z budynków otworzyły się, wypuszczając mężczyznę niosącego dużą donicę w obu dłoniach. Skrzynka została umieszczona na brzegu niewielkiego stawu, a zasadzone w niej drzewko zaczęło po odejściu mężczyzny wydawać dźwięki podobne do radosnego brzęczenia miniaturowej orkiestry srebrnych dzwoneczków.

Blake, owinięty obszerną szatą w kolorowe pasy, siedział w fotelu na piątym piętrze kliniki i wychylając się w stronę ulicy, czujnie wsłuchiwał się w odgłosy z zewnątrz. Chciał upewnić się, że to właśnie drzewo ma tak szczególne cechy. Wszystko na to wskazywało - dźwięk rozlegał się znad stawu i to dopiero od chwili, kiedy znalazło się tam tak niepodobne do swych naturalnych przodków drzewko.

Waszyngton drzemał w niebieskawej mgłę późnego październikowego popołudnia. Bulwarem z cichym jak westchnienie szumem przemykały nieliczne samochody. W oddali nad Potomakiem migają światła poduszkowców osobowych, mknących w noc. Domy na parkingu stały regularnie w rzędach, każdy ze swym maleńkim trawnikiem, grządkami pełnymi kolorowych jesiennych kwiatów, niebieską taflą stawu. Wychylając się do przodu, Blake dostrzegł kątem oka swój dom ustawiony na fundamentach w trzecim rzędzie od ulicy.

Najbliższym sąsiadem Blake'a w solarium był starszy mężczyzna, po uszy otulony puszystym, czerwonym kocem. Nieruchomymi oczyma wpatrywał się w przestrzeń przed sobą,

gdzie przy dużych staraniach trudno byłoby dostrzec coś interesującego, i przez cały czas mruczał niewyraźnie pod nosem. Dwaj inni pacjenci grali w warcaby - tak przynajmniej ocenił Blake przy swoich skromnych zasobach przestarzałej nieco wiedzy. Jeden z pracowników kliniki pośpiesznie przeszedł przez salę.

- Panie Blake - powiedział - ktoś chce się widzieć z panem.

Blake wstał i obrócił się w stronę drzwi, gdzie czekała wysoka, ciemnowłosa kobieta, ubrana w jasnoróżową szatę, połyskującą jak jedwab.

- Panna Horton - rozpoznał Blake. - Proszę ją wprowadzić.

Kobieta podeszła do niego i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Wczoraj po południu pojechałam do pańskiego osiedla - zaczęła - ale chyba tylko po to, by dowiedzieć się, że pana już tam nie ma.

- Przykro mi, że na próżno zadawała sobie pani trud. Proszę, niech pani usiądzie.

Zajęła miejsce we wskazanym jej fotelu. Blake przysiadł na balustradzie werandy.

- Jest pani z ojcem w Waszyngtonie na konferencji? - zagadnął.

- Zaczęła się dzisiaj rano. - Pokiwała twierdząco głową.

- Przypuszczam, że i pani będzie uczestniczyła w niektórych spotkaniach.

- Tego się niestety spodziewam. Nie lubię patrzeć, jak mój ojciec raz po raz przegrywa w dyskusjach, które przypominają raczej utarczki słowne - wyjaśniła. - Podziwiam go za odwagę, publiczną obronę swych poglądów, wolałabym jednak, by czasami przychylił się do opinii ogółu. Chyba nigdy mu się to nie zdarzyło. Zawsze jest po przeciwnej stronie niż większość. Obawiam się, że tym razem porażka może być szczególnie

bolesna dla niego.

- Ma pani na myśli tę zasadę jednomyślności? Czytałem o tym kilka dni temu i uważam to za czysty absurd.

- Może ma pan rację, ale takie jest prawo. Niepotrzebnie, sędzę, przekształcono zasadę większości głosów w prawo jednomyślności. Dla senatora wycofanie się z czynnego życia publicznego może stać się niemal śmiertelnym ciosem. Od lat stanowiło ono istotę i główny cel jego życia.

- Polubiłem pani ojca. - Blake starał się oderwać ją od smutnych myśli. - Jest bardzo naturalny. Wasz prosty dom też ma coś z takiej atmosfery.

- Obydwaj są staroświeccy - uśmiechnęła się.

- Może ma pani rację, chociaż to więcej niż zwykły sentyment do przeszłości. W senatorze jest coś solidnego i silnego w połączeniu z młodzieńczym entuzjazmem i poświęceniem...

- O, tak - zgodziła się. - Jest oddany swej pracy. Wielu ludzi to dostrzega i podziwia, ale jednocześnie mój ojciec irytuje innych, wytykając im błędy.

- Nie znam lepszego sposobu irytowania ludzi - roześmiał się Blake.

- Ja chyba też nie. A co u pana się dzieje? - zainteresowała się życzliwie.

- Zupełnie nieźle sobie radzę - odparł. - Nie ma powodów, bym miał tu dłużej zostać. Zanim pani weszła, siedziałem i słuchałem dzwoniącego drzewa. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Mężczyzna z domu naprzeciwko wyniósł je na dwór i postawił nad wodą, a wtedy ono zaczęło wydzwaniać wesołe melodie.

Wychyliła się nieco, by spojrzeć na ulicę, skąd nadal dobiegały miłe dla ucha dźwięki.

- To tak zwane drzewo monasterów - wyjaśniła. - Niewiele się

ich spotyka. Są importowane z jakiejś odległej planety, nie pamiętam jej nazwy.

- Co krok napotykam takie zaskakujące nowości. W obrębie mej świadomości nie ma miejsca na mnóstwo rzeczy, które dla was są naturalne. Wie pani, któregoś dnia spotkałem Krasnoluda.

- Krasnoluda? Naprawdę? - Była mile zaskoczona.

- Zjadł cały mój obiad - dodał z żartobliwym uśmiechem.

- Miał pan szczęście, jak rzadko kto. Mówię poważnie.

- Nigdy przedtem o nich nie słyszałem i myślałem, że to kolejna halucynacja.

- Jak wtedy, kiedy zabłądził pan do nas, tak?

- Tak. Nadal nie wiem, co mi się wtedy przydarzyło. Nie ma logicznego wyjaśnienia,

- A co lekarze...

- Są równie bezradni jak ja. I równie zaskoczeni. Osobiście uważam, że Krasnolud był najbliższy prawdy.

- Krasnolud? A co on ma z tym wspólnego?

- Zapytał, ilu nas jest. Mówił, że kiedy mnie po raz pierwszy zobaczył, czuł, jakby była tam więcej niż jedna osoba. Dwaj czy trzej ludzie w jednej osobie... Zresztą nie wiem ilu. Ważne, że więcej niż jeden.

- Panie Blake - zaczęła z powagą - myślę, że w każdym człowieku jest więcej życia niż dla jednej osoby. Nasza osobowość jest wielostronna.

Blake pokręcił przecząco głową w zamyśleniu.

- Krasnolud nie to miał na myśli. Jestem pewien. Dużo o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że on nie mówił o zmienności i różnorodności temperamentów.

- Czy mówił pan o tym lekarzowi?

- Nie, nie chciałem o tym wspominać. On i tak ma już zbyt wiele na głowie. Po co go martwić takim drobiazgiem.

- Drobiazg, ale może ważny.

- Skąd mogę wiedzieć? - odparł Blake.

- Postępuje pan tak, jakby pan nie dbał o tę sprawę - zawyrokowała Elaine Horton. - Jakby pan nie chciał się dowiedzieć prawdy, może nawet bał się tego.

- Wcale tak nie myślałem. - Spojrzał na nią uważnie. - Możliwe, że ma pani rację.

Dźwięki dobiegające z ulicy zmieniły się: z koncertu drżących srebrnych dzwoneczków wyłoniły się pojedyncze donośne uderzenia dużego dzwonu, posyłającego starożytnemu miastu jakby sygnały ostrzeżenia, a zarazem wyzwania.

.. 12 ..

Strach narastał w stworzeniu z każdym metrem tunelu, którym szaleńczo pędziło. Boleśnie odczuwało uderzające raz po raz fale obcych zapachów i dźwięków, strumienie wypływającego ze ścian światła, skalistą twardość podłogi. Skuliło się ku ziemi i zaskowyczało. Wyczuwało bolesne napięcie sparaliżowanych strachem mięśni.

Tunel nie miał końca, co gorsza - nie było z niego ucieczki. Było schwyte w pułapkę, nie mając pojęcia jak i gdzie. Jedno jest pewne - nie znało tego miejsca, nie widziało go przedtem i nie szukało go z własnej woli. A jeżeli tak, to z czyjej woli, za czyją to sprawą musi tak bezwiednie uciekać przed nieznanym niebezpieczeństwem?

Poprzednio było mokro, gorąco, ciemno i wokół roiło się od prymitywnych, pełzających form życia. Teraz wręcz przeciwnie - gorąco, sucho i jasno. Jednocześnie brak tych licznych małych istot - raczej intuicyjna świadomość istnienia gdzieś w oddali dużych osobników bombardujących skołatany mózg swoimi myślami.

Uniosło się, prostując łapy, obróciło się dookoła, wystukując pazurami nieregularny rytm. Gdzie się nie obróciło, z przodu i z tyłu, tunel nie miał końca. Zamknięta, ze wszystkich stron ograniczona przestrzeń, gdzie nawet nie docierały wszechobecne dotychczas gwiazdy. Wszędzie za to były rozmowy - strumień myśli-rozmów, odległy pomruk wypowiedanych słów; niestety, nie była to prawdziwa mowa odległych gwiazd. Każda mowa nie pochodząca od gwiazd musiała być jak ta tutaj: pomieszana,

chaotyczna, zalewająca świat swymi potokami bez kropli głębi czy znaczenia.

Świat jak tunel - to docierało do niego najmocniej - ograniczony do wąskiej przestrzeni bez początku i końca, gdzie dominowały obce, nieprzyjemne zapachy, szmery nie kończących się rozmów bez sensu, a wszystko obleczone przerażającą, bezosobową wrogością.

Mimo szaleńczego pędu spostrzegło wreszcie otwory w tym nieprzeniknionym solidnym tunelu. Niektóre były zamknięte, tworząc ciemne plamy na jasnej powierzchni ścian, inne, otwarte, najprawdopodobniej prowadziły do podobnych temu tuneli, beznadziejnie długich i wąskich.

W głębi tunelu pojawił się wróg. Wielka, bezkształtna, przerażająca postać wyszła z jednego z takich otworów. Rozległ się miarowy stukot jej kroków. Słyszając nieznaną, dziwną jak na to miejsce hałas, odwróciła się, a wzrok jej padł na nadbiegające prosto na nią stworzenie. Rozległ się krzyk, coś niesionego przez tę wrogą istotę upadło z hałasem na podłogę, jej zaś mózg emitował fale najwyższego nieopanowanego strachu, przewalające się i odbijające od ścian, i ze zwielokrotnioną siłą bombardujące stworzenie. Gwałtownie odwróciło się i zwiększając szybkość, pomknęło w ten koniec tunelu, z którego przed chwilą bezskutecznie uciekało. Jego mózg pękał od narastającego strachu. Musiał go wyładować w przeciągłym wyciu, którego wysokie, urywane tony powiększyły jeszcze zamieszanie i hałas w tunelu niemal do granic wytrzymałości.

Pędziło, desperacko wyprężając się przy każdym susie i ślizgając pazurami po gładkiej, twardej powierzchni. Skoczyło w jeden z otworów prowadzących gdzieś na zewnątrz tunelu. Trzewia ścisnęły mu się w panicznym strachu, skręciły boleśnie,

mózg tracił swą sprawność, stawał się słaby i ociężały. Poczuło, jak ogarnia je ciemność, niby wielki ciężar spadający z wysokości. I nagle przestało być sobą, tunel zniknął i powróciło do ciepłego, czarnego miejsca, które wcześniej było jego wygodnym więzieniem.

Blake w jednej chwili znalazł się przy łóżku. Przez tę chwilę myślał intensywnie: co mu się przydarzyło, dlaczego biegł, dlaczego jego ubranie szpitalne leżało rozrzucone przy łóżku? Wystarczyło, że chciał to wiedzieć - w jednej sekundzie poczuł jakby rozszczepienie mózgu, niby pęknięcie więzów w jego głowie. Już wiedział wszystko o tunelu, o strachu i co najważniejsze, o tych dwóch, którzy stanowili z nim jedno.

Podniósł się i usiadł na łóżku; po raz pierwszy, odkąd powrócił na Ziemię, czuł się szczęśliwy. Znowu stanowił całość, był tą samą istotą co kiedyś. Już nie był sam, miał tych dwu i wiedział, że oni też go potrzebują.

- Hej, witajcie - wyszeptał, a oni odpowiedzieli. Lecz nie słowami; wystarczyło przenikanie się myśli.

Zaciśnięte dłonie i poczucie braterstwa. Odległe, zimne gwiazdy nad pustynią wirującego śniegu i lotnych piasków. Wyprawy do gwiazd w poszukiwaniu danych. Gorące i parujące bagna. Długi proces kodowania informacji we wnętrzu piramidy, która była po prostu komputerem biologicznym. Łagodne wzajemne przenikanie się trzech odrębnych obszarów myśli. Kontakt trzech umysłów w jednej istocie.

“Uciekło, kiedy mnie zobaczyło - powiedział Poszukiwacz. - Wkrótce nadejdą tu inni.”

“To twoja planeta, Zmienniku. Powinieneś wiedzieć, co robić.”

“Tak, Myślicielu - powiedział Zmiennik. - To moja planeta. Ale wiedzę mamy wspólną.”

“Tak, ale ty jesteś w tym najszybszy. Dla nas tej wiedzy jest zbyt wiele, poruszamy się w jej zbiorach wolno.”

“Myśliciel ma rację - powiedział Poszukiwacz. - Decyzja należy do ciebie.”

“Oni mogą nie wiedzieć, że to ja - powiedział Zmiennik. - Nie tak od razu. Mamy jeszcze trochę czasu.”

“Ale niezbyt wiele.”

“Tak, Poszukiwaczu, niewiele.”

Blake wiedział, że mają mało czasu. Pielęgniarka w korytarzu uciekła z krzykiem. To tylko kwestia paru minut, zanim na pomoc przybędą inni - lekarz, pielęgniarki, technicy, personel z kuchni. Za parę minut będzie tutaj prawdziwe piekło.

“Problem w tym, że Poszukiwacz wygląda jak wilk” - powiedział Blake.

“Twoja definicja - powiedział Poszukiwacz - oznacza, że jest się drapieżnikiem i zjada innych. Wiesz, że ja bym nigdy nie...”

Nie, oczywiście, że nie. Blake znał Poszukiwacza i doskonale o tym wiedział. Gorzej, że inni tak pomyślą, wezmą go za wilka. Tak chociażby, jak strażnik senatora, widząc go oświetlonego błyskawicą w tamtą noc. Wilki były na Ziemi wymarłym gatunkiem, ale ich obraz powracał w starych legendach i wywoływał instynktowny strach.

A gdyby ktoś zobaczył Myśliciela? Jak by zareagował?

“Co się z nami stało? - zapytał Poszukiwacz. - Dwa razy się uwolniłem, raz w mokrych ciemnościach, potem w jasnym, wąskim tunelu.”

“Ja uwolniłem się raz - dodał Myśliciel. - Ale nie mogłem funkcjonować.”

“Potem o tym pomyślimy - powiedział Zmiennik. - Teraz jesteśmy w opałach i musimy się stąd wydostać.”

“Zmienniku - powiedział Poszukiwacz - musimy zostać tobą.
Potem ja mogę biec, jeśli będzie trzeba.”

“I ja - powiedział Myśliciel - mogę zamienić się w cokolwiek.”

- Cicho - powiedział głośno Blake. - Cicho. Dajcie mi pomyśleć.

Na początku był on sam, człowiek - upodobniony do człowieka android, mężczyzna zrobiony w laboratorium, nieskończona otwartość, prawo wilkołaka, biologiczna i intelektualna giętkość, wymodelowany kształt.

Człowiek. Człowiek w każdym calu, prócz urodzenia. Lepszy niż wszyscy normalni ludzie, odporny na choroby, samoregenerujący się. Wyposażony w intelekt, emocje, procesy fizjologiczne jak wszyscy ludzie. A jednocześnie instrument, narzędzie skonstruowane do zadań specjalnych, badacz obcych form życia. Zrównoważony psychicznie, nieludzko logiczny, elastyczny, wyczulony na bodźce - wszystko po to, by zmieniać się w inne stworzenia, przyjmować ich myśli i emocje bez najmniejszych szkód dla siebie. Zwykły człowiek nie przetrwałby takiej metamorfozy, nawet gdyby był do niej zdolny.

Jako drugi był Myśliciel (to jedyne imię, które do niego pasowało) - bezkształtna masa ciała zdolna przybrać dowolną formę, lecz preferująca kształt piramidy jako najbardziej optymalny dla swego funkcjonowania. Mieszkaniec dzikiej, surowej, bagiennej planety, którą słońce zalewało strumieniami światła i energii. Mokradła roiły się od potworów, pływających i pełzających, ale Myśliciele zamieszkujący planetę nie mieli powodu, by się ich bać. Czerpali swą energię ze słońca, mieli specyficzny system samoobrony - tarcza z posplatanych linii sił intelektu była wystarczającą osłoną przed wrogim światem. Nie miały świadomości życia czy śmierci, tylko pewność wiecznego istnienia. Nie pamiętali swych narodzin, nie zarejestrowali

takiego faktu, nie było przykładu śmierci. Brutalna siła fizyczna mogłaby w nie sprzyjających warunkach zniszczyć Myśliciela, rozbić jego ciało, ale z każdej oderwanej części powstałaby nowa całość dzięki przechowaniu kodu genetycznego. Jeszcze nigdy do tego nie doszło, ale każdy Myśliciel o tym wiedział.

Zmiennik i Myśliciel - oni dwaj, od kiedy Zmiennik stał się Myślicielem za sprawą zmyślnego schematu, zaprogramowanego przez inną grupę myślicieli oddalonych o setki lat świetlnych, Człowiek z laboratorium uległ metamorfozie, przejął myśli i wspomnienia innego stworzenia, jego motywy i poglądy, fizjologię i psychikę. W rzeczywistości stał się tą drugą istotą, ale zachował w sobie tyle z człowieka, by czuć podziw i strach dla tej wielkiej przemiany. Pomocą i ratunkiem była mu tylko siła psychiczna, w którą wyposażyli go przewidujący konstruktorzy.

Zmiennik zachował swój ludzki umysł w zakamarkach podświadomości Myśliciela, którego zimny, logiczny umysł, panoszący się w piramidalnym ciele, nie wyeliminował siły człowieczeństwa. Z czasem ludzki umysł odzyskał swe właściwe miejsce, przestał dostrzegać niezwykłość swego położenia, nauczył się żyć w nowym ciele na planecie, którą musiał przyjąć za swoją. Przeżywał dreszcz emocji i zadziwienia, doświadczając współistnienia dwu mózgów, bez współzawodnictwa czy chęci opanowania i przewyższenia tego drugiego. Nie musieli walczyć, bo obaj należeli do tej szczególnej całości, niepodzielnej mieszaniny człowieka i Myśliciela z bagiennej planety. Słońce świeciło nieprzerwanie, dostarczając ciału energii, bagna nabrały cech piękna, bo były mieszkaniem dla stworzenia. Wokół rodziło się ciągle nowe życie, którego trzeba było dotknąć, zbadać i zrozumieć, zachwycić się nim, docenić - świat był nowy, bo połączona istota zdobyła nowy punkt widzenia, ludzki i

Myśliciela jednocześnie.

Istniało ulubione Miejsce Rozmyślań i Ulubiona Myśl, a czasami nawet mgliste więzy komunikacji z innymi istotami zamieszkującymi planetę, pospieszne wypadły myśli, krótki kontakt i wycofanie, jak przelotne muśnięcie dłoni w ciemnościach. Kontakty były możliwe, ale niekonieczne - każdy Myśliciel był samowystarczalny.

Czas i przestrzeń nie miały znaczenia, chyba że były akurat przedmiotem Myśli. Myśl była wszystkim - przyczyną istnienia, zadaniem i poświęceniem, nie miała celu, mogła po prostu nie mieć końca. Karmiła się sama sobą, ciągnęła w nieskończoność bez wiary czy nadziei na swe dopełnienie.

Jednak czas był czynnikiem znaczącym dla ludzkiego mózgu, który wiedział, że trzeba wracać. Myśliciel stał się człowiekiem. Zgromadzone dane zakodowano w ogniach pamięci i statek wystartował, zostawiając po kilku minutach lotu daleko za sobą bagnisty świat.

Nastąpiło lądowanie na innej planecie, gdzie Zmiennik przybrał nową postać, by w jej przebraniu wędrować po niezmiernych przestrzeniach.

Planeta była sucha i zimna, słabo oświetlana promieniami odległego słońca. Na bezchmurnym niebie błyszczały gwiazdy podobne rozsypanym diamentom; silne, prężne łapy deptały płatki śniegu i ziarenka piasku podrywane z ziemi ostrymi, wyjąłymi podmuchami wichru.

Ludzki umysł Zmiennika zamieszkał w ciele Poszukiwacza, który wraz z innymi, podobnymi sobie bestiami gnał przez ogołoczone skaliste równiny. Z jakąś dziką radością pędziły one przy blasku gwiazd i księżyca, poszukując świętych miejsc, gdzie - zgodnie z odwieczną tradycją - wchodziły w komunie z

gwiazdami. Zachowywały stary zwyczaj, choć mogły w każdym miejscu i o każdym czasie wychwytywać podświadomie wszystkie sygnały wysyłane w kosmos przez inne systemy słoneczne.

Nie rozumiały obrazów, nie próbowały i nie chciały ich zrozumieć, wystarczyła im jedynie wartość estetyczna, którą mogły z nich czerpać. Umysł Zmiennika w ciele Poszukiwacza widział w tym analogię do zachowania ludzi, którzy wędrując przez galerie i wystawy sztuki, zatrzymują się i przyglądają obrazom, przyciągnięci ich kolorystyką czy kompozycją wyrażającą uniwersalną prawdę, niewyraźną w słowach i nie potrzebującą słów.

W ciele Poszukiwacza był ludzki umysł i ten drugi, zabrany z bagnistej planety, dający znaki swej obecności, choć powinien był zniknąć razem z ciałem Myśliciela. Zmiennik pozbył się tamtego ciała, nie mógł jednak pozbyć się tamtego mózgu.

Pomysłowy człowiek na Ziemi nie tak to zaplanował. Nawet mu się nie śniło takie rozwiązanie. Spodziewał się, że android powróci do swej pierwotnej postaci nie naruszony, czysty jak wytarta tablica, przygotowana na nowy zapis.

Rzeczywistość złośliwie zakpiła sobie z genialnych planów. Częstka tej drugiej istoty pozostała, nie dając się usunąć tak łatwo; może nigdy. Ukryła się w podświadomości, by od czasu do czasu przypomnieć o swej obecności.

Zatem już nie dwie, ale trzy istoty przemierzały równiny, trzy formy życia w jednym ciele Poszukiwacza. On odbierał przekazy z gwiazd, Myśliciel absorbował dane, badał je, zadawał pytania i szukał odpowiedzi. Jakby dwie, oddzielone dotąd części komputera, pamięć i analizator, zostały połączone i sprawnie zgrały swe funkcje. Obrazy zyskały teraz, oprócz swej wartości

estetycznej, znaczenie. Częstkowa wiedza wszechświata czekała na uporządkowanie i scalenie, by ukazać się w postaci planu wszechistnienia.

Wszystkie trzy umysły zadrżały, porażone wizją, która się przed nimi ukazała. Kroczyły po krawędzi wszechwiedzy obejmującej wieczność. Wstrząśnięte, nie mogły od razu pojąć nasuwających się wniosków - byłyby po jakimś czasie zdolne odpowiedzieć na każde pytanie, zsumować sekrety gwiazd i stworzyć obraz z krótką inskrypcją: to jest wszechświat.

Ale znowu odezwał się sygnał alarmowy w jednym z mózgów. Trzeba było wracać na statek. Urządzenie wbudowane w ciało Zmiennika było silniejsze niż jego wola. Odzyskał swe ciało, pozornie oczyścił umysł i wyruszył ku innym gwiazdom. Cel był zawsze ten sam: wędrówka wśród ciał niebieskich, odszukiwanie inteligentnych istot, przybieranie ich postaci na pewien czas, zbieranie danych, by wykorzystać je ostatecznie z pożytkiem dla mieszkańców Ziemi.

Ten łańcuchowy plan został przerwany za sprawą jakiejś awarii. Kiedy Zmiennik wrócił na statek, wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

Ostrzeżenie w ułamku sekundy o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Potem nicość, aż do tej pory. Półprzebudzenie, ale zawsze tylko jednego z nich, stan nieświadomości zamiast życia. Teraz wreszcie byli razem, trzej w jednym ciele, bracia intelektu.

“Zmienniku, oni się nas bali. Odkryli, czym jesteśmy.”

“Tak, Poszukiwaczu. A może tylko tak myśleli. Nie mogli wiedzieć wszystkiego. Domyślali się z wykresów, z zapisu funkcji.”

“Ale oni nie czekali - powiedział Poszukiwacz. - Nie

wykorzystali tej szansy, choć wiedzieli, że coś jest nie w porządku. Po prostu zostawili to.”

“Taki właśnie jest człowiek” - powiedział Zmiennik.

“Ty też jesteś człowiekiem, Zmienniku.”

“Nie wiem, Myślicielu. Ty mi powiedz, kim jestem.”

Z korytarza dobiegły odgłosy szybkich kroków. Ktoś zawołał:

- Kathy powiedziała, że widziała go tutaj. Wchodzę. Kilku lekarzy ubranych na biało stanęło w drzwiach do sali.

- Czy widział pan wilka? - zawołał jeden z nich.

- Nie. - Blake starał się zachować spokój. - Nie widziałem tu żadnego wilka.

- Dzieją się tu jakieś dziwne rzeczy - wyjaśnił jeden z lekarzy. - Kathy by nie skłamała, widziała coś i była śmiertelnie przestraszona.

Ten, który odezwał się do Blake’a pierwszy, ruszył kilka kroków do przodu.

- Jeśli stoisz pan sobie żarty... - w jego głosie zabrzmiała pogroźka.

Dwa umysły współistniejące z mózgiem Blake’a ogarnęła panika. Stały przed realnym, nowym dla siebie zagrożeniem. Niezrozumiałe niebezpieczeństwo i trudność dokonania oceny sytuacji pchnęły je do szybkiej reakcji...

- Nie! - krzyknął rozpaczliwie Blake. - Nie... poczekajcie!

Było już za późno. Zmiana się zaczęła. Poszukiwacz przejął teraz władzę w tym złożonym ciele i nie było odwrotu.

“Głupcy! - krzyczał ludzki mózg Blake’a. - Wy głupcy! Skończeni głupcy!”

Lekarze rzucili się w przerażeniu na korytarz.

Poszukiwacz stał na tylnych łapach gotowy do walki, sprężony do skoku, z wyszczerzonymi kłami. W świetle lampy szpitalnej

połyskiwało jego gęste srebrzyste futro.

Poszukiwacz, warcząc, spadł na cztery łapy. Był nie mniej przerażony niż ludzie. Schwytany w pułapkę. Jedyne wyjście zagrodzone przez wrogi mu tłum dwunogich istot ubranych w sztuczne skóry, miotających się z krzykiem w wąskim tunelu. Czuł od nich zapach strachu, odbierał fale myśli tak intensywne, że tworzyły żywy, ruchomy, wrogi mur, aż musiał opleść swe ciało łapami w tej walce emocji. Nie odnalazł w tych myślach ani śladu inteligencji, tylko mieszaninę prymitywnego strachu, nienawiści i bezrozumnych uprzedzeń.

Poszukiwacz posunął się wolnym krokiem do przodu, spostrzegł, jak wrogie istoty wycofują się, i zasmakował w wielkości zwycięstwa. Odziedziczona po odległych przodkach, zagrzebana głęboko w pokładach mózgu świadomość własnego gatunku, duma wojownika odezwała się teraz z pełną siłą. Dotychczasowy warkot dobywający się z jego gardła można było wziąć za przyjacielskie pomrukiwanie w porównaniu z dzikim rykiem triumfu, jakim obwieścił światu swą gotowość do walki. Sam dźwięk wystarczył, by rozpędzić na boki ten żaloszny tłum dwunogich stworzeń.

Poszukiwacz biegł, nabierając szybkości. Skręcił w prawo w jedno z odgałęzień tunelu. Na wprost niego wyłoniło się, wychodząc jakby ze ściany, jedno z wrogich mu stworzeń z nieznaną bronią wzniesioną nad głową i gotową do zadania ciosu. Poszukiwacz rzucił się prosto na niego, uderzył swą masywną głową w wiotkie ciało, które poleciało do tyłu i z hałasem wśród jęków spadło na twardą powierzchnię.

Poszukiwacz odwrócił się błyskawicznie, a jego wzrok padł na ścigających go wrogów. Runął na nich z wielką siłą, zostawiając na podłodze głębokie rysy po swoich pazurach. Atakował łbem na wszystkie strony, wbijał kły w miękkie ciała, gryzł i szarpał, aż płynna czerwien pokryła tunel, niby widzialny znak jego wściekłości.

Odniósł całkowite zwycięstwo; większość wrogów jęczała powalona na ziemię, niektórzy z trudem pełzali po podłodze, kilku zdołało uciec.

Poszukiwacz przysiadł na tym pobojuwisku, wzniosł wysoko głowę i zawył - triumfalnie i wyzywająco - starym, nieznanym dotąd językiem przodków wyraził swą chwałę.

Rzeczywistość obcego tunelu poszła w zapomnienie. Zamiast dziwnych ostrych zapachów, unoszących się wewnątrz pułapki, poczuł niemal czyste, suche powietrze rodzinnej planety. Sam się przemienił w starożytnego Poszukiwacza, nieodrodnego członka dumnej rasy wojowników, którzy przed wiekami prowadzili śmiertelną walkę z niemal doszczętnie wyniszczoną obecnie rasą istot niższych i zwyciężyli, zdominowali swą planetę.

Wspaniała wizja musiała jednak ustąpić przed narastającą wrogością ostrego światła wypływającego ze ścian, nieprzyjemnych zapachów, zamknięcia przestrzeni. Poszukiwacz stanął na cztery łapy i obrócił się niespokojnie. W pobliżu tunel był wolny, lecz z daleka nadciągały nowe stworzenia, wypełniały atmosferę rozproszonymi, choć silnymi falami swych wrogich myśli.

“Zmienniku!”

“Schody, Poszukiwaczu. Biegnij w stronę schodów.”

“Schody?”

“Drzwi, zamknięte wyjście. To te ze znakiem, mały prostokąt z

czerwonymi postaciami w środku.”

“Widzę, ale to solidna powierzchnia, jak ściany.”

“Pchnij je, otworzą się. Ale pchaj łapami, nie ciałem. Pamiętaj, przednimi łapami. Rzadko ich używasz i nie pamiętasz, po co je masz.”

Poszukiwacz rzucił się na drzwi całym ciałem.

“Ramionami, głupcze! Przednimi łapami!”

Drzwi, pchnięte z całej siły, poddały się z jednej strony i Poszukiwacz prześliznął się przez otwór. Znalazł się w sześcianie, z podłogi wiodła w dół wąska ścieżka jakby ze skalnych występów. Zrozumiał, że to muszą być schody.

Zaczął schodzić w dół, najpierw bardzo ostrożnie, potem nabierając wprawy i szybkości. Znowu był w sześcianie, identycznym jak poprzedni, i pochylony spojrzał w przepaść kolejnych schodów.

“Zmienniku, co robić?”

“Idź w dół. Jeszcze trzy razy będą takie schody. Potem wyjdź przez drzwi. Znajdziesz się w dużym pokoju. Tam będzie dużo takich stworzeń jak w korytarzu. Nie zatrzymuj się, pędź prosto do dużego otworu po lewej stronie. Miniesz to wyjście i będziemy na zewnątrz.”

“Na zewnątrz?”

“Na powierzchni planety. Na zewnątrz budynku, to znaczy jaskini, w której jesteście. Tutaj jaskinie są na powierzchni.”

“Co potem?”

“Biegnij!”

“Zmienniku, dlaczego ty tego nie załatwisz? Jesteś taki, jak oni, możesz po prostu iść.”

“Nie mogę. Nie mam ubrania.”

“Czy to znaczy przykrycia, sztucznej skóry?”

“Tak, sztucznej skóry.”

“To śmieszne, ubrania...”

“Nikt tutaj nie chodzi bez nich, taki jest zwyczaj.”

“Musisz przestrzegać jakichś zwyczajów?”

“Słuchaj, możesz ich wszystkich zaskoczyć. Na twój widok znieruchomieją. Nic nie będą robić, po prostu patrzeć. Przypominasz wilka i...”

“Mówiłeś to już przedtem. Nie lubię tego, jest coś brudnego w tym słowie...”

“Wilki to gatunek wymarły na Ziemi. Bestia, która wywoływała kiedyś strach. Teraz będzie tak samo, kiedy ciebie zobaczą.”

“Dobrze, dobrze. Myślicielu, co ty na to?”

“Wy dwaj decydujcie. Ja nie mam danych i nic nie mogę tu pomóc. Musimy polegać na Zmienniku. To jego planeta i znają najlepiej.”

“W porządku, zgadzam się. Ruszamy.”

Poszukiwacz gładko pokonywał stopnie schodów. Pomimo ścian wyczuwał napływające zewsząd myśli sparaliżowane strachem.

Czy wydostanie się stąd - pytał sam siebie. Czy wydostaną się z tej pułapki...

Powrócił do niego strach i wątpliwości, odbierając mu poprzednią siłę i pewność siebie.

“Zmienniku?”

“Idź naprzód. Doskonale sobie radzisz.”

Stanął na ostatnim podeście, naprzeciw drzwi.

“Czy to te?”

“Tak, tylko zrób to szybko. Tym razem otwórz je ramionami, pamiętaj. Jeśli rzucisz się całym ciałem, drzwi mogą odbić się i

przyciąć cię.”

Poszukiwacz wyprostował i rozstawił szeroko łapy, potem uniósł się na tylnych i ruszył do przodu.

“Zmienniku, na lewo? Wyjdźcie na lewo?”

“Tak. Jakies dziesięć długości twojego ciała.”

Wyciągniętymi łapami pchnął drzwi, które otworzyły się łatwo na całą szerokość. Wpadł do pokoju, pomknął na lewo do wyjścia. Odbierał niejasno pomieszane krzyki, obraz otwartych ust, szybkiego bezładnego ruchu postaci. W parę sekund znalazł się na zewnątrz, gdzie wokół wyjścia pełno było następnych stworzeń, mieszkańców tej planety, ubranych w różne sztuczne skóry. Otwierali usta, by krzyczeć na niego, podnosili dłonie trzymające długie, czarne przedmioty, z których wydobywały się nagle błyski ognia i gorzki, duszący dym.

Coś ze świstem uderzyło w metal tuż obok niego, coś innego przeszło z trzaskiem kawałek drewna. Poszukiwacz już nie mógł się zatrzymać, nawet gdyby chciał. Pradawny okrzyk wojenny wypełnił jego ciało nieustraszoną siłą. Jego wzniesiona głowa gotowa była stoczyć kolejną walkę. Po chwili wyrwał się pomiędzy wrogich stworzeń, biegł wzdłuż wielkiej jaskini, wznoszącej się wysoko ku niebu.

Słyszał za sobą głośnie krzyki. Małe, twarde jak kamienie kulki pędziły z wielką szybkością i spadały na ziemię, rozrzucając wokół kawałki materiału, z którego była zrobiona ta powierzchnia.

Domyślił się, że to musi być noc. Na niebie nie było tej wielkiej gwiazdy, tylko wiele małych, odległych. Wiedział, że tak jest najlepiej, bo to trudne do przyjęcia, by mogły istnieć planety bez baldachimu gwiazd wokół. Zapach zmienił się z ostrego, gryzącego w bardziej przyjemny i łagodny.

Hałas za nim nie ustawał. Mknął, mijał jakieś małe przedmioty, dobiegł do rogu wielkiej groty i skręcił nie zatrzymując się. Pamiętał, że Zmiennik kazał mu biec. Odczuwał radość ze swobody i ruchu, z harmonijnej pracy gładkich mięśni, z dotykania łapami twardej, solidnej powierzchni.

Teraz, po raz pierwszy od kiedy się to wszystko zaczęło, miał szansę poznać tę planetę, która wyglądała na miejsce pełne życia. Zresztą, pod wieloma względami to bardzo dziwne miejsce. Bo czy ktoś słyszał o planecie, która miała podłogę? Podłogę zaczynającą się od krawędzi groty i rozciągającą się po powierzchni daleko, jak tylko mógł dojrzeć. Wszędzie, gdzie spojrzał, wznosiły się ku niebu inne groty, wiele z nich było rozświetlonych od wewnątrz prostokątami światła. Przed nimi na małych ogrodzonych powierzchniach stały na podłodze metalowe lub kamienne podobizny mieszkańców planety. Poszukiwacz zastanawiał się, po co one istnieją. Może mieszkańcy Ziemi, zanim umierali, byli zamieniani w kamienne czy metalowe postacie i zostawiani u wejścia do swoich grot. To mało prawdopodobne, bo wiele z tych figur miało większe rozmiary niż mieszkańcy tej planety za życia. Oczywiście, mogło istnieć inne wytłumaczenie; żywe stworzenia miały różne rozmiary i tylko te większe ulegały metamorfozie w kamień lub metal.

Nie było zbyt wielu mieszkańców, by sprawdzić tę tezę, a nadto wszyscy pozostali już daleko w tyle. Za to po podłodze poruszały się bardzo szybko ciała z metalu, świecące z przodu dużymi oczami, wydające świszczące dźwięki i wywołujące podmuchy gwałtownego wiatru. Z tych metalowych pudełek rozchodziły się w przestrzeń fale mózgowo, znak żywych istot, które czasami miały więcej niż jeden mózg. Te fale były inne niż

w grocie, łagodne i spokojne, wolne od strachu i nienawiści.

Wszystko to było obce, ale zwyczajne, zważywszy na fakt, że planety zawsze są pełne różnorodnych form życia. Jak dotąd spotkał tylko dwa gatunki typowe dla tej planety: dwunożne istoty protoplazmatyczne i metaliczne ciała z wieloma mózgami, poruszające się z dużą szybkością w sobie wiadomych celach i oświetlające drogę własnymi oczami. Przypomniawszy sobie, że w tę mokrą, gorącą noc wyczuł istnienie wielu form o bardzo niskiej inteligencji - po prostu ożywione wiązki materii.

Poszukiwacz skłonny był uznać tę planetę za bardzo interesującą, choć bardzo zagadkową i nielogiczną. Przeszkodę stanowiła jednak wysoka temperatura i ciężka, przygniatająca atmosfera.

“Poszukiwaczu.”

“O co chodzi, Zmienniku?”

“Skręć na prawo. Do drzew. To taka duża roślinność. Widać je na tle nieba, Skieruj się pomiędzy drzewa. Tam będziemy chwilowo bezpieczni.”

“Zmienniku - wtrącił Myśliciel - co teraz zrobimy?”

“Nie wiem. Musimy o tym pomyśleć. Wszyscy trzej.”

“Czy tamte stworzenia będą na nas polować?”

“Przypuszczam, że tak.”

“Powinniśmy mieć jeden umysł. Powinieneś przekazać wszystko, co wiesz, Poszukiwaczowi i mnie.”

“Będziemy wiedzieć - powiedział Poszukiwacz. - Na razie nie było czasu. Zbyt wiele się działo. Mieliśmy dużo przeszkód.”

“Dobiegij do drzew. Będziemy mieli trochę czasu” - powiedział Zmiennik.

Poszukiwacz oderwał się od ściany potężnej groty, wzdłuż której biegł do tej pory, ruszył w poprzek szerokiego pasa

podłogi, kierując się w stronę ciemnej ściany drzew. Nagle z ciemności wyłoniła się jedna z tych metalowych postaci, dając znać o sobie blaskiem jasnych oczu i cichym świstem wiatru. Kierowała się prosto na Poszukiwacza. Pochylił się do ziemi, położył uszy po sobie, wyprostował ogon i sprężył mięśnie swych silnych, jakby stworzonych do biegania nóg.

Zmiennik dopingował go.

“Biegnij, ty wspaniały wilku! Biegnij, nieoswojony szakalu! Biegnij, wspaniały, szalony lisie!”

.. 15 ..

Szef personelu był opanowanym, urzędowo chłodnym mężczyzną. Nikt nie spodziewałby się po nim zdenerwowania, walenia pięścią w stół.

A jednak i do tego doszło.

- Chcę tylko wiedzieć - wrzeszczał - który to skończony idiota zadzwonił na policję! Sami dalibyśmy sobie z tym radę. Te wścibskie gliny nie są nam tu wcale potrzebne.

- Przypuszczam, proszę pana - odparł doktor Michael Daniels - że ktokolwiek by to nie był, miał po temu poważne powody. Na korytarzu było pełno rannych ludzi.

- Zaopiekowalibyśmy się nimi - szef uparcie obstawał przy swoim. - W końcu tym się tutaj zajmujemy, nieprawdaż? Potem moglibyśmy zająć się sprawą z większym rozsądkiem i spokojem.

- Niech pan zrozumie - odezwał się Gordon Barnes - że wszyscy byli bardzo poruszeni tym wydarzeniem. Wilk w klinice...

Dyrektor ruchem ręki nakazał Barnesowi milczenie i zwrócił się do pielęgniarki:

- Panno Gregerson, pani jako pierwsza to widziała. Dziewczyna nadal była blada i sparaliżowana strachem, ale skinęła twierdząco głową.

- Wyszłam z jednego z pokoi - zaczęła opowiadać - i to było w korytarzu. Wilk. Upuściłam tacę, krzyknęłam ze strachu i uciekłam. To było przerażające...

- Czy jest pani pewna, że to był wilk?

- Tak, proszę pana. Jestem tego całkowicie pewna.

- A nie pomyślała pani, że to może był pies?

- Doktorze Winston - wtrącił Daniels - komplikuje pan sprawę. To nie ma znaczenia: pies czy wilk.

Dyrektor spojrział na niego ze złością i machnął niecierpliwie ręką.

- W porządku - zgodził się. - To rzeczywiście nieważne. Państwo mogą już iść, proszę tylko doktora Daniela o pozostanie. Chciałbym porozmawiać, jeśli można.

Obaj mężczyźni poczekali, aż inni wyjdą z gabinetu.

- No dobrze, Mikę - zaczął dyrektor. - Usiądźmy razem i spróbujmy doszukać się w tym sensu. Blake był twoim pacjentem, tak?

- Tak, był. Pan też go zna, doktorze. To człowiek znaleziony w kosmosie, zamrożony we wnętrzu kapsuły.

- Tak, wiem. Tylko co on mógł mieć z tym wszystkim wspólnego?

- Nie jestem pewien. Mam podejrzenia, że to on właśnie był wilkiem.

- Co też znowu? - Winston wyglądał na zaskoczonego. - Chyba nie spodziewa się pan, że w to uwierzę? Chce pan powiedzieć, że Blake jest wilkołakiem?

- Czy czytał pan dzisiejszą prasę?

- Nie, nie miałem na to czasu. Ale co gazety mogą mieć wspólnego z wydarzeniami w naszej klinice?

- Możliwe, że nic. Chociaż jestem skłonny uważać, że...

Daniels urwał w pół zdania. Sam był zaskoczony śmiałością swej hipotezy. To było zbyt fantastyczne, by mogło być prawdziwe. Z drugiej jednak strony jego teoria doskonale wyjaśniałaby dziwne wydarzenia sprzed godziny, rozgrywające się na trzecim piętrze ich cenionej kliniki.

- Doktorze Daniels, co chciał pan powiedzieć? Jeśli ma pan

jakieś informacje, to proszę je podać. Zdaje pan sobie sprawę, jakie to dla nas ważne. Zbyt duży rozgłos wokół sprawy, i to w najgorszym stylu, niemal skandal. Nie możemy sobie pozwolić na rozpowszechnianie fałszywych sensacyjnych wiadomości. Już teraz ogarnia mnie wściekłość na myśl o tym, co rozgłaszają na nasz temat w prasie i trójwymiarze. Będą jeszcze policyjne przesłuchania. Nawet teraz węższą wszędzie i rozmawiają z ludźmi, nie mając do tego prawa. Zadają niedyskretne pytania pacjentom i osobom nie upoważnionym do udzielania informacji w tej właśnie sprawie. Przeprowadzą wszelkie możliwe dochodzenia. Być może nawet w Kongresie. Administracja Przestrzeni rzuci się na nas, domagając się informacji o Blake'u. W końcu to jakby ich ulubiona maskotka. Jak w tej sytuacji mogę im powiedzieć, że Blake zamienił się w wilka?

- Nie w wilka, proszę pana, tylko w obcą istotę. Co prawda łądząco przypominającą wilka, ale pamięta pan chyba, co mówił jeden z policjantów? Opisał go jako wilka z rękami wyrastającymi z barków.

- Nikt inny tego nie potwierdził. - Dyrektor przerwał i odchrząknął. - Policja wpadła w panikę. Czy wie pan, że oni strzelali po całym holu, a jedna kula nieomal trafiła recepcjonistkę? Pocisk trafił w boazerię nad jej głową. Mówię panu, że oni byli porządnie przestraszeni i nie można za bardzo im wierzyć. Zaraz... co pan mówił o obcej istocie?

Daniels wziął głęboki oddech. Zdecydowany był wyjawić swe domysły.

- Świadek o nazwisku Lukas zeznawał dzisiaj po południu na posiedzeniu konferencji do spraw bioinżynierii. Odkrył stare autentyczne zapisy dotyczące dwóch osób skonstruowanych w laboratorium jakieś dwa wieki temu. Twierdził, że rejestry

udostępniła mu Administracja Przestrzeni...

- Co to za zapisy? Dlaczego jakaś kartoteka sprzed wieków...

- Chwileczkę, doktorze - przerwał mu Daniels. - Nie usłyszał pan jeszcze wszystkiego. To były nieograniczenie otwarte androidy...

- Mój Boże! - wykrzyknął Winston. - Stara zasada wilkołaka! Organizm, który może się zmieniać, może stać się wszystkim. Jest taki stary mit.

- Widocznie to nie mit. - Daniels uśmiechnął się szeroko. - Skonstruowano dwa takie androidy i wysłano na poszukiwania w statkach badawczych.

- I myśli pan, że Blake jest jednym z nich?

- Właśnie zamierzałem panu to wytłumaczyć. Dzisiaj po południu Lukas zaświadczył, że było ich dwóch. Odlecieli i wszelki śluch po nich zaginął. Ani jednej wzmianki o ich powrocie.

- To nie ma najmniejszego sensu - protestował Winston. - To było dwieście lat temu. Niech pan to weźmie pod uwagę. Jeśli zbudowali wtedy dwa androidy - a to w końcu miały być użyteczne androidy - to teraz mielibyśmy ich całe chmary. Nie zaczyna się takiego przedsięwzięcia, by je zarzucić po zrobieniu dwu egzemplarzy.

- Jeżeli te dwa się nie sprawdziły, to mogli tak zrobić. Przypuśćmy, że nie tylko androidy zawiodły, ale nawet statki zaginęły, nie pozostawiając po sobie żadnego znaku. Statki znikły jak kamień w wodę i więcej o nich ani słowa. Wtedy nie tylko przerwaliby eksperyment z androidami, ale także usunęły wszelkie dotyczące go zapisy. Administracja Przestrzeni nie byłaby szczególnie zadowolona wywlekaniem na światło dzienne dowodów swych niepowodzeń.

- Ale skąd mogliby wiedzieć, że androidy miały coś wspólnego z zaginięciem statków? W przeszłości statki często nie wracały na Ziemię, nawet teraz to się zdarza.

- Nie ma pan racji. - Daniels pokręcił głową z dezaprobatą. - Pojedyncze przypadki, to jasne, wszystko może się przydarzyć takiej samotnej maszynie. Tutaj chodziło o dwa statki, podobne do siebie pod jednym względem - każdy z androidem na pokładzie. Nie trzeba wielu dociekań, żeby to sobie powiązać i dojść do wniosku, że to android był przyczyną katastrofy. Albo że ich obecność stworzyła warunki do nieprzewidzianych...

- Nie podoba mi się to - przerwał mu dyrektor. - Rozumie pan, ta cała atmosfera tajemniczości, i nie chcę mieć nic wspólnego z Administracją. To potężna siła i z pewnością nie chcieliby zostać wmieszani w jakąś aferę. A ponadto nie widzę żadnego związku pomiędzy pańskimi rewelacjami i przemianą Blake'a w wilka.

- Już panu mówiłem, że nie w wilka, tylko w obcą istotę. Stworzenie, które ma postać wilka. Powiedzmy, że zasada wilkołaka nie działała dokładnie tak, jak sądzono. W zamierzeniach android miał przemienić się w inną formę życia, wykorzystując do tego dane zaczerpnięte z badań schwytanego osobnika, a potem przez pewien czas żyć jako ten osobnik. Po zebraniu danych android miał powrócić do swej ludzkiej postaci, usuwając dane swego poprzedniego wcielenia, przygotowując się na następną przemianę. Ale przypuśćmy...

- Już rozumiem - wtrącił Winston. - Załóżmy, że urządzenie nie było do końca doskonałe i obce dane nie dały się usunąć. Powiedzmy, że android pozostawał odtąd zarówno człowiekiem, jak i tym drugim. Dwie istoty, podczas gdy miała być tylko jedna.

- Dobrze pan to ujął - odpowiedział Daniels. - Tak właśnie myślałem. Jest na to jeszcze jeden dowód. Zrobiliśmy Blake'owi

elektroencefalogram i otrzymaliśmy bardzo dziwny wykres: mgliste cienie innych mózgow, jakby miał więcej niż jeden ludzki umysł.

- Cienie? To znaczy więcej niż jeden dodatkowy mózg?

- Nie wiem - wyznał bezradnie Daniels. - Wyniki nie były jasne i nie mogłem być niczego pewien.

Winston wstał z biurka i zaczął niespokojny spacer po pokoju.

- Mam nadzieję, że pan się myli - powiedział po chwili. - Tak myślę. To jest zbyt szalone, by można w to uwierzyć.

- To jedyny sposób, by znaleźć wytłumaczenie dzisiejszych wydarzeń - powtórzył uparcie Daniels.

- Ale nie wzięliśmy pod uwagę jednej zagadki, doktorze. Blake'a znaleziono zamrożonego w kapsule, ale jak tam się znalazł? Nigdzie nie było śladu po zaginionym statku, żadnych szczątków, jeśli przyjąć, że uległ zniszczeniu. Co można z tego zrozumieć?

- Tego nie sposób wytłumaczyć - zgodził się Daniels. - Nie dowiemy się chyba nigdy. Po prostu nie ma dowodów. Może statek nie uległ katastrofie, a jeśli nawet, to przez ponad dwa stulecia szczątki musiałyby ulec rozproszeniu. Albo były w pobliżu kapsuły, tylko niewidoczne. W kosmosie widoczność jest bardzo słaba; jeżeli coś nie odbija światła, to trudno powiedzieć, czy w ogóle istnieje.

- Sądzi pan, że jakaś załoga natknęła się na pozostałości po statku, zabrała Blake'a i zamroziła, by wysłać go w kosmos we wnętrzu kapsuły? Niekłopotliwe i dyskretne pozbycie się problemu?

- Doprawdy nie wiem. Nikt nie może tego wiedzieć. Opieramy się na spekulacjach, ale rodzi się tak wiele hipotez, że trudno

nawet zdecydować, która jest najbliższa prawdy. Jeśli, jak pan zasugerował, załoga pozbyła się Blake'a, to dlaczego statek nie powrócił? Wyjaśniamy jeden szczegół, skutek czego wyłania się dziesięć nowych do wytłumaczenia. Tak można bez końca. Mam coraz mniej nadziei na zadowalające rozwiązanie tej zagadki, ustalenie wszystkich detali.

Winston przestał chodzić po pokoju, wrócił za biurko i siadając sięgnął po aparat transmisyjny.

- Jak nazywał się ten świadek, o którym mi pan wspominał? - zapytał Danielsa.

- Lukas. Doktor Lukas. Nie pamiętam imienia. Znajdzie je pan w gazetach.

- Dobrze by było, gdyby mógł pan sprowadzić tutaj także tych dwóch senatorów. Jeśli mają czas. Hortona, Chandlera Hortona i... Jak nazywa się ten drugi?

- Solomon Stone.

- Dobrze. Zobaczymy, co oni o tym powiedzą. Senatorowie i Lukas.

- Czy Administrację też wezwać?

- Nie. - Winston energicznie potrząsnął głową. - Na razie trzymajmy się od nich z daleka. Musimy sami wiele zrobić, zanim pozwolimy sobie na kłopoty z Administracją Przestrzeni.

Jaskinia była mała i wąska - wysunięty wyłom skalny, u dołu zniszczony erozjami. Osłonięta półka otoczona była z góry i z dołu stromiznami prowadzącymi ku niebu lub w nieznaną przepaść. U stóp wzgórza, po żwirowatym, usianym kamykami dnie płynęły nierównym, powolnym nurtem wody strumyka. Przy wejściu do jaskini pochyłość usypana była małymi odłamkami skał, które odpadały od jednolitej masy pod naporem wiatru, deszczów, upałów i mrozów. Ułamki skalne zdradziecko usuwały się Poszukiwaczowi spod nóg, kiedy uparcie wdrapywał się do groty. Dotarł do wejścia i po kilku próbach wszedł do jaskini tyłem.

Po raz pierwszy poczuł się na tej planecie bezpiecznie. Miał przynajmniej osłonięte boki i tył. Wiedział, że to stan krótkotrwały, że zabezpieczenie zbyt słabe przed zagrażającymi mu mieszkańcami planety, zdecydowanymi go zabić. Pomyślał, że może także w tej chwili polują na niego i wkrótce tu się zjawią. Widziało go to metalowe stworzenie, wytrzeszczające na niego swe świetlne ślepia i goniące z wyciem. Zadrżał, przypominając sobie, że dotarł do lasu tuż przed kłapiącym pyskiem stworzenia. Gdyby nie te trzy ostatnie szybkie skoki, zostałby stratowany przez tego warczącego potwora. Odprężył się, rozluźnił wszystkie mięśnie swego zmęczonego długim i szybkim biegiem ciała.

Mógł teraz myśleć, sprawdzać i szukać, jak nakazywała mu naturalna ciekawość. Wokół było życie; więcej, niż można było się spodziewać - dziwna planeta przepełniona rojącem się

beładnie życiem. Drobinki życia bez ruchu, bez myśli i inteligencji. Nic ponad to, że istniały. Inne były znowu niby pojedyncze okruszki inteligencji, niespokojne, czujne, przestraszone i w ciągłym ruchu - lecz ich myśl była tak słaba i uboga, że starczała im tylko na świadomość swego życia i przeczuwanie. Coś biegło, poszukując łupu do schwytania, z myślami przepełnionymi chęcią zabijania, dzikie i rozszalałe, przeraźliwie głodne. Trzy inne formy życia skupiły się w jednym miejscu. Ukryte w bezpiecznej norce miały myśli spokojnych, zadowolonych z siebie istot. Było tych stworzeń wielkie mnóstwo, różnorodnych, lecz żałosnych w swym ubóstwie intelektualnym. Znikąd nie dochodził ostry, wyraźny i alarmujący sygnał obecności tych dwunogich istot zamieszkujących naziemne jaskinie.

Poszukiwacz wydał jednoznaczny werdykt - to nieporządna planeta, pełna zamieszania i niepokoju. Wszystkiego tu za dużo: wody, roślinności, życia, powietrze zbyt gęste i ciężkie, klimat za gorący. Nie było tu miejsca na odpoczynek ani tym bardziej ochrony przed niebezpieczeństwami. Tutaj trzeba było słuchać, patrzeć i czuwać, a i tak na głowę mógł spaść nagły, śmiertelny cios. Słyszał delikatny, cichy szum drzew i zastanawiał się, czy to one są źródłem przyjemnego dźwięku, czy też wiatr wiejący wśród gałęzi.

Kiedy tak leżał zadumany nad tajemnicami tej planety, coraz jaśniej rysował się przed nim obraz tego ogromu życia. Wiedział, że dźwięk powstawał dzięki tarciu mas powietrza o materię drzew, że tak rodził się szum liści i trzaski poruszanych wiatrem gałęzi. Drzewa nie mogły same wydawać dźwięków, tak jak wszystkie inne formy życia, w które obfitowała planeta zwana Ziemią - te organizmy żyły bez inteligencji i wrażliwych na

bodźce zmysłów. Naziemne jaskinie były sztucznie wzniesionymi budowlami, ich zaś mieszkańcy nie żyli w stadach, tylko dobierali się z osobnikami przeciwnej płci i tworzyli małe grupy zwane rodzinami. Budynki, w których rodziny mieszkały na stałe, znane były pod nazwą domów.

Ta wiedza spłynęła na niego nagle, runęła z siłą kłębiących się na skale nad przepaścią wód wodospadu, ogarnęła swą wielkością. Poszukiwacz ogromnie przeraził się tego intelektualnego ataku, walczył z nim siłą swych myśli, aż wreszcie skończył się ten gwałt na jego mózgu. Ale wtedy już wiedział, że posiadał wszelką wiedzę o Ziemi, każdą cząstkę informacji, która dotychczas była w wyłącznym posiadaniu Zmiennika.

“Przepraszam - powiedział Zmiennik. - Nie było czasu na twoje powolne absorbowanie wiedzy. Pewnie chciałbyś rozsądnie i z namysłem poznać to wszystko, zrozumieć i poklasyfikować, ale to trwałoby zbyt długo. Przekazałem ci całą moją wiedzę za jednym zamachem i masz teraz rozumnie z niej korzystać.”

Poszukiwacz wybrał część danych na próbę i sprawdził je w mgnieniu oka. Aż zadrżał na widok obrazu kłębiących się przypadkowych informacji, zakodowanych w jego pamięci.

“Wiele danych już jest nieaktualnych - wyjaśnił Zmiennik. - Mnóstwa spraw ja sam nie znam. To, co ci przekazałem, jest obrazem planety, którą znałem przed dwoma wiekami. Trochę go uzupełniłem po powrocie z kosmosu. Chcę, żebyś wiedział o tej cząstkowości danych i o bezużyteczności niektórych z nich.”

Poszukiwacz przyłgnął do ściany jaskini i położywszy się na skalistej podłodze, badał ciemności rozciągających się wokół lasów, wzmacniał i rozpościerał na wszystkie strony czułą sieć swego instynktu, intelektu i napiętej uwagi.

Poczuł się w tej chwili oczekiwania na nieznane bardzo samotny, opuszczony nawet przez swych współbraci. Zateśnił za planetą wirujących piasków i śniegów, do której nie było dla niego powrotu teraz, a może nawet już nigdy. Znalazł się w tym przepełnionym życiem miejscu, nie wiedząc, co robić i jak walczyć z grożącym mu niebezpieczeństwem. Ścigali go krwiożerczy panowie planety, straszliwi i uzbrojeni lepiej, niż się spodziewał. Przebiegli, bezlitośni i nielogiczni, kierowani uprzedzeniami i nienawiścią, posłuszni swym morderczym instynktom.

“Zmienniku, a gdzie jest moje drugie ciało? - zapytał Poszukiwacz. - To, które miałem, zanim przyszli ludzie. Pamiętam, że je złapałeś. Co z nim zrobiłeś?”

“To nie ja! Nie złapałem go i nie podejrzewaj, że ja coś z nim zrobiłem.”

“Nie próbuj na mnie swych sztuczek z gładką wymową. Nie uciekaj się do semantyki, żeby mnie oszukać. Może to zrobiłeś nie sam, nie osobiście, ale to nie zmienia...”

“Poszukiwaczu - powiedział Myśliciel - nie przybieraj takiego tonu podczas wymiany myśli. Wszyscy trzej jesteśmy złapani w te same sidła - jeżeli tu w ogóle można myśleć o pułapkach. Ja jestem skłonny uważać, że to nie jest celowo zastawioną pułapka, tylko bardzo specyficzna, bezprecedensowa sytuacja, która może dać nam wiele korzyści. Mamy jedno ciało, a nasze umysły są tak blisko, jak to się nigdy przedtem w historii życia nie zdarzyło. Nie możemy się kłócić, nie możemy sobie pozwolić na sprzeczności. Zawsze musimy pracować razem, łącząc harmonijnie siły. Jeśli się nie zgadzamy w jakiejś sprawie, musimy to wyjaśniać od razu, i nie możemy pozwolić, by nasze nieporozumienia narastały.”

“Dokładnie to robię - powiedział Poszukiwacz. - Jest problem, który mnie niepokoi. Chcę wiedzieć, co stało się z moim pierwszym ciałem.”

“Twoje pierwsze ciało - powiedział Zmiennik - zostało przebadane biologicznie, rozebrane na molekuly i zanalizowane cząstka po cząstce. Nie było sposobu, żeby je złożyć z powrotem.”

“To znaczy, że mnie zamordowałeś.”

“Można to i tak nazwać.”

“Czy Myśliciela także zamordowałeś?”

“Tak, jego też. On był pierwszy.”

“Myślicielu, czy cię to nie oburza?” - zapytał Poszukiwacz.

“A co by to dało?”

“Sam wiesz, że nie można tego przewidzieć.”

“Nie jestem pewien - powiedział Myśliciel. - Musiałbym to przemyśleć. Oczywiście, trzeba stawiać opór stosowaniu wobec ciebie przemocy. Ale ja jestem skłonny uważać to, co się stało, raczej za transfigurację niż za przemoc. Gdyby mnie to nie spotkało, nigdy bym nie zaistniał w innym ciele ani nie poznał drugiego mózgu tak dobrze. Wszystkie dane zebrane przez ciebie od gwiazd zaginęłyby. Sam wiesz, jak wielka to strata. Nie miałbym najmniejszego pojęcia o tylu tajemnicach świata. Ty z kolei, gdybyś nie został tak przekształcony przez ludzi, nigdy nie poznałbyś ważności i wielkości przekazanej ci z gwiazd wiedzy. Dalej zbierałbyś te obrazy jako coś zwyczajnego, cieszyłbyś się nimi, ale może nawet by cię nie zaciekały. Nie znam większej tragedii niż życie na krawędzi wielkiej tajemnicy i pozostawanie obojętnym na nią.”

“Nie jestem przekonany - powiedział Poszukiwacz - czy rzeczywiście porzestałbym na zbieraniu zagadek i nie zaciekał się nimi.”

“Ale dlaczego nie chcesz zobaczyć piękna naszego niezwykłego położenia? - zapytał Myśliciel. - Jesteśmy razem w jednym ciele, a jednocześnie każdy z nas jest zupełnie różny. Trzy odrębne gatunki złączone w jedno. Poszukiwacz to brutal i bandyta, Zmiennik to przebiegły intrygant i ja...”

“I ty - wtrącił Poszukiwacz - wszechwiedzący, przewidujący...”

“Miałem zamiar powiedzieć - wyjaśnił Myśliciel - że jestem tropicielem prawdy.”

“Jeśli to mogłoby pomóc któremuś z was - odezwał się Zmiennik - to chcę przeprosić was w imieniu ludzi. Bardzo często tak samo mi się nie podobają, jak wam.”

“To całkiem zrozumiałe - powiedział Myśliciel - w końcu nie jesteś człowiekiem. Jesteś czymś zbudowanym przez ludzi po to, by być ich agentem.”

“Ale i tak trzeba czymś być - upierał się Zmiennik. - Ja wolałbym raczej być człowiekiem niż niczym. Nie można istnieć samemu.”

“Ale ty nie jesteś sam - powiedział Myśliciel. - My dwaj z tobą jesteśmy.”

“A mimo to - powtórzył uparcie Zmiennik - chcę być człowiekiem.”

“Nie rozumiem cię” - wyznał Myśliciel.

“Myślę, że ja to rozumiem - powiedział Poszukiwacz. - Tam, w szpitalu poczułem coś niespotykanego, coś już od dawna zapomnianego przez wszystkich Poszukiwaczy. To była duma z przynależności do swego gatunku, a także siła ducha i waleczność, o której dawno temu zapomnieliśmy. To drzemało we mnie. Nawet o tym nie wiedziałem. Podejrzewam, że dawno temu moja rasa była bardzo podobna do ludzkości. To jest prawdziwe wyróżnienie należeć do takiej rasy. To daje siłę,

pewność siebie i dużo szacunku dla samego siebie. To są uczucia niedostępne chyba dla Myśliciela i jego gatunku.”

“Moja duma, jeśli takową posiadam - rzekł Myśliciel - wypływałaby z innych motywów i byłaby innego rodzaju. Nie chcę zaprzeczać, że można być dumnym z różnych powodów.”

Poszukiwacz skierował uwagę na zewnątrz. Z rozciągających się wokół lasów odebrał sygnał o niebezpieczeństwie.

“Cicho!” - powiedział do dwóch pozostałych.

Sygnały były słabe i pochodziły z daleka. Nakierował na nie siły swego intelektu. Poznał, że to byli trzej ludzie. Po krótkim czasie przybyli nowi. Teraz to już cała grupa ludzi wspinała się na wzgórze. Szli ostrożnie w rzędach i dokładnie przetrząsali las. Wiadomo było, że szukają tylko jednego.

Do Poszukiwacza dotarły niewyraźne sygnały ich fal mózgowych. Wiedział, że bali się, lecz zwyciężyli swój lęk złością, nienawiścią i odrazą. To nie jedyne uczucia, jakimi się kierowali. Wstępowali w las podnieceni, w dziwnej atmosferze polowania, kiedy dzikie instynkty każą ścigać i zabić to, co uważali za niebezpieczne dla siebie.

Poszukiwacz podniósł się i przygotował do skoku. Chciał uciekać z jaskini i gnać co sił przed siebie. Myślał, że to jedyny sposób na uwolnienie się od ludzi.

“Poczekaj” - powiedział Myśliciel.

“Depczą nam już po piętach. Zaraz tu będą.”

“Upłynie jeszcze trochę czasu. Posuwają się wolno. Jest lepsze rozwiązanie. Nie możemy uciekać bez końca. Już raz zrobiliśmy ten błąd. Nie powinniśmy wpadać w nowe kłopoty przez własną bezmyślność.”

“Co uważasz za błąd?”

“Nie powinniśmy byli wtedy w szpitalu przemieniać się w

ciebie. Przez głupią panikę byliśmy tak nieostrożni. Mogliśmy przecież zostać jako Zmiennik.”

“Wtedy o tym nie wiedzieliśmy. Było realne niebezpieczeństwo i reakcja przyszła automatycznie. To zrozumiałe przy takim zagrożeniu...”

“Mogliśmy rzeczywiście spróbować ich oszukać - powiedział Zmiennik - ale to mogłoby źle się dla nas skończyć. Podejrzewali mnie o jakieś sztuczki. Na pewno zamknęliby mnie i wzięli pod obserwację. Dzięki tej ucieczce jesteśmy przynajmniej wolni.”

“Ale nie na długo - powiedział Myśliciel - jeśli będziemy trzymać się tej samej taktyki. Ich jest zbyt wielu, są panami tej planety. Nie ukryjemy się przecież przed wszystkimi, nie unikniemy kontaktów z nimi. Mamy tak małą szansę na skuteczną ucieczkę, że praktycznie jesteśmy przegrani,”

“Czy masz więc jakiś pomysł?” - zapytał Poszukiwacz.

“Dlaczego nie moglibyśmy zamienić się we mnie. Mogę być bryłą, czymkolwiek w tej jaskini, powiedzmy skałą, albo nawet niczym. Kiedy tu wejdą, nic nie zobaczą, przynajmniej nic podejrzanego.”

“Poczekaj chwilę - powiedział Zmiennik. - To dobry pomysł, nie przeczę, tylko że mogą być pewne problemy natury czysto technicznej.”

“Problemy?”

“Do tej pory sam powinieneś był się domyślić. Problem jest tylko jeden, a mianowicie klimat na tej planecie. Dla Poszukiwaczy jest zbyt gorący, dla ciebie jest o wiele za zimny.”

“Zimno to jest brak ciepła, czy tak?”

“Tak, to brak ciepła.”

“Czyli inaczej energii?”

“Dokładnie tak.”

“To dosyć czasochłonne wyjaśniać tę waszą terminologię - powiedział z niezadowoleniem Myśliciel. - Trzeba ją skatalogować, wprowadzić do mózgu. No cóż, jednak mogę znieść trochę chłodu. Dla dobra sprawy jestem w stanie znieść nawet bardzo dużo zimna.”

“Tu nie chodzi tylko o wytrzymanie w niskiej temperaturze. Wiem, że poradzisz sobie z tym. Gorzej, że do tego potrzebujesz wielkich ilości energii.”

“Kiedy przemieniłem się wtedy nocą, chyba wiecie, w tamtym domu, to...”

“To mogłeś pobierać energię z sieci domu, który ma własny generator. Tutaj nie ma nic oprócz ciepła zgromadzonego w atmosferze. Tylko że słońce już zaszło i będziesz miał jedynie energię własnego ciała. Nocą powietrze zawsze się ochładza. Jesteśmy pozbawieni dopływu ciepła z zewnątrz.”

“Rozumiem - powiedział Myśliciel. - Mogę jednak przyjąć formę, w której oszczędność energii jest maksymalna. Mogę ją w sobie zatrzymać. Czy po transformacji otrzymam całą energię, którą ma ciało?”

“Nie spodziewam się, żeby mogło być inaczej. Zużyjesz najwyżej trochę energii na przemianę, a i to niewiele.”

“Jak się czujesz, Poszukiwaczu?”

“Gorąco mi.”

“Nie o to pytam. Chyba nie jesteś zmęczony, prawda? Czy nie brak ci energii?”

“Nie, wszystko w porządku” - odrzekł Poszukiwacz.

“Poczekamy, zanim nie podejda bliżej - powiedział Myśliciel. - Wtedy zmienimy się we mnie i będę niczym, prawie niczym, bezkształtną masą. Najlepiej, gdybym mógł rozciągnąć się po całej jaskini niczym niewidzialna wykładzina. W ten sposób

utraciłbym jednak zbyt wiele ciepła.”

“Możliwe, że nie zauważą jaskini. - Zmiennik miał jeszcze jakieś złudzenia. - Miną nas i pójdą dalej.”

„Nie możemy polegać na przypadkach - upomniał go Myśliciel. - Będę sobą nie dłużej, niż to się okaże konieczne. Jeśli twoje przypuszczenia są słuszne, to powrócimy do postaci Poszukiwacza, kiedy tylko oni przejdą dalej.”

“Sam oceń swoje szansę - zaproponował Zmiennik. - Masz dane, które ci przekazałem, znasz chemię i fizykę równie dobrze jak ja.”

“To co, że mam dane, kiedy nie wiem, jak je wykorzystać - stwierdził oschle Myśliciel. - Mój mózg nie rozwiązywał takich zagadek, nie ma do nich gotowego klucza. Nie jestem zdolnym matematykiem, nie przyswajam sobie uniwersalnych zasad tak szybko jak ty.”

“Czy to dla ciebie jakaś trudność, skoro jesteś naszym myślicielem?”

“Ja myślę i wnioskuję na innych zasadach.”

“Przestańcie się przekomarzać - przerwał im niecierpliwie Poszukiwacz. - Pomyślmy, co zrobimy. Zaraz jak tylko się ich pozbędziemy, wracamy do mojej postaci.”

„Nie - powiedział Zmiennik - do mojej postaci.”

“Sam wiesz, że to niemożliwe. Nie masz ubrań.”

“Tutaj w lesie to nie ma znaczenia.”

“Jesteś boso. Koniecznie potrzebujesz butów do chodzenia po skałach i patykach. Twoje oczy nie widzą dobrze w ciemnościach.”

“Już prawie tu są” - ostrzegł Myśliciel.

“Nie ma obawy. - Poszukiwacz był spokojny. - Schodzą ze wzgórza.”

Ulubiony program Elaine Horton miał zacząć się za kwadrans. Czekala na niego z niecierpliwością niemal przez cały dzień. Waszyngton wydał jej się nudny i odpychający. Zaledwie przyjechali, a już tęskniła do starego kamiennego domu w Wirginii.

Usiadła w fotelu z przypadkowo wybranym magazynem i zaczęła przeglądać go leniwie, gdy senator wszedł do pokoju.

- Witaj, córeczko. - Pocałował ją w policzek. - Co robiłaś przez cały dzień? Mam nadzieję, że się nie nudziłaś.

- Przez jakiś czas oglądałam transmisję z konferencji.

- I jak? Dobry pokaz, prawda?

- Dostyc ciekawy. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego chciało ci się grzebać w tych starociach sprzed dwustu lat?

- Cóż, myślę, że w dużej mierze przez przekorę - zachichotał senator. - Chciałem wstrząsnąć tym zarozumiałym Stone'em. Nie widziałem jego twarzy, ale zakładałam się, że posiniał mocno ze zdenerwowania.

- Nie mylisz się. Niemal przez cały czas wytrzeszczał oczy z niedowierzaniem. Odniosłam wrażenie, jakby twoim głównym celem było udowodnienie, że bioinżynieria nie jest taką zupełną nowością, jak się powszechnie uważa.

Senator usiadł i wzięwszy ze stołu gazetę, zaczął przeglądać nagłówki artykułów.

- Tak, to prawda - odpowiedział po chwili. - A oprócz tego chciałem wytłumaczyć wszystkim, że takie eksperymenty są możliwe do przeprowadzenia - właściwie to już je zrobiono, i to z

dobrym skutkiem, dwa wieki temu. Kiedyś mogliśmy się tego bać, teraz mamy podstawy do większej pewności siebie. Pomyśl, ile czasu straciliśmy! Te dwieście lat trudno będzie odrobić. Mam jeszcze dwóch pewnych świadków przygotowanych na kolejne posiedzenia. Powiedzą to samo.

Senator widocznie uznał rozmowę za zakończoną, bo zabrał się do czytania jakiegoś artykułu. Po chwili podniósł głowę.

- Czy matka już wyjechała?

- Tak. Samolot był tuż przed południem.

- Tym razem do Rzymu, jeśli się nie mylę? Co to ma być - filmy, poezja czy jeszcze coś innego?

- Filmy, tatusiu. Słyszałam, że to kilka kopii z końca dwudziestego wieku. Niedawno je odnaleźli.

- Twoja matka - zaczął senator wzdychając - jest naprawdę inteligentną kobietą. Umie docenić tak wzniosłe rzeczy. Przykro mi, że nie podzielam jej zachwyty. Wspominała, że chciałaby ciebie zabrać na te pokazy. Mogło być całkiem ciekawie. Szkoda, że nie zdecydowałaś się tam pojechać.

- Dobrze wiesz, że nie interesują mnie przestarzałe bajeczki. Ale, ale, szczywany z ciebie lisek - powiedziała ze śmiechem. - Z największym podziwem odnosisz się do tego, co lubi mama, choć za grosz o to nie dbasz.

- Oboje wiemy, że masz rację - zgodził się. - Jeśli już mowa o filmach, to może zobaczymy, co dają w trójwymiarze? Pozwolisz, że przyłączę się do ciebie?

- Oczywiście. Będzie nam bardzo przyjemnie obejrzeć coś razem. Właśnie czekam na Horatia Algera. Zacznie się za jakieś dziesięć minut.

- Horatio Alger - a cóż to jest?

- Powiedzmy, że serial. No wiesz, w odcinkach, ciągnie się od

dosyć dawna. Horatio Alger napisał te opowiadania, jeśli się nie mylę. Gdzieś na początku dwudziestego wieku. Napisał wiele książek, ale krytycy twierdzą, że to liche pisarstwo. Częściowo się z nimi zgadzam. Chociaż muszę ci powiedzieć, że wielu ludzi czytuje go. To znaczy, że te książki mają w sobie coś ludzkiego i wzruszającego. Ogólnie mówiąc, opisują, jak biedny chłopiec pokonuje straszliwe trudności.

- Piękny banał się zapowiada - zakpił.

- Możliwe, że tak to brzmi. Ale scenarzyści i producenci potrafili zamienić kiepski motyw w ciekawe studium dokumentalne o społeczeństwie i przyprawili to dużą dozą dobrej satyry.

Ponadto znakomicie odtworzyli scenerię z epoki. Zauważ, że większość musiała być z końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku. To nie tylko kwestia scenografii czy rekwizytów, ale także atmosfery moralnej i społecznej. Dopiero tutaj widać, jak barbarzyńskie to czasy. Sam zobaczysz. Są sytuacje mrozące krew w żyłach, przerastające nasze wyobrażenie...

Odezwał się sygnał telefonu, przekaźnik obrazu zamigotał i senator podniósł się z fotela. Przeszedł przez pokój.

Elaine usiadła wygodniej i zamyślona przerzucała kartki czasopisma. Program zacznie się za pięć minut i będzie miała tę rzadką przyjemność oglądania go z ojcem. Miała nadzieję, że nic im nie przeszkodzi i pomimo tego telefonu ojciec zostanie z nią w domu.

Senator wrócił po kilku minutach.

- Przykro mi, ale muszę wyjść na jakiś czas - powiedział.

- Nie obejrzysz Horatia. - Była wyraźnie zawiedziona.

- Nie teraz, to innym razem. - Zabrzmiało to dosyć zdawkowo. -

Dzwonił Ed Winston z St. Barnabas.

- Z tego szpitala? Czy coś się stało?

- Nie, nikt nie jest ani ranny, ani chory, jeśli o to ci chodzi. Chociaż Winston był zdenerwowany i upierał się, żebym natychmiast przyjechał. Nie chciał powiedzieć, co to za sprawa.

- Nie zasiedź się tam. Wróć, jak tylko to będzie możliwe. Musisz się wyspać przed jutrzejszymi przesłuchaniami.

- Zrobię, co będę mógł - uspokoił ją.

Odprowadziła go do drzwi i pomogła włożyć płaszcz. Potem wróciła do pokoju i zaczęła się zastanawiać nad tym nagłym wezwaniem do szpitala. Nie lubiła słowa "szpital". Wywoływało w niej niepokój. Co senator mógł mieć wspólnego ze szpitalem? Była w tym szpitalu zaledwie dzisiaj po południu. Nie miała ochoty iść tam, ale potem była zadowolona, że to zrobiła. Pomyślała, że ten Blake to rzeczywiście ma twarde orzechy do zgryzienia. To mało zabawne nie wiedzieć, kim albo czym się jest.

Weszła do pomieszczenia z trójwymiarowym ekranem i usiadła przed wklęsłym ekranem, który właściwie otaczał ją ze wszystkich stron. Włączyła urządzenie i wyregulowała obraz.

Automatycznie pomyślała sobie o matce oglądającej w Rzymie stare filmy. Nie mogła zrozumieć, co też ciekawego kryło się w prymitywnych, płaskich, dwuwymiarowych obrazach? Większość ludzi odrzuciła je jako prostackie lub po prostu zapomniała o ich istnieniu. Takich nielicznych zapaleńców jak jej matka doprawdy trudno było zrozumieć, Elaine pomyślała z lekką goryczą, że ci fanatycy przeszłości byli z reguły zaprzysięgłymi wrogami współczesnych form rozrywki, pogardzali nimi i nazywali profanacją prawdziwej sztuki. Jeśli za kilkaset lat rozwiną się nowe rodzaje przekazu artystycznego,

możliwe, że stary, dobry trójwymiar przeżyje swój renesans i odbierze należne mu uznanie, którego odmawia mu się w czasie jego największego rozkwitu. Migotanie na ekranie zastąpił obraz i Elaine znalazła się na jednej z ulic miasta.

Reporter relacjonował:

- Nikt nie zdołał jeszcze wyjaśnić, co naprawdę zdarzyło się w tym budynku przed niecałą godziną. Relacje na ten temat są sprzeczne i nie znaleziono wiarygodnego potwierdzenia dla którejś z wersji. Szpital powoli uspokaja się, choć jeszcze kilkanaście minut temu było tutaj prawdziwe piekło. Krążą pogłoski, że brakuje jednego z pacjentów. Personel szpitala nie wypowiedział się jednak na ten temat. Wszystkie relacje zgodne są co do tego, że jakieś zwierzę, niektórzy twierdzą, że wilk, biegło przez korytarze i atakowało wszystkich spotkanych po drodze. W jednej z relacji opisywano domniemanego wilka jako zwierzę z podobnymi do ludzkich ramionami. Policja po przybyciu na miejsce strzelała do uciekającego zwierzęcia w recepcji szpitala, niestety bezskutecznie...

Elaine zabiło mocniej serce. St. Barnabas! To było w St. Barnabas! W tym samym szpitalu, gdzie niedawno odwiedziła Andrew Blake'a i dokąd teraz jechał jej ojciec.

Wstała odruchowo, ale uświadomiła sobie, że nic nie może zrobić w tej zagadkowej sprawie. Nie pomoże ojcu. Miała nadzieję, że senator sam będzie na siebie uważał. Zawsze sam sobie radził. Bez względu na to, co wydarzyło się w szpitalu, już było po wszystkim, przynajmniej tak wynikało z relacji reportera. Poczekaj na ojca. Na pewno niedługo wróci. Stała na werandzie, drżąc w zimnych podmuchach wiatru.

Odgłosy kroków przybliżały się, stopy poszukiwaczy musiały plątać się w kłęczach roślin i ślizgać na odłamkach skał u wejścia do jaskini. Strumień światła rozjaśnił wnętrze kryjówki. Myśliciel przycupnął w najdalszym kącie, zwarł i ścisnął swe ciało, zredukował jego powierzchnię. Wiedział, że może ono go zdradzić, ale nie mógł bardziej się zmniejszyć. To było jego ciało zabezpieczające istnienie czystej inteligencji. Zwłaszcza w tej chwili, kiedy gwałtownie tracił energię, emitując ciepło do atmosfery.

Myślał nad ich wspólnym życiem. Wiedział, że musi być sobą i że Poszukiwacz oraz Zmiennik też muszą zachować swoje ego. Nie mogą być czymś więcej lub mniej, niż byli, i nie zmieniają się inaczej niż w wyniku procesu długotrwałej ewolucji. Czy jednak w nadchodzących tysiącletniach nie ma żadnych szans na to, by troje zlało się w jedno, by zamiast trzech mózgów powstał jeden? Ta scalona istota miałaby uczucia, których Myśliciel nie rozumiał, mógł je zaledwie rozpoznać. Miałaby także jego twardą, zimną i bezosobową logikę, której im dwóm brak. Do tego przenikliwą wrażliwość Poszukiwacza, obcą gruboskórnym osobnikom. Ślepy przypadek złączył ich w jednym ciele, trzy odrębne mózgi w masie materii przybierającej różne kształty. Co zapoczątkowało łańcuch reakcji doprowadzający do tak niespodziewanego końca? Czy to rzeczywiście przypadek, czy przeznaczenie? Co to jest przeznaczenie i czy można je wiązać z tak bezprecedensowym zdarzeniem? Czy istnieje jakiś wielki, uniwersalny plan, stojący ponad wszystkim, i czy ich połączenie

było częścią tego planu, niezbędnym krokiem przybliżającym chwilę odległego, choć nieuniknionego celu, ku któremu zmierza świat?

Człowiek wspinający się do otworu jaskini przy każdym kroku ślizgał się na kamieniach, chwycił za łodygi roślin i za skały, by nie spaść w dół. Beładnie machał latarką elektryczną, przez co ta oświetlała badany teren niedokładnie i niesystematycznie.

Chwycił dłońmi krawędź skalnego wejścia, podciągnął się i przełożył łokcie. Trzymał teraz głowę na wysokości otworu i mógł zajrzeć do środka.

Zmęczony wdrapywaniem się odetchnął i zawołał:

- Hej, Bob, w tej grocie czuć dziwny zapach. Coś tu musiało być, i to całkiem niedawno,

Myśliciel zareagował natychmiast, choć może niezbyt rozważnie - rozciągnął się gwałtownie, błyskawicznie znalazł się przy mężczyźnie i uderzył go nie gorzej niż zawodowy bokser na ringu. Zepchnął łokieć myśliwego ze skały i pchnął z impetem, aż tamten z hukiem zwałił się w dół stromego zbocza. Myśliciel słyszał, jak biedak krzyknął, bardziej zaskoczony niespodziewanym atakiem niż z powodu bólu. Potem rejestrował już tylko jego staczanie się, ocieranie o gałęzie i gałęzy, próby złapania się jakiegoś stabilnego przedmiotu i zatrzymania. Wszystko ucichło wraz z ostatnim trzaskiem gdzieś u podnóża wzniesienia.

Inne osobniki też podążały w tym kierunku, nerwowo wyławiając z ciemności krzaki i pnie drzew błyskami swych latarek.

- Bob, coś się stało Harry'emu! - podniosły się głosy.

- Tak, słyszałem jego krzyk.

- On chyba leży w strumieniu. Słyszałem coś, jakby plusk

wody. Wrogowie zbiegali w dół i pozornie zapomnieli o celu swej wyprawy, przynajmniej na jakiś czas. Skierowali się nad strumień, gdzie rozbłysło teraz kilkanaście świateł i skąd dochodziły niespokojne okrzyki.

Mózg Myśliciela zarejestrował jakiś impuls.

“Tak? - zapytał. - O co chodzi?”

“Co teraz robimy? - niemal wył Poszukiwacz. - Czy nie słyszałeś jego jęku? Oni są bardzo poruszeni, skojarzą, że coś jest nie w porządku i wejdą tutaj z powrotem, ale już nie pojedynczo. Mogą zacząć strzelać do środka jaskini.”

“Też tak myślę - dodał Zmiennik. - Będą szukać dalej i to dokładniej. Ten mężczyzna, który spadł...”

“Spadł! - przerwał mu Myśliciel pogardliwie. - Sam go zepchnąłem.”

“W porządku, to nieistotne dla nas. Ważne, że ten człowiek powie im wszystko i muszą tu przyjść jeszcze raz. Możliwe, że poczuł zapach Poszukiwacza.”

“Ja nie śmierdzę” - Poszukiwacz był urażony.

“To naprawdę śmieszne - powiedział Myśliciel. - Przypuszczam, że każdy z nas ma inny zapach ciała. To naturalne. Ty przebywałeś tu już wystarczająco długo, żeby ta dziura przesiąkła tobą.”

“Równie dobrze to mógł być twój odór” - bronił się Poszukiwacz.

“Dosyć tego - powiedział szorstko Zmiennik. - Nie próbujcie przypisywać komuś jednemu winy, bo tylko próżno tracicie cenne minuty. Zastanówmy się, co robić. Myślicielu, czy możesz zmienić się w coś cienkiego i płaskiego, tak żebyś niepostrzeżenie wydostał się stąd?”

“Wątpię. Planeta jest za zimna, żebym to przetrzymał. Już

teraz tracę za dużo energii. Jeśli się rozciągnę, utrata ciepła przez powiększoną powierzchnię mego ciała może być niebezpiecznie duża.”

“To jest właśnie problem, który musimy niebawem rozwiązać - oznajmił Poszukiwacz. - Jak uzupełnić braki energii? Jedyne wyjście, to zdobycie pokarmów dla Zmiennika. Kiedy się naje i wchłonie je do krwiobiegu, całe ciało się wzmocni. Tylko że wtedy musielibyśmy zostać w jego ciele tak długo, aż je przetrawi. Dla Myśliciela też by się znalazło kilka źródeł energii. Dla mnie, niestety, nie ma na Ziemi substancji, które mógłbym przyswoić w swoim ustroju. Zdaje mi się...”

“Masz w zupełności rację - przerwał mu Zmiennik. - Pozwól jednak, że pomówimy o tym innym razem. Zajmijmy się teraz najpilniejszym problemem. Poszukiwaczu, czy możesz uciekać? Mnie spostrzegliby szybko. Moja biała skóra byłaby łatwo widoczna z daleka.”

“Oczywiście, że mogę.” - Poszukiwacz wyglądał na zadowolonego.

“Doskonale. Wyczołgaj się z jaskini i biegnij w dół zbocza. Szybko, ale cicho. Musi ci się udać. Oni są zebrani nad potokiem i jeśli cię nie usłyszą, wymkniemy się im.”

“Zbiegnę ze wzgórza i co dalej?”

“Pobiegniesz w kierunku którejś z dróg, aż znajdziemy telefon” - wyjaśnił Zmiennik.

- Jeżeli to, co pan mówi, jest prawdą - Chandler Horton był dosyć ostrożny - to może powinniśmy skontaktować się zaraz z Blakiem.

- Dlaczego pan uważa, że to nadal jest Andrew Blake? - dyrektor szpitala pozostał na swych pozycjach sceptyka. - To nie Blake wybiegł ze szpitala, gryząc wszystkich po drodze. Jeśli Daniels ma rację, to jest to jakaś nieziemaska istota.

- Ale Blake także tam był - zaprotestował Horton. - Stąd wydostał się w ciele obcej istoty, a potem mógł z powrotem powrócić do swojej postaci.

- Jeżeli zechcą panowie usłyszeć moje zdanie na ten temat - **Senator Stone** popatrzył na Hortona z szyderczym uśmiechem - to powiem, że uważam tę teorię za kompletną bzdurę.

- Oczywiście, że interesują nas pańskie spostrzeżenia - Horton był opanowany - ale wolałbym, żeby choć raz pańskie sugestie były bardziej konstruktywne.

- A co tutaj wymaga konstruktywnego myślenia? - Stone podniósł głos. - Ta dziecinna zabawa w układankę? Jeszcze nie poznałem mechanizmu tej sztuczki, a już wiem, że to wielkie oszustwo i ty za nim stoisz. Zawsze byłeś miłośnikiem głupich, nieodpowiedzialnych żartów, ale tym razem przebrałeś miarękę. Zaaranżowałeś to wszystko, bo masz jakiś ukryty cel na oku i nie cofniesz się przed niczym. Wiedziałem to już wtedy, gdy przyprowadziłeś tego dowcipnisia Lukasa jako świadka.

- Doktorze Lukas, proszę mu wybaczyć, on czasami nie panuje nad sobą - wtrącił pośpiesznie Horton.

- W porządku, powiedzmy - doktora Lukasa. Więc co on wie na ten temat?

- Zaraz się dowiemy. - Horton zachował niezmałony spokój. - Doktorze Lukas, co pan o tym sądzi?

- Co do wydarzeń w tym szpitalu, doprawdy, nie mam pojęcia, co one znaczą - odparł z chłodnym uśmiechem, - Jeżeli zaś chodzi o wyjaśnienia doktora Danielsa, to w pełni zgadzam się z jego hipotezą.

- Ale to przypuszczenia - upierał się Stone. - Nic więcej niż przypuszczenia. Doktor Daniels to wyjaśnił - wspaniale, znakomita robota, kapitalny umysł! Doprawdy, ma wyobraźnię! Ale to wcale nie znaczy, że on ma rację. To jest niczym nie potwierdzona teoria.

- Muszę panu przypomnieć - odezwał się dyrektor - że Blake był pacjentem doktora Danielsa.

- I to by miało znaczyć, że on jest nieomylny, tak?

- Niekoniecznie. Ja sam nie wiem, co o tym sądzić. A jak na razie, tylko Daniels ma jakąś całościową wersję wydarzeń.

- Może spróbujmy uspokoić się na chwilę i przyjrzeć się co my tu mamy - zaproponował Horton. - Może pozostawmy bez odpowiedzi zarzuty senatora, choć zgadzamy się, że coś niezwykłego zdarzyło się w tej klinice. Może decyzja doktora Winstona o sprowadzeniu nas wszystkich jednocześnie była trochę pochopna i teraz, przy takiej rozbieżności opinii, trudno sformułować niepodważalną teorię, jednak jest to korzystne z jednego względu: nikt nie może chyba zaprzeczyć, że sprawa wymaga rozwagi.

- Rzeczywiście tak myślę - zgodził się dyrektor kliniki.

- Rozumiem, że ten wilk czy cokolwiek to było... - Solomon Stone przerwał Hortonowi znaczącym pogardliwym

chrząknięciem - ... czy cokolwiek to było innego - ciągnął lodowato senator - przebiegł przez ulicę i przepadł gdzieś w parku, a policja prowadzi bezskuteczny jak dotąd pościg.

- Tak jest - odpowiedział Daniels. - Cały czas próbują go złapać. W czasie ucieczki zwierzę dostało się w światła reflektorów jakiegoś samochodu, a ten głupiec kierowca próbował je przejechać.

- Jak najprędzej musimy powstrzymać takie szaleńcze próby. - Horton był poruszony. - Widocznie wszyscy są dzisiaj jak w gorączce...

- Rozumie pan chyba, że to wszystko zakrawa na czyste szaleństwo - wyjaśnił dyrektor. - Trudno o rozsądek w takich chwilach.

- Jeśli Blake jest tym, za kogo uważa go doktor Daniels - zaczął Horton - to musimy odnaleźć go jak najszybciej. Rozwój bioinżynierii jest opóźniony o dwa stulecia, bo wszyscy prędko uwierzyli, że projekt Administracji Przestrzeni nie powiódł się. Pozbyto się go tak szybko i skutecznie, że tylko przypadek pozwolił go odkryć. Ludzie zadowolili się mitem, przyjęli legendę za dobrą monetę i nie pytali o więcej. A teraz się okazuje, że eksperyment był udany i dowód na to znajduje się gdzieś w pobliskich lasach.

- Myli się pan - zauważył Lukas. - Eksperyment nie przebiegał dokładnie według planów. Myślę, że Daniels ma rację. Niepowodzenie polegało na tym, że android przyswoił sobie cechy innych stworzeń, ale już nie mógł się ich pozbyć. Stał się więc dwiema istotami w jednym ciele - człowiekiem i pozaziemskim zwierzęciem. To zmieniło strukturę ciała i zdolności intelektualne.

- Chciałbym zapytać o stan intelektualny właśnie - wtrącił

dyrektor. - Czy mózg androida był zsyntetyzowany, to znaczy... precyzyjnie wytworzony, zaprogramowany i wprowadzony do jego ciała w postaci scalonego systemu?

- Nie mam przekonania, że tak właśnie było. - Lukas potrząsnął przecząco głową. - To byłaby raczej prymitywna metoda i mało uzasadniona. Zapisy, przynajmniej te, które ja przeglądałem, nie wspominają o tym. Ja przypuszczam, że istniejący ludzki umysł został odwzorowany w jego mózgu. Już wtedy istniały odpowiednie możliwości techniczne. Myślę o bankach mózgow. Kiedy dokładnie one powstały?

- Ponad trzysta lat temu - odpowiedział Horton.

- Więc się nie myliłem, takie przekalkowanie było możliwe. Dzisiaj byłoby trudno zbudować syntetyczny mózg, a co dopiero dwieście lat temu. Wątpię, czy istniałyby składniki pozwalające na zbudowanie zrównoważonego mózgu - ludzkiego mózgu. Moglibyśmy zbudować mózg - z tym jeszcze się zgodzę - ale byłaby to dziwna maszyna, wywołująca dziwne uczucia i reakcje, nie do końca ludzkie, może trochę mniej czy więcej niż ludzkie

- Uważa pan - wnioskuje Horton - że Blake żyje z powielonym mózgiem jakiegoś człowieka, który istniał na Ziemi w tamtym czasie.

- Tak właśnie myślę - odparł Lukas.

- Też się z tym zgadzam - dodał dyrektor.

- Więc Blake jest w rzeczywistości człowiekiem - ciągnął swe rozumowanie Horton. - No, powiedzmy raczej, że ma ludzki mózg.

- Nie widzę innej możliwości wyposażenia go w mózg, jak tylko za pośrednictwem banku mózgow.

- To bzdury. - **Senator Stone** próbował się powstrzymać od kolejnego wybuchu. - Odkąd żyję, nie słyszałem tylu bredni.

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

- Czy odnalezienie i sprowadzenie Blake'a jest niezbędne? - Dyrektor spojrzał pytająco na senatora Hortona.

- Tak. I to jak najszybciej, zanim zabije go policja czy jakiś narwany szaleniec. Jeśli zapędzą go w jakąś dziurę, nie odnajdziemy go przez wiele miesięcy, może nigdy.

- Pomyślcie o tym wszystkim, co może nam powiedzieć, o ile może wzbogacić się nasza nauka dzięki niemu. - Lukas wyraźnie nabierał entuzjazmu. - Skoro mamy rozwijać program inżynierii człowieka teraz czy w przyszłości, Blake może okazać się bezcennym okazem udanego eksperymentu.

- Blake to szczególny przypadek. - Dyrektor wyglądał na zaskoczonego. - Android, którego działanie oparto na zasadzie nieskończonej otwartości. O ile mi wiadomo, tego nie ma w proponowanym programie bioinżynierii.

- Ma pan rację, doktorze - zgodził się Lukas. - Ale każdy android, każdy zsyntetyzowany człowiek będzie...

- Tracą panowie czas na te rozważania - przerwał mu Stone.

- Nie będzie żadnego programu inżynierii biologicznej człowieka. Ja i moi koledzy czuwamy, żeby to nie doszło do skutku.

- Solomonie, o polityczne konsekwencje zadbamy później.

- Horton zdołał zachować zimną krew. - Jak na razie, to mamy przerażonego człowieka bląkającego się po okolicy i musimy znaleźć sposób, by go przekonać o naszych pokojowych intencjach.

- Więc co proponujesz zrobić?

- Cóż, to wydaje się dosyć proste. Odwołać pościg i przekazać wiadomość do gazet, trójwymiaru...

- Chyba żartujesz? Uważasz, że wilk będzie czytał gazety albo

oglądał trójwymiar?

- Jest prawie pewne, że on nie pozostanie jako wilk - wytłumaczył Daniels. - Powróci do ludzkiej postaci, jak tylko będzie mógł. Tej pozaziemskiej istocie Ziemia może wydawać się nieodpowiednia, choćby ze względów klimatycznych.

- Panowie - zaczął dyrektor niemal błagalnym tonem. - Panowie... - Spojrzeli na niego zaskoczeni. - Nie możemy tego zrobić. Ośmieszymy szpital. Najgorsze są te skojarzenia z wilkołakami. Wyobrażacie sobie, jak rozszaleje się prasa... te krzykliwe nagłówki? Niezłą zabawę sobie urządzą naszym kosztem.

- Nawet jeżeli mamy rację? - zaproponował Daniels.

- O to właśnie chodzi. Nie wiemy, czy mamy rację. Choćby wszystko na to wskazywało, to nie wystarczy. W takiej sprawie musi być stuprocentowa pewność, a takiej nie mamy.

- Więc nie zgadza się pan na oficjalne oświadczenie w proponowanej formie?

- Nie mogę. Tutaj chodzi o szpital, nie o mnie. Zgodzę się, gdy Administracja wyda pozwolenie. To sprawa zbyt wielkiej wagi, bym brał na siebie całą odpowiedzialność. Jeśli to zrobię, Administracja podniesie taki hałas i to całkiem słuszny...

- Przecież to przedawniona sprawa.

- To nie gra roli. Tym bardziej, jeśli nasze przewidywania okażą się słuszne, Blake należy do nich. On jest ich dzieckiem, nie naszym. Skoro to zaczęli, z pewnością...

W pokoju rozległ się nerwowy i zarazem szydery śmiech Stone'a.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Chandler - powiedział. - Idź i sam to opowiedz reporterom. Tylko na to czekają. Rozgłoś te brednie, skoro w nie wierzysz. Mam nadzieję, że stać cię na to.

- Założę się, że ciebie na pewno byłoby na to stać - odciął się Horton.

- Ostrzegam cię, przyjacielu - nuta groźby zabrzmiała w głosie Stone'a. - Jeśli powiesz o tym publicznie choćby jedno słowo, to dam ci tak popalić, że nieprędko się pozbierasz.

.. 20 ..

Monotonny sygnał telefonu dotarł wreszcie do trójwymiarowego świata iluzji. Elaine Horton z trudem oderwała się od sugestywnej wizji odległej przeszłości.

Ekran aparatu pulsował szybko; oczywisty znak niecierpliwości rozmówcy. Włączyła odbiór i zobaczyła znajomą twarz, rozjaśnioną słabym światłem budki telefonicznej.

- Andrew Blake? - wykrzyknęła zaskoczona.

- Tak, to ja. Widzi pani...

- Czy coś się stało? Senator został wezwany do szpitala...

- Mam pewien kłopot. Chyba słyszała już pani ostatnie wiadomości?

- Mówi pan o szpitalu? Tak, oglądałam je przez jakiś czas, ale niewiele mieli do pokazania. Coś mówili o wilku i jeszcze o tym, że zniknął jeden z pacjentów... - przerwała uświadamiając sobie, cóż to naprawdę oznacza. - Jeden z pacjentów zniknął! To znaczy pan, prawda?

- Niestety tak. Potrzebuję pomocy, a znam tylko panią i wiem, że pani się zgodzi.

- Słucham, proszę mówić.

- Potrzebuję jakiegoś ubrania - wykrztusił.

- Czy to znaczy, że wyszedł pan ze szpitala bez ubrania? Dzisiaj jest taka zimna noc.

- To długa historia - przerwał jej niecierpliwie. - Jeśli nie chce mi pani pomóc, proszę mówić szczerze, zrozumiem to. Nie chcę pani w nic mieszać. Tylko że powoli zamarzam i do tego muszę się kryć...

- Ucieka pan ze szpitala?
- Tak, powiedzmy, że uciekam.
- Jakie to mają być ubrania?
- Cokolwiek. W takiej sytuacji nie jestem wybredny. Zawahała się. Może powinna zapytać senatora? Ale jeszcze nie wrócił i nie spodziewała się, by to szybko miało nastąpić.
- Pozwoli pan, że coś wyjaśnię - mówiła spokojnie, lecz stanowczo. - Pan zniknął ze szpitala bez ubrania. Mówi pan, że tam nie wraca. Czy ktoś pana ściga?
- Tak, przez jakiś czas policja robiła obławę.
- Ale teraz już nie?
- Tak, chwilowo mam spokój. Wymknęliśmy się im.
- My?
- Pomyliłem się. Chciałem powiedzieć, że udało mi się uciec.
- Gdzie pan jest? - zapytała po krótkiej przerwie.
- Nie jestem zupełnie pewien. Miasto zmieniło się od czasu, gdy je znałem. Domyślałem się, że jestem przy południowej stronie starego mostu Taft.
- Proszę tam zostać i czekać na mój samochód. Będę jechać wolno i szukać pana.
- Bardzo pani dziękuję...
- Chwileczkę. Coś mi przyszło do głowy. Dzwoni pan z budki na ulicy?
- Tak.
- Skąd pan wziął monetę, skoro nic pan nie ma?
- Wie pani, że one wpadają do małego pudełka? - Skrzywił się i dokończył: - Przykro mi, że musiałem je trochę uszkodzić.
- Rozbił pan aparat, żeby wyjąć monetę?
- Prawdziwy kryminalista, sama pani widzi.
- Rozumiem. Lepiej niech mi pan poda numer tego aparatu i

trzyma się w pobliżu. Zadzwoń, jeśli okaże się, że nie ma pana we wskazanym miejscu. Możliwe, że się pan pomylił.

- Chwileczkę... - Odnalazł numer i podyktował jej.

- Wie pan chyba - odezwała się po chwili - że już jestem wplątana w tę historię. Łatwo odnajdą mój numer telefonu.

- Tak, wiem. - Skrzywił się. - Ale znam tylko panią i musiałem wykorzystać tę szansę.

“Ta kobieta - zaczął Poszukiwacz - to istota rodzaju żeńskiego, prawda?”

“Tak - odpowiedział Zmiennik. - I to bardzo kobieca. Powiedziałbym, że piękna.”

“Nie bardzo rozumiem takie konotacje - powiedział z niesmakiem Myśliciel. - To dla mnie nowe pojęcie. Czy kobieta to istota, której można okazać uczucie? Przypuszczam, że to musi być wzajemne zainteresowanie? Czy kobiecie można ufać?”

“Czasami można - odparł Zmiennik. - To zależy od wielu czynników.”

“Nie rozumiem twojego stosunku do kobiet - zaczął narzekać Poszukiwacz. - Samice przedłużają gatunek i nic więcej. We właściwym czasie...”

“Wasz system - przerwał mu Myśliciel - jest nieefektywny i odrażający. Jeśli zachodzi potrzeba, sam dokonuję prokreacji. W tej chwili pomińmy biologiczne czy społeczne znaczenie tej kobiety. Zastanówmy się, czy możemy jej ufać.”

“Nie wiem - przyznał się Zmiennik. - Myślę, że tak. Dzwoniąc do niej, z góry zakładałem, że jest godna zaufania.”

Skulony za kępą krzaków drżał na zimnym wietrze i szczął zębami. Raz po raz wstrząsały nim dreszcze. Ostrożnie podwinął nogi, poranione i bolące po długim biegu w ciemnościach. Ulokował się niedaleko słabo oświetlonej budki. Tuż za nią ciągnęła się pusta o tej porze droga. Czasami z dużą szybkością przemykały pojedyncze samochody, ale żaden z nich nie mógł należeć do dziewczyny. Dalej wznosiła się oświetlona blaskiem

gwiazd konstrukcja mostu, zbawiennego znaku rozpoznawczego.

Przysunął się bliżej gałęzi i zadumał nad niezwykłością swego położenia. Ukrywa się nagi, wpół zamarznęty, błąka po jakichś zakamarkach miasta i czeka na pomoc dziewczyny, którą widział dwa razy w życiu. Nawet nie jest pewien, czy ona przyjedzie.

Skrzywił się na wspomnienie niedawnej rozmowy. Musiał zebrać całą swoją odwagę, żeby zadzwonić, i nie zdziwiłby się, gdyby bez słowa odłożyła słuchawkę. A jednak go wysłuchała, trochę przestraszona i podejrzliwa. To zrozumiałe. Zupełnie obcy człowiek dzwoni z dziwną, jeśli nie żenującą prośbą o pomoc.

Nie miał prawa stawiać jej wymagań. A co zabawniejsze - już drugi raz zwracał się do rodziny senatora o pomoc w zdobyciu ubrań i dotarciu do domu. Z tą tylko różnicą, że tym razem nie wraca do domu. Policja z pewnością otoczyła teren i złapałaby go, nie czekając na wyjaśnienia.

W bezskutecznych próbach ogrzania się otoczył ramionami nagi tułów. Usłyszał nad głową jakiś warkot i zobaczył nadlatujący dom. Ten zmniejszył szybkość, obniżył lot i manewrował nad drzewami, próbując zapewne wylądować na najbliższym parkingu. Zza oświetlonych okien dochodziła Blake'a muzyka i śmiech - szczęśliwi ludzie beztrąsko spędzali czas, kiedy on musiał kryć się przed okrutnym, bezwzględny polowaniem.

Patrzył na dom, aż ten zniknął za drzewami. Potem powrócił do swoich niewesołych rozważań. Co miał teraz robić, co oni trzej mieli robić? Jaki powinien być jego następny ruch, jeśli dostanie ubrania?

Dowiedział się od Elaine, że nie ogłoszono jego ucieczki oficjalnie, ale za kilka godzin z pewnością naprawią to niedopatrzenie. Jego twarz pojawi się na pierwszych stronach

wszystkich gazet i w trójwymiarze. Nie ma szans na anonimową ucieczkę. Zamienią się w Poszukiwacza albo Myśliciela i choć nie będzie już wyglądu znanej wszędzie twarzy, będą musieli jeszcze bardziej ukrywać się przed ludzkim wzrokiem. Klimat też był wrogi dla nich obu: za zimny dla Myśliciela, za gorący dla Poszukiwacza. Do niego, Zmiennika, należało także znalezienie i zaabsorbowanie energii niezbędnej do utrzymania ich przy życiu. Możliwe, że istnieje na Ziemi jakieś pożywienie dla Poszukiwacza, ale musieliby je wpierw sprawdzić. Myśliciel mógłby naładować się ze stacji energetycznych, ale trudno je odnaleźć i łatwo by ich złapano.

Myślał, czy skontaktowanie się z doktorem Danielsem byłoby dla niego bezpieczne. Wreszcie doszedł do wniosku, że to nierozważne posunięcie miałyby najgorsze skutki. Zmusiliby go do powrotu do szpitala, czyli złapali w pułapkę. Poddawaliby go nieskończonym wywiadam i badaniom medycznym, może nawet zastosowaliby leczenie psychiatryczne. Pozbawiliby go pod maską życzliwej ochrony możliwości wyboru, zostałby więźniem spełniającym ich zachcianki. Co prawda zrobili go ludziami, ale nie stali się przez to jego właścicielami, panami życia i śmierci. Musi pozostać sobą.

Tylko jaka była jego osobowość? Z pewnością nie czysto ludzka, lecz człowieka i dwu innych stworzeń jednocześnie. Nawet jeśli chciałby, nie mógłby uciec od tych dwu mózgów, które razem z nim mieszkały w tej masie materii stanowiącej ich wspólne ciało. Gdy teraz się nad tym zastanawiał, wiedział, że nie chce uciec od swych bratnich intelektów. Byli mu bliscy, bardziej niż cokolwiek przedtem, niż coś, co mogłoby stać się mu bliskie w przyszłości. Byli przyjaciółmi. Nie do końca przyjaciółmi z wyboru, raczej współnikami związanymi przez

istnienie w jednym ciele. Choćby nie było między nimi żadnych więzów, żadnej bliskości, nie mógł zignorować jednego faktu: to jego działania sprowadziły na nich te wszystkie kłopoty i niebezpieczeństwa. Musiał zostać z nimi do końca.

Zastanawiał się, czy dziewczyna przyjedzie, czy też da znać na policję lub do szpitala. Próbował przekonać samego siebie, że nie mógłby mieć jej za złe ewentualnej zdrady. Mogła przypuszczać, że jest szalony, lub stwierdzić, że takie posunięcie byłoby dla jego dobra.

Nie zdziwiłby się, gdyby w którymś momencie zjawił się policyjny krążownik, tłum gliniarzy wysypałby się na ulicę i zaczął systematyczną penetrację terenu.

“Poszukiwaczu - zaczął po namyśle Zmiennik - możemy mieć kłopoty. Ta dziewczyna coś długo nie przyjeżdża.”

“Są jeszcze inne rozwiązania - Poszukiwacz był nieustraszony. - Poradzimy sobie, jeżeli nie przyjedzie.”

“Gdyby zjawiła się policja, musimy zamienić się w ciebie i uciekać. Ja bym ich nie przegonił, źle widzę w ciemnościach, mam poranione stopy i...”

“Przemienimy się, kiedy zechcesz - Poszukiwacz przerwał Zmiennikowi wyliczanie kłopotów. Był zadowolony, że znowu będzie mógł biec. - Tylko daj mi znać.”

W zalesionej dolinie zaczęły odzywać się szopy; musiało być już bardzo późno. Blake przemarzył już do szpiku kości i postanowił poczekać jeszcze tylko dziesięć minut. Pójdzie stąd, jeśli dziewczyna nie zjawi się za dziesięć minut, lecz nie mógł tego sprawdzić bez zegarka.

Skulił się drżący i biedny, samotny jak przybysz z obcej planety, odmieniec w świecie ludzi, stworzony na ich wzór. Czy było dla niego miejsce, niekoniecznie na tej planecie, lecz we

wszechświecie? Mówił Myślicielowi, że jest człowiekiem, z uporem zaliczał siebie do ludzkości. Jakie miał do tego prawo? Co czyniło go człowiekiem?

“Ostrożnie, chłopcze - powiedział Poszukiwacz. - Ostrożnie, ostrożnie.” Mijały długie minuty oczekiwania. Szopy umilkły, za to rozpoczęły się nocne śpiewy ptaków. Słuchałby ich z przyjemnością, gdyby nie rozprasza jąca i natrętna myśl o zagrożeniu.

Z głębi ulicy nadjechał wolno samochód i zatrzymał się przy krawężniku naprzeciwko budki telefonicznej. Rozległ się cichy dźwięk klaksonu.

Blake wychylił zza krzaków głowę i zaczął machać rękoma.

- Tutaj! -krzyknął.

Drzwi samochodu otworzyły się natychmiast, dziewczyna wysiadła i przeszła przez ulicę. Słabe światło z budki padło na jej twarz. Poznał, że to była Elaine. Te same rysy, czern pięknych włosów. W ręku niosła tobołek.

Minęła budkę i skierowała się w stronę krzaków. Zatrzymała się o kilka kroków przed nimi i z rozmachem rzuciła Blake'owi zawiniątko.

- Hej, łap!

Zgrabiałymi od zimna palcami Blake rozwiązał paczkę i ubrał się pośpiesznie. Dziewczyna spisała się na medal. Sandały były duże i mocne, a czarna wełniana szata miała kaptur.

Ubrany wyszedł z ukrycia i podszedł do Elaine.

- Dziękuję - powiedział - niemal zamarzłem na śmierć.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - usprawiedliwiała się. - Wiedziałam, że musi ci być bardzo zimno, ale zanim zebrałam te wszystkie rzeczy...

- Co zebrałaś?

- Wszystko, czego będziesz potrzebował.

- Nie rozumiem, co masz na myśli. - Zaskoczyła go ta niespodziewana opiekuńczość.

- Powiedziałeś, że musisz uciekać. Pomyślałam więc, że potrzebujesz nie tylko ubrań. Chodźmy do samochodu. Tam jest ciepło; włączyłam ogrzewanie.

- Nie. - Cofnął się odruchowo. - Nie mogę. Czy ty tego nie rozumiesz? Nie pozwolę, żebyś się bardziej w to angażowała. Nie zrozum mnie źle. Jestem ci wdzięczny, ale...

- Nonsens - przerwała mu. - To mój dobry uczynek na dzisiaj. - Zauważyła, że szczelniej owinął się szatą. - Słuchaj, widzę, że ci zimno. Idziemy do samochodu.

Wahał się jeszcze, choć perspektywa rozgrzania się kusiała coraz bardziej.

- No, chodź. Nie bądź uparty.

Podeszli razem do samochodu. Począł, aż usiadła za kierownicą, i też wsiadł. Poczł na zziębniętych nogach strumień ciepłego powietrza. Włączyła stacyjkę, wrzuciła bieg i ruszyli.

- Nie mogę nigdzie zaparkować - wyjaśniła. - Możliwe, że ktoś chciałby mnie sprawdzić. Dopóki jeżdżę, wszystko jest legalnie i nikt nie będzie nas niepokoił. Dokąd chciałbyś jechać?

Zakłopotany potrząsnął głową. Nawet nie pomyślał, gdzie mógłby pójść. Gdzie nie tyle chciał, lecz mógł iść bezpiecznie.

- Wyjedziemy z Waszyngtonu, dobrze?

- Tak, to dobry pomysł - zgodził się. To był przynajmniej jakiś początek.

- Czy możesz mi o tym opowiedzieć, Andrew?

- Nie wszystko. Gdybym powiedział prawdę, wyrzuciłabyś mnie z samochodu.

- Nie dramatyzuj - roześmiała się. - Bez względu na to, jaka jest

ta prawda. Pojadę obwodnicą i skieruję się na zachód.
Odpowiada ci to?

- W porządku. Tam znajdę sobie jakąś bezpieczną kryjówkę.

- Na jak długo? Pytam, jak długo zamierzasz się ukrywać?

- Jeszcze nie wiem.

- Wiesz, co o tym sędzę? Nie wierzę, że uda ci się ukryć na dłużej. Zaraz ktoś cię wypatrzy. Jeśli będziesz się przemieszczał, są większe szanse, że cię nie znajdą,

- Specjalnie się nad tym zastanawiałaś?

- Nie. Tak mi to przyszło do głowy, bo to całkiem logiczne. Ta szata, którą ci przyniosłam - to mojego ojca. Jest bardzo dumny ze swych wełnianych ubrań. Podobna jest do tego, co noszą wędrowni studenci.

- Wędrowni studenci?

- Och, znowu zapomniałam, że jeszcze nie wiesz o wszystkim, co się na Ziemi zmieniło. Właściwie oni nie są studentami, to tacy artyści-próżniacy. Włóczą się i niektórzy trochę malują, inni piszą powieści, jeszcze inni poezję - no wiesz, takie przeciętne dzieła. Nie jest ich zbyt wielu, ale wystarczająco dużo, by ich identyfikowano jako odrębną grupę. Nikt oczywiście nie zwraca na nich uwagi. Możesz założyć kaptur i nikt cię nie pozna, nawet nie będzie chciał spojrzeć. Ludzie już się do nich przyzwyczaili.

- Myślisz, że powinienem zostać wędrownym studentem?

- Znalazłam dla ciebie stary plecak - ciągnęła, ignorując pytanie. - Oni też takich używają. Mam kilka bloków rysunkowych, ołówki i parę książek, żebyś się nie nudził. Przyjrzyj się im bliżej. Tak na wszelki wypadek. Zostałeś pisarzem, czy ci się to podoba, czy nie. Przy sprzyjających warunkach czym prędzej napisz ze dwie strony. To na znak wiarygodności, gdyby ktoś zadawał ci zbyt wiele pytań.

Oparł się wygodnie i z wyraźną przyjemnością poddawał ciepłej atmosferze wnętrza wozu. Skręcili w ulicę prowadzącą na zachód. Przed nimi na tle nieba wznosiły się wysokie bloki mieszkaniowe.

- Otwórz schowek po prawej stronie - powiedziała Elaine. - Spodziewam się, że jesteś głodny. Przygotowałam kilka kanapek i termos z kawą.

Nie trzeba go było dłużej prosić. Z chęcią sięgnął po kanapkę.

- Byłem głodny - przyznał bez oporów.

- Tak właśnie myślałam.

Oddalali się od centrum, mijali przedmieścia. Domów było coraz mniej. Mijali wiejskie osiedla rozrzuconych pojedynczych zabudowań.

- Mogłam sprowadzić dla ciebie poduszkowiec - Elaine przerwała milczenie - może nawet samochód, ale obydwa są zarejestrowane i zaraz by cię wyśledzili. Zresztą, mówiłam ci, że na pieszych nikt nie zwraca specjalnej uwagi. Jako wędrowiec będziesz bezpieczniejszy.

- Elaine, dlaczego tak się o mnie troszczysz? - musiał o to zapytać. - Nie prosiłem o tak wiele.

- Sama nie wiem - odpowiedziała. - Myślę, że musiałeś już wiele przejść, to wszystko. Znaleziony w przestrzeni kosmicznej, zamknięty w szpitalu, poddawany obserwacjom i badaniom. Wysłany do zielonej wioski, by posmakować wolności, i zamknięty znowu.

- Starali się robić dla mnie wszystko, co było możliwe.

- Tak, wiem, ale to musiało być nieprzyjemne. Nie widzenie złego w tym, że uciekłeś przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Blake zjadł kanapki i napił się kawy.

- A ten wilk? - zapytała nagle. - Co o nim wiesz? Mówili, że tam był wilk.

- O ile ja wiem, tam nie było żadnego wilka - odpowiedział z pełnym przekonaniem, pocieszając się, że miał rację, bo Poszukiwacz nie był wilkiem.

- Ludzie byli bardzo poruszeni - ciągnęła. - Wezwali senatora. Musiał jechać na miejsce.

- Z mojego powodu czy tego wilka?

- Nie wiem. Kiedy wyjeżdżałam z domu, jeszcze go nie było. Dojechali do skrzyżowania. Dziewczyna zwolniła i zatrzymała się na poboczu.

- Dalej nie mogę cię zabrać - wyjaśniła. - Nie mogę wracać zbyt późno.

- Dziękuję. - Otworzył drzwi i zawahał się. - Bardzo dużo mi pomogłaś - dodał. - Mam nadzieję, że kiedyś...

- Chwileczkę - przypomniała sobie - tutaj jest twój plecak. Masz tam trochę pieniędzy...

- Nie, zaczekaj...

- To ty zaczekaj i posłuchaj mnie. Będziesz ich na pewno potrzebował. Nie jest tego dużo, ale na jakiś czas ci wystarczy. Nie martw się, to z moich własnych pieniędzy. Oddasz mi, kiedy będziesz mógł.

Schylił się, wziął plecak i założył go na ramię.

- Elaine - nie mógł opanować drżenia głosu - Elaine, nie wiem, co powiedzieć.

W samochodzie panował mrok. Zdawało mu się, że dziewczyna przysunęła się do niego. Poczł dotyk jej dłoni na ramieniu i jej miły zapach. Niemal automatycznie, pchany podświadomym pragnieniem wyciągnął ręce i przyciągnął ją do siebie. Odwrócił jej twarz i pocałował ją w usta. Elaine podniosła

dłoń i zimnymi delikatnymi palcami pieściła przez chwilę jego włosy.

Po chwili siedzieli już osobno. Dziewczyna patrzyła na niego spokojnie, prawie obojętnie.

- Nie pomogłabym ci - powiedziała - gdybym cię nie lubiła. Myślę, że nie robisz nic, czego miałbyś się wstydzić.

Nie odpowiedział.

- No, już, uciekaj - ponagliła go. - Uciekaj w noc. Odezwij się, kiedy będziesz mógł.

Zautomatyzowana restauracja stała na skrzyżowaniu przy rozwidleniu dróg. Prawie już świtało i czerwony znak budynku świecił różowo w pierwszych blaskach wschodzącego słońca.

Na tak obiecujący widok Blake odzyskał siły i ruszył zwałwiej w stronę wejścia. Nareszcie jest okazja, by odpocząć, ogrzać się i zaspokoić doskwierający coraz mocniej głód. Kanapki przygotowane przez Elaine pozwoliły mu wędrować całą noc bez przerwy, ale już wyczerpał zapasy i znowu był głodny. Przemęczy się do rana, a potem znajdzie jakiś stóg siana i prześpi się bezpiecznie kilka godzin. Właściwie nie wiedział, czy można jeszcze znaleźć na Ziemi tak proste rzeczy jak stogi siana. Możliwe, że gwałtowny wichur techniki i mechanizacji zmiotł je z powierzchni planety na zawsze.

Silne podmuchy zimnego wiatru z północy szarpały na nim ubranie i wywoływały dreszcze. Podciągnął połę szaty i otulił twarz kapturem. Paski od plecaka piły go w ramiona. Przesuwał je i zmieniał położenie, ale nic nie pomagało; całe ramiona były obolałe od długiego ucisku.

Przeszedł przez parking i wszedł po kilku schodkach do jadalni. W środku nie było nikogo. Tym lepiej dla niego. Wnętrze lśniło czystością, było jasno oświetlone i całkiem przytulne dla zmęczonych przygodnych gości.

- Witam! Jak pan się czuje? - odezwała się z zawodową uprzejmością Jadalnia. - Co mam dzisiaj podać? - kontynuował metaliczny głos chłodnej kelnerki,

Blake rozejrzał się dookoła i nikogo nie zobaczył. Uświadomił

sobie, że to zainstalowany robot. Przeszedł przez salę i usiadł przy jednym ze stolików.

- Proszę o ciasto, trochę bekonu i kawę.

Zdjął plecak z ramienia i postawił na podłodze przy nodze stołka.

- Wcześniej pan wyszedł, prawda? - zagadnęła Jadalnia. - Tylko proszę nie mówić, że szedł pan całą noc.

- Nie, nie całą noc. Po prostu wcześniej wstałem. - Blake wolał być ostrożny.

- Już nie widuje się zbyt często takich jak pan - zauważyła Jadalnia. - A ty co robisz, przyjacielu?

- Trochę piszę. No, powiedzmy, że próbuję pisać.

- Cóż, przynajmniej zobaczysz trochę świata. Nie to, co ja, uwiązana tu przez cały czas. Nigdy nie wychodzę popatrzeć sobie na coś. Tyle mojego, co się nagadam. Nie, żebym nie lubiła gadać - dodała Jadalnia pośpiesznie. - Przynajmniej się nie nudzę.

Wymieszane surowe ciasto popłynęło z otworu miksera do tortownicy, która przesunęła się na taśmie jeszcze dwukrotnie, wskutek czego narosły dwie nowe warstwy, potem ustawiła się na swej poprzedniej pozycji. Metalowe ramię zawieszone nad ekspresem do kawy wyprostowało się, przeniosło nad tortownicę i obniżyło się. Trzy kawałki bekonu znalazły się w cieście, mechaniczne ramię opuściło się ostrożnie, rozdzieliło je i ułożyło estetycznie na powierzchni.

- Czy podać kawę? - zapytała Jadalnia.

- Tak, proszę.

Metalowe ramię automatu wzięło filiżankę, sprawnymi, skoordynowanymi ruchami napełniło ją i postawiło przed Blakiem. Potem podało cukiernicę i łyżeczkę.

- Śmietanki? - zapytała Jadalnia.

- Nie, dziękuję - powiedział Blake.

- Słyszałam niezłą historię kilka dni temu - zaczęła pogawędkę Jadalnia. - Opowiedział mi ją taki jeden facet. Wygląda na to, że...
Drzwi do jadalni otworzyły się.

- Nie, nie! - zaczęła krzyczeć Jadalnia. - Idź stąd! Ile razy ci mówiłam, żebyś nie przychodził, kiedy mam klientów?

- Przyszedłem zobaczyć twojego gościa - brzmiała piskliwa odpowiedź.

Dźwięk wydawał się Blake'owi znajomy. Odwrócił się, by zobaczyć przybysza.

W drzwiach stał Krasnolud. Nad wydłużonym pyszczkiem świeciły jasne okrągłe oczy. Nad nimi miał wysoko sklepioną czaszkę, po obu zaś stronach głowy sterczały czerwone odstające uszy. Ubrany był w spodnie w zielono-różowe pasy.

- Żywię go - wyjaśniła Jadalnia. - Już się z tym pogodziłam.

Ludzie mówią, że one przynoszą szczęście, ale z nim mam same kłopoty. Jest impertynentem, nie szanuje mnie i ciągle mu żarty w głowie...

- To dlatego, że udajesz człowieka - odparł ze spokojem Krasnolud. - Zapominasz chyba, że nie jesteś człowiekiem, tylko maszyną zastępującą go w wykonywaniu prostych czynności. Czy za to mam cię szanować?

- Już nic więcej tu nie dostaniesz! - wykrzyknęła ze złością Jadalnia. - Od dzisiaj nie masz prawa nocować u mnie w zimne noce, nie masz w ogóle tu czego szukać. Mam ciebie po dziurki w nosie.

Krasnolud zignorował tyradę, przeszedł żywo przez salę, zatrzymał się na wprost Blake'a i przywitał go uprzejmym, kulturalnym ukłonem.

- Dzień dobry, szanowny panie. Mam nadzieję, że zastaję pana

w dobrym zdrowiu.

- W bardzo dobrym - odpowiedział Blake rozbawiony, próbując jednocześnie pozbyć się niedobrych przeczuć. - Czy miałby pan ochotę na śniadanie ze mną?

- Z przyjemnością. - Krasnolud przysunął sobie drugi stółek i usiadł obok Blake'a. Potrzebował trochę wysiłku, żeby się wdrapać na zydę, a kiedy siedział, nogi nie sięgały mu do podłogi, więc po prostu machał sobie nimi.

- Proszę pana - odezwał się grzecznie - zjadłbym to samo, co pan. Jest pan bardzo hojny i miły dla mnie. Jestem panu szalenie wdzięczny, bo już byłem bardzo głodny.

- Słyszałaś, co mówił mój przyjaciel - powiedział Blake do Jadalni. - Zamawia to samo, co ja.

- A kto za to zapłaci? - Jadalnia była nadal nieufna i uprzedzona.

- Ja, oczywiście - odpowiedział Blake.

Mechaniczne ramię odwróciło ciasto, przesunęło je i zaczęło nalewać drugą porcję.

- Regularne posiłki to rzadkość w moim życiu - poufale powiedział Krasnolud do Blake'a. - Większość ludzi daje mi odpadki, a głód nie wybiera. Nie rozumieją, że uczuciowe stworzenia potrzebują czasami prawdziwej opieki.

- Nie daj mu się nabrać - ostrzegła Blake'a Jadalnia. - Kup mu śniadanie, jeśli już musisz, ale potem pozbądź się go jak najszybciej. Jeśli się do ciebie przyczepi, to wszystko z ciebie wysie.

- Maszyny - odezwał się z godnością Krasnolud - nie mają żadnej wrażliwości, nie znają wzniosłych i subtelnych uczuć. Cierpienia tych, którym z założenia mają służyć, są im obojętne. Wiadomo, są bez serca.

- Ty też, ty pogański przybłedo - warczała rozgniewana Jadalnia. - Jesteś darmozjadem, nierobem i pasożytem. Niemiłosiernie wykorzystujesz ludzkość, jesteś niewdzięczny i nie znasz granic przyzwoitości.

Krasnolud obdarzył Blake'a spojrzeniem skrzywdzonej cnoty, uniósł ramiona i wyciągnął dłonie w teatralnym geście.

- Cóż, nie próbuj zaprzeczać. - Jadalnia była szczerze oburzona. - Wszystko, co powiedziałam, to szczerą prawdą.

Ramię automatu zebrało pierwszą porcję ciasta, wyłożyło na talerz, dodało bekonu, wcisnęło jakiś przycisk i z wielką zręcznością podstawiło talerz pod zsuwnię, skąd wypadły trzy krążki masła. Talerz z gotowym posiłkiem stanął przed Blakiem, a ramię sięgało pod ladę po słoiczek z syropem.

- Pysznie pachną - powiedział z zadowoleniem Krasnolud, pociągając przy tym żywo nosem.

- Nie wachaj! - strofowała go Jadalnia. - Poczekaj na swoją porcję.

Z daleka rozległo się słabe pojękiwanie. Krasnolud zeszytniał, uszy wyciągnęły mu się do przodu i zaczerwieniły.

- Znowu jadą! - zawyła Jadalnia. - Powinni zawiadamiać nas dużo wcześniej, a nie skradać się i tak zniecka się u nas pojawiać. Ty, włóczęgo, nic nie jesteś wart. Miałeś pilnować na zewnątrz, czy nie jadą. Nie na darmo cię tutaj żywię.

- To za wcześnie, żeby był już następny - uspokajał ją Krasnolud. - Spodziewałem się ich dzisiaj wieczorem, nie wcześniej. Prawo zobowiązało ich do używania różnych dróg. Nie mogą blokować ciągle tej samej drogi.

Wycie odezwało się znowu, ale już znacznie bliższe i głośniejsze - pojedynczy dźwięk zawodzenia dochodzący od strony wzgórz.

- Co to jest? - Blake wciąż nie wiedział, co ich tak poruszyło.

- To krążownik - wyjaśnił Krasnolud. - Jeden z tych wielkich frachtowców transoceanicznych. Wiezie jakiś ładunek prosto z Europy czy może z Afryki. Przybił do brzegu godzinę temu i teraz jedzie autostradą w naszym kierunku.

- Czy to znaczy, że on się nie zatrzymuje na brzegu?

- Po co miałyby się zatrzymywać? - zdziwił się Krasnolud. - Porusza się tak samo jak samochody, na poduszkach odrzutowych. Dzięki temu bez przeszkód porusza się i po wodzie, i po lądzie. Kiedy dotrze do brzegu, bez wahania jedzie dalej.

Najpierw rozległ się przykry pisk przesuwania ciężkiego metalowego ciała po stalowej powierzchni. Blake zobaczył, jak z otworów okiennych wysuwają się wielkie metalowe żaluzje i zasłaniają okna od zewnątrz. Potem ze ścian wysunęły się masywne haki i zablokowały szczelnie drzwi.

Wycie krążownika wypełniało salę, grzmoty dochodzące z oddali nasuwały myśl o gigantycznej burzy szalejącej nad ziemią.

- Uszczelnić wszystkie otwory! - Jadalnia próbowała przekrzyczeć hałas. - A wy połóżcie się lepiej na podłodze. Wygląda na to, że ten jest strasznie wielki.

Budynek drżał, ogłuszający hałas wypełnił każdy kąt. Krasnolud skrył się pod stołek, skulił się i złapał rękami za metalową nogę zydła. Miał otwarte usta i widocznie coś krzyczał do Blake'a ale jego głos ginął w dochodzącym z zewnątrz ryku krążownika.

Blake poszedł za jego przykładem. Leżał na podłodze i bezskutecznie próbował wczepić palce w jej twardą plastikową powierzchnię.

Jadalnia drżała w posadach, hałas wzmógł się i stał się nieznośny. Blake czuł, że ślizga się po gładkiej powierzchni na

wszystkie strony.

Wycie powoli traciło napięcie i cichło, zamieniając się w słabe, rozproszone przeciągłe pojękiwania, Blake podniósł się z podłogi. Ze stolika zniknęła jego filiżanka, została tylko kałuża rozlanej kawy. Kawałki ciasta i bekonu leżały porozrzucane po podłodze pomiędzy szczątkami rozbitego talerza. Kawałek ciasta wylądował na stołku. Danie dla Krasnoluda piekło się nadal w obłoku dymu i wydzielało zapach spalenizny.

- Zaraz to posprzątam - powiedziała Jadalnia. Niezastąpione ramię uchwyciło łopatkę, zebrало spalone ciasto z brytfanny i wyrzuciło je do pojemnika na odpadki.

Blake zajrzał za ladę, gdzie cała podłoga pokryta była szczątkami potłuczonej zastawy.

- Tak, popatrz na to! - piszczała rozgniewana Jadalnia. - Musi być na nich jakieś prawo. Dam znać szefowi. On już się tym zajmie i dopilnuje, żeby zapłacili za szkody. Zawsze tak robi. Wy też moglibyście domagać się odszkodowania, powiedzmy za niszczenie waszej psychiki. Ma odpowiednie formularze, jeżeli byście chcieli.

Blake pokręcił przecząco głową.

- A jak sobie radzą kierowcy, kiedy spotykają takiego potwora na drodze? - zapytał.

- Widział pan te bunkry wzdłuż drogi? Te wysokie, trzymetrowe, z dojazdami do każdego z nich?

- Tak, widziałem - potwierdził Blake.

- Krążowniki muszą po wyjściu z wody na ląd dawać sygnały klaksonami. Przez cały czas, kiedy jadą drogami publicznymi. Kierowcy słyszą ostrzeżenia syreny i kierują się jak najszybciej do najbliższego bunkra, żeby przeczekać najazd.

Mikser do ciasta przesunął się. Otworzył się kurek i masa

wylała się do brytfanny.

- Jak to możliwe, proszę pana - odezwała się po chwili Jadalnia
- żeby nie wiedział pan o krążownikach i bunkrach? Czyżby
wracał pan z głuszy leśnej?

- Nie twój interes - wyręczył Blake'a Krasnolud. - Lepiej
pośpiesz się z naszym śniadaniem.

.. 23 ..

- Pójdę z tobą kawałek. - Krasnolud zachowywał się jak stary kompan Blake'a.

Poranne słońce było jeszcze nisko, za ich plecami, więc idąc rzucali wydłużone cienie. Blake zauważył, że cała nawierzchnia drogi była zniszczona i pogruchotana.

- Chyba niezbyt uważnie trzymają się drogi - powiedział.

- Nie muszą. Nie mają kół. Nie potrzebują gładkiej powierzchni, bo nie stykają się z nią bezpośrednio - tłumaczył mu Krasnolud. - Wszystkie samochody jeżdżą na poduszkach powietrznych. Drogi służą tylko jako naturalna siatka mapy pokazująca kierunki. Muszą się ich trzymać, by nie niszczyć prywatnych gruntów. Nowoczesne drogi buduje się bardzo prosto. Ustawia się rzędy palików i wiadomo, gdzie jest autostrada.

Szli niespiesznie, rozglądając się po okolicy. Na lewo z kępy krzaków poderwała się gromada kosów, trzepocząc w górze błękitnymi skrzydłami.

- Zbierają się do odlotu - powiedział Krasnolud. - Kosy to zuchwałe ptaki, nie to co skowronki czy drozdy.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Żyjemy z nimi - odparł Krasnolud. - Dzięki temu ich rozumiem. Jesteśmy tak blisko, że z niektórymi możemy niemal rozmawiać. Z ptakami jednak nie. Ptaki i ryby są głupie. Ale szopy, lisy, piżmowce i norki są naprawdę jak ludzie.

- Rozumiem więc, że mieszkasz w lesie.

- W lesie i na polach. Ochrona środowiska to ważny dla nas

problem. Dostosowujemy się do warunków, nic nie zmieniamy w przyrodzie, szanujemy każdą formę życia. W przyrodzie nie mamy wrogów.

Blake próbował przypomnieć sobie, co usłyszał o Krasnoludach od Daniela. To dziwny rodzaj małych istot, które polubiły Ziemię nie z powodu zamieszkującej ją ludzkości, ale dla samej planety. Blake przypuszczał, że odnaleźli w nielicznych ocalałych dzikich mieszkańcach Ziemi prostotę i to im się spodobało. Nie poddając się naciskom, prowadzili niezależne życie, a z drugiej strony zgadzali się na los żebraków, którzy za najprostszą pomoc wiązali się niepisanym przymierzem ze swymi dobroczyńcami.

- Kilka dni temu spotkałem jednego z twoich ludzi - zagadnął Blake po chwili milczenia. - Wybacz, ale nie jestem pewien. Mógłbyś mi...

- O, nie - przerwał mu Krasnolud. - To był jeden z nas. On ciebie wypatrzył.

- On mnie wypatrzył? - zdziwił się Blake.

- Tak, sam tak powiedział. On zajmuje się obserwacjami. Mówił, że byłeś więcej niż jeden i miałeś kłopoty. Więc rozesłał wiadomość, że mamy opiekować się tobą.

- Wygląda na to, że nieźle się spisaliście. Dostyc szybko mnie znalazłeś.

- Kiedy już się do czegoś zabieramy - zaczął z dumą Krasnolud - zawsze robimy to doskonale.

- No i jak? Co będzie ze mną?

- Nie jestem jeszcze całkowicie pewien - odpowiedział Krasnolud. - Mamy cię obserwować. Możesz być spokojny i liczyć na nas.

- Dziękuję ci. Bardzo dziękuję wam wszystkim.

Tak, tylko tego potrzebował, żeby te szalone karzełki go śledziły. Szli jakiś czas w milczeniu. W końcu Blake zaczął ostrożnie:

- Ten, który mnie spotkał, powiedział ci, żebyś mnie obserwował...

- Nie tylko mnie jednemu... - sprostował Krasnolud.

- Tak, wiem. Powiedział wam wszystkim - poprawił się Blake. - Mógłbyś mi wytłumaczyć, jak on to zrobił? Nie, to chyba głupie pytanie. Przecież jest poczta i telefony.

- Prędzej umrzemy, niż mielibyśmy używać takich wynalazków. To wbrew naszym zasadom - mówił Krasnolud wyraźnie poruszony i zdegustowany. - Nie potrzebujemy tych martwych urządzeń. Po prostu przekazujemy wiadomość dalej.

- Telepatycznie, tak?

- Cóż, prawdę mówiąc, nie wiem, czy mamy takie zdolności. Jeżeli chodzi ci o przekazywanie słów, to na pewno tego nie umiemy. To trudno wytłumaczyć, ale jesteśmy w pewnym sensie jednością.

- Wyobrażam sobie, że to rodzaj plemiennej psychiki wspólnotowej.

- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć - Krasnolud był szczery - ale jeśli pasuje ci takie wytłumaczenie, to nie stanie się nic złego, gdy na nim poprzestaniemy.

- Spodziewam się, że jest wielu ludzi, którymi się opiekujecie - Blake zmienił temat. Myślał, że to całkiem podobne do tej bandy ciekawskich ludzików, żyjących sprawami innych.

- Nie, nie zajmujemy się innymi ludźmi - brzmiała zaskakująca odpowiedź Krasnoluda. - Mówię o chwili obecnej. Wybraliśmy ciebie, bo powiedział, że nie byłeś jeden...

- A co to ma do rzeczy? - Blake był już trochę zniecierpliwiony.

- O, nie rozumiesz? W tym cały problem, że nie jesteś sam. Czy myślisz, że często spotyka się stworzenie, które stanowi więcej niż jedność? Skoro o tym mowa, mógłbyś mi powiedzieć, ilu was jest?

- Jestem w trzech postaciach - odpowiedział Blake. Krasnolud podskoczył i wydał okrzyk triumfu.

- Tak myślałem - wołał w podnieceniu. - Założyłem się ze sobą, że jest was trzech. Jeden z was jest ciepły i kudłaty, ale ma okropny charakter. Nie mylę się, prawda?

- Tak, niezłe spostrzeżenie.

- Ale ten drugi zupełnie mnie zbija z tropu - ciągnął Krasnolud.

- Witaj w naszym klubie - powiedział ironicznie Blake. - Mnie również on zbija z tropu.

Blake wszedł na szczyt długim, stromym zboczem i zobaczył dolinę z długą na miłe równiną, a dalej następne wzniesienie. Maszyna stała w dole, wypełniając swym cielskiem niemal pół doliny. Czarna masa, wielka i wybrzuszona, przypominała swym niezwykłym widokiem monstrualnego robaka, na środku wygiętego w pałąk i przygniecionego do ziemi na bokach.

Blake aż się zatrzymał, zaskoczony niecodziennym widokiem. Nigdy nie widział krążownika, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że ta góra żelastwa w dole to niszczycielski krążownik, rujnujący wszystko na swej drodze.

Samochody mijaly Blake'a, uderzając go podmuchami powietrza wydobywającego się z ich buczących urządzeń odrzutowych.

Krasnolud opuścił go przed godziną i teraz Blake szedł sam, szukając spokojnej kryjówki, by móc się wreszcie wyspać. Jak dotąd po obu stronach drogi rozciągały się puste pola. Ogołoczone po zbiorach, leżały przykryte złotymi i brązowymi barwami jesieni. Domostwa stały nie bliżej niż milę od drogi. Blake zastanawiał się, czy to z powodu uczęszczających po drogach krążowników i innych ciężkich pojazdów, czy też jakieś dodatkowe, nie znane mu względy kazały ludziom odsuwać się tak daleko?

Na południowym zachodzie majaczyły w oddali błyszczące wieże - najpewniej kompleks wysokich bloków mieszkaniowych, niezbyt oddalonych od Waszyngtonu i dających jednocześnie komfort życia na wsi.

Blake zszedł poboczem drogi w dół i zbliżył się do krążownika. Maszyna zjechała na jeden z pasów autostrady i zatrzymała się, przysiadając na krótkich, grubych nóżkach dwa metry nad ziemią. Z bliska pojazd wydawał się bardziej okazały niż z dużej odległości. Był wyższy od Blake'a o sześć metrów.

Z przodu, na schodkach prowadzących do kabiny siedział mężczyzna. Nogi trzymał wyprostowane przed sobą. Ubrany był w tunikę podciągniętą do pasa, a na głowie miał zabrudzoną smarem czapkę mechanika, zsuniętą na oczy tak, by dawała trochę cienia. Blake przystanął i przez chwilę przyglądał się nieznanemu.

- Dzień dobry, przyjacielu - powiedział. - Widać, że masz jakieś kłopoty.

- Witaj, bracie. - Kierowca przyjrzał mu się i dzięki czarnej szacie i plecakowi wziął go za wędrownego studenta. - Nie mylisz się. Za bardzo go forsowałem i zagrzał się. Szczęście, że nie zwałem się z nim w dół. - Splunął ze złością na ziemię. - Teraz muszę tu siedzieć i czekać. Połączyłem się krótkofalówką z punktem napraw. Przyślą ekipę i części zapasowe, ale to trochę potrwa.

- Sam pan jest?

- Nie, jedziemy we trzech. Oni są tam, odpoczywają. - Wskazał kciukiem do góry na zainstalowane obok kabiny pomieszczenia.

- A najgorsze z tego wszystkiego - podjął po chwili milczenia mężczyzna - że jesteśmy wpisani w rozkład przyjazdów. Morze przebyliśmy bez przeszkód. Spokojne wody, nie natrafiliśmy na przybrzeżną mgłę. Ale zanim dotrzemy do Chicago, będzie kilka godzin spóźnienia. Mogą to uznać za nadgodziny, tylko kto, do diabła, chce pracować dłużej?

- Jechaliście do Chicago?

- Tak, tym razem. Nigdy dwa razy do tego samego celu, zawsze inne miasto. - Poprawił daszek czapki. - Ciągle myślę o Marii i dzieciakach.

- To pana rodzina? Na pewno pan się z nimi skontaktuje i powie, co się stało.

- Już próbowałem, ale nikogo nie ma w domu. W końcu poprosiłem centralę, żeby znalazła kogoś, kto mógłby pojechać do nich i powiedzieć, że nie wrócę. Przynajmniej nieprędko. Wie pan, zawsze, kiedy jadę tędy, wiedzą, o której wracam, wychodzą na drogę i machają mi. Dzieciaki strasznie się cieszą kiedy widzą, jak ich stary prowadzi to monstrum.

- Musicie tu niedaleko mieszkać.

- Takie małe miasteczko - odparł mechanik. - Osiedle nad wodą jakieś sto mil stąd, stare i położone daleko od głównych tras. Och, od czasu do czasu odnawiają front jakiegoś domu na głównej ulicy albo ktoś przebudowuje dom, ale i tak miasteczko pozostało nie zmienione przez wieki. U nas nikt nie buduje tych wielkich kompleksów mieszkaniowych, jak w innych miastach. Nie ma nic nowego, dobre miejsce do życia, spokojne. Nikt nie zmusza nas do postępu, nie mamy centrum handlowego, nikt nie chce się nadmiernie wzbogacić. Kto chce się wzbogacić i żyć nowocześnie, po prostu stamtąd wyjeżdża. Trochę polujemy, wędkujemy. - Spojrzał uważnie na Blake'a. - Myślę, że wiesz, co to za miasteczko.

Blake skinął twierdząco głową.

- Dobre miejsce na wychowanie dzieciaków - dodał mechanik.

Mężczyzna podniósł z ziemi suchą łodygę i zaczął delikatnie kłuć nią w piasek.

- Miasteczko nazywa się Willow Grove - dokończył. - Słyszałeś o nim?

- Nie - odpowiedział Blake. - Nie przypominam sobie, żeby m słyszał tę...

Nagle uświadomił sobie, że zna tę nazwę. Widział ją na własne oczy. Wiadomość, którą odebrał wieczorem po powrocie od senatora, wyraźnie mówiła o tym miasteczku.

- A jednak o nim słyszałeś - stwierdził kierowca.

- Tak, przypominam sobie, że ktoś wspominał mi o nim.

- Dobrze miejsce do życia - powtórzył kierowca.

Co mówiła tamta wiadomość? Miał skontaktować się z kimś z Willow Grove, by dowiedzieć się czegoś interesującego. W liście było nazwisko człowieka, którego miał spotkać, ale pomimo wysiłków nie mógł go sobie przypomnieć.

- No, muszę się zbierać - powiedział. - Mam nadzieję, że ekipa naprawcza zaraz się pojawi.

Kierowca splunął z niesmakiem.

- O, na pewno się pokażą. Zwłaszcza jeśli są przygotowani. Blake zebrał się do drogi i skierował na następne wzgórze.

Widział, że na szczycie rosły drzewa, linia jesiennych kolorów odbijała się na tle nieba na horyzoncie. W końcu jakaś odmiana po jednostajnych barwach pól. Liczył, że wśród drzew znajdzie schronienie i nareszcie wypocznie.

Blake próbował przemyśleć wszystko od początku, przywołać z pamięci wydarzenia nocy, które ciągle wydawały mu się nierealnym snem. Uważał je prawie za ciąg incydentów, które zdarzyły się nie jemu, lecz jakiejś obcej osobie.

Pościg za nim musiał trwać nadal, ale chwilowo mógł pogratulować sobie sukcesu - wymknął się z rąk władzy. Do tej pory Daniels z pewnością zrozumiał, co naprawdę się wydarzyło. Teraz szukają i wilka, i jego.

Doszedł do szczytu i zobaczył przed sobą, na zboczach po

drugiej stronie, lasy. Nie kępkę drzew, lecz całe połacie ziemi porośnięte lasami. Za nimi, tam gdzie dolina przechodziła w płaską równinę, były pola, a dalej, na następnym wzgórzu, znowu lasy. Zrozumiał, że zbocza są zbyt strome i nie nadają się pod uprawę. Takie pola w dolinach, przedzielane zalesionymi pagórkami, mogą się ciągnąć przez wiele mil.

Zaczął schodzić ze stoku i spostrzegł na skraju lasu jakiś ruch. Zaskoczony i podejrzliwy zaczął przyglądać się uważniej. Wiedział, że to mógł być ptak przeskakujący po niskich gałęziach krzaków albo jakieś zwierzę. Las był cichy, szumiały liście poruszane powiewem słabego wiatru.

Przechodził na drugą stronę drogi, kiedy coś zasyczało na niego. Przystanął przestraszony, obrócił się i zaczął lustrować uważnie krzaki i drzewa.

- Tutaj! - wyszeptał ktoś wysokim, piskliwym głosem. Blake spojrział w kierunku, skąd rozległ się szept, i ujrzał Krasnoluda ubranego w ciemnozielone spodnie. Widocznie stanowiły one kamuflaż w tych gęstych lasach. Ludzik miał, jak pozostałe Krasnoludy, czarne futerko i pewnie był głodny. Blake zmartwił się na myśl, że nie ma nic do jedzenia.

Szybko zszedł z drogi i wszedł do lasu przez szczelinę między drzewami. Krasnolud ledwo się odróżniał od zieleni roślinności. Wreszcie dotarł do niego.

- Szukałem ciebie - zaczął przyjaźnie Krasnolud. - Wiem, że jesteś zmęczony i szukasz miejsca na odpoczynek.

- Tak, to prawda. Do tej pory mijałem tylko puste pola.

- W takim razie witaj w moim domu. - Czuj się moim gościem, o ile nie masz nic przeciwko przebywaniu z biednym zwierzątkiem, któremu dałem schronienie.

- Ależ nie - zapewnił go Blake. - A co to za zwierzę?

- Szop, bezlitośnie goniony przez sforę psów, trochę pokaleczony. Ale zdołał uciec. W tych lasach ludzie uprawiają pewien popularny sport. Może słyszałeś, to się nazywa polowanie na szopy.

- Tak, słyszałem o tym.

Teraz sobie przypomniał, bo Krasnolud mu zwrócił na to uwagę. Przedtem nie zdawał sobie sprawy ze swojej wiedzy.

Pomyślał, że to już kolejny raz słowa poruszają jego pamięć i przywołują wspomnienia, powodują, że kawałki jego ludzkiej wiedzy gładko trafiają na swoje miejsce. Był świadom tego wspomnienia, które stało się dla niego żywe i malownicze - noc rozświetlona błyskami latarni, oczekiwanie w napięciu na szczycie wzgórza, strzelba w zaciśniętych dłoniach, wypuszczanie psów na poszukiwanie tropów i żywsze szczekanie ogarów, które wyczuły zwierzynę. Po chwili cała dolina i lasy rozbrzmiewają zajadłym szczekaniem. Znowu poczuł specyficzny słodkawy zapach zmarzniętych opadłych liści, znowu zobaczył nagie gałęzie w świetle księżyca. Udziela się podniecenie polowania. Rusza się wtedy w dół z boczka, niemal na złamanie karku, by nie stracić kontaktu z psami.

- Próbowałem mu wytłumaczyć - powiedział Krasnolud - że jeśli przyjdiesz, to jako przyjaciel. Nie jestem pewien, czy mnie zrozumiał. Szopy to niezbyt bystre zwierzęta, a on jeszcze jest w szoku.

- Postaram się mu nie przeszkadzać - zapewnił go Blake. - Nie będę robił żadnych gwałtownych ruchów. Czy jest tam dosyć miejsca dla nas dwóch?

- Oczywiście, mieszkam w pniu spróchniałego drzewa. Tam jest wiele miejsca.

Wielki Boże - pomyślał Blake. Czy to wszystko prawda? Stał w

środku lasu i rozmawiał z kimś wyrwanym z ilustracji do bajek. Kimś, kto zaprosił go do dziupli w drzewie. I miał do tego spędzić noc z szopem.

Skąd tak dokładnie pamiętał polowanie na szopy? Czy sam kiedyś uczestniczył w takim polowaniu? Wydawało mu się to niemożliwe. Wiedział, kim jest - chemicznie wytworzonym człowiekiem, maszyną zbudowaną tylko w jednym celu. Więc jest mało prawdopodobne, by mógł kiedyś polować.

- Chodź ze mną - powiedział Krasnolud. - Zaprowadzę cię do siebie.

Blake poszedł za Krasnoludem. Nieodparcie powracała do niego myśl, że oto wstępuje w zaczarowany świat szalonego malarza. Wokół zwisały z gałęzi podobne do klejnotów liście w kolorach złota i czerwieni, rosły młode roślinki, krzaki, drzewka - całość jak piękny obraz jesiennego lasu. To budziło nowe wspomnienia, obrazy wielu miejsc podobnych do tego. Nie znał ich czasu i nie potrafił ich dokładnie umiejscowić. Wystarczył mu urok zapamiętanych lasów w ich najpiękniejszej, jesienniej powłoce, na krótko przed opadaniem i gniciem uschniętych liści.

Szli ledwie widoczną ścieżką. Tylko doświadczone oczy mogły wypatrzyć ją wśród zieleni.

- Jest bardzo pięknie - odezwał się Krasnolud. - Najbardziej lubię jesień. Na naszej rodzimej planecie nie było takiej pory roku.

- Wiesz, jak było na waszej planecie?

- Oczywiście. Stare opowieści przekazuje się z pokolenia na pokolenie, to nasze dziedzictwo. Myślę, że z czasem zapomnimy o tym i zaczniemy uważać Ziemię za naszą planetę. Na razie musimy jednak znać dobrze obie planety.

Doszli do potężnego drzewa, dębu o średnicy około trzech

metrów, stanęli przy chropowatym, popękany pniu, powykręcanym i porośniętym koloniami posożytów nadrzewnych, srebrnych i brązowych na tle ciemnej kory. Ziemia porośnięta była gęsto paprociami. Krasnolud rozsunął je zapraszającym gestem.

- To tutaj - powiedział. - Przepraszam cię, ale będziesz musiał wejść do mnie na czworakach. To nie jest miejsce przystosowane do ludzi.

Blake poszedł za jego radą. Paprocie łaskotały go po twarzy i szyi, ale po chwili znalazł się w przytulnym ciemnym pomieszczeniu, pachnącym starym drewnem. Z jakiejś szczeliny w górze wpadał słaby promyk światła.

Blake ostrożnie obrócił się i usiadł.

- Za chwilę przyzwyczaisz się do tych ciemności i będziesz widział całkiem nieźle - pocieszył go Krasnolud.

- Już teraz trochę widzę. To światło wpada z góry.

- To dziury po odłamanych gałęziach - wyjaśnił Krasnólud. - Drzewo umiera, jest już tylko muszlą z kory. Kiedyś, już dawno temu, zapaliło się podczas pożaru szalejącego w lesie. Od tamtej pory zaczęło próchnieć. Jeżeli go nie powali silny wiatr, może stać jeszcze wiele lat. Na razie służy nam za mieszkanie. Wyżej wiewiórki mają dziuple, niektóre ptaki mają tutaj swoje gniazda, choć coraz mniej. Przez te lata mieszkało tu wiele zwierząt; to daje poczucie przynależności.

Blake przyzwyczał się do panującego mroku i zaczął oglądać wewnątrz kryjówki. Powierzchnia była gładka, wszystkie luźne spróchniałe odłamki zostały usunięte. Wydrążony środek nad jego głową wyglądał jak tunel z pobłyskującymi na końcu światłami.

- Nikt ci nie będzie przeszkadzał - powiedział Krasnolud. - Ze

mną są jeszcze dwie osoby. Powiedzmy, że żony, bo chyba to tak brzmi w ludzkiej terminologii. One są raczej nieśmiałe w kontaktach z ludźmi. Mamy jeszcze dzieci.

- Przepraszam - powiedział Blake. - Nie sądziłem, że...

- Nie ma za co. Żony zbierają w lesie korzenie i orzechy, a dzieci rzadko tu przychodzą. Mają wielu przyjaciół w lesie i z nimi spędzają większość czasu.

Blake spostrzegł, że wewnątrz jest puste.

- Nie mamy mebli. - Krasnolud zrozumiał jego spojrzenie. - Nie mamy rzeczy materialnych. Nigdy ich nie potrzebowaliśmy, teraz też ich nie potrzebujemy. Mamy trochę jedzenia, orzechy, nasiona, korzonki zebrane na zimę. Myślę, że nie pogardzasz nami z powodu tej nieprzezorności.

Blake potrząsnął głową, częściowo w odpowiedzi, częściowo ze zdziwienia. Coś poruszyło się cicho w ciemnym kącie mieszkania Krasnoludów i Blake obrócił się w tę stronę. Ujrzał kudłatą, osłoniętą futrem twarz z parą świecących oczu, wpatrzonych w niego.

- Nasz przyjaciel - powiedział gospodarz. - Chyba się ciebie nie boi.

- Nic mu złego nie zrobię - zapewnił Blake trochę sztywno.

- Jesteś głodny? - zainteresował się Krasnolud. - Mamy...

- Nie, dziękuję. Jadłem dziś rano z jednym z was.

- To on mi powiedział, że przyjdiesz. - Krasnolud ze zrozumieniem pokiwał głową. - Dlatego na ciebie czekałem. On nie mógł cię zaprosić. Ma tylko norę, która wcale nie nadaje się dla ludzi.

Krasnolud odwrócił się z wyraźnym zamiarem opuszczenia mieszkania.

- Nie wiem, jak ci mam dziękować - powiedział Blake.

- Już nam podziękowałeś - zauważył ze spokojem gospodarz. - Zaakceptowałeś nas, przyjąłeś pomoc od nas. To jest najważniejsze, wierz mi. Zwykle to my potrzebujemy pomocy od ludzi. To dla nas bardzo cenne, że możemy choć w części się wam zrewanżować.

Blake obejrzał się na szopa. Nadal wpatrywał się w niego swymi jasnymi, świecącymi oczami. Kiedy ponownie się obrócił, Krasnoluda już nie było.

Blake sięgnął po plecak, chcąc sprawdzić jego zawartość.

Znalazł cienki puszysty koc, jakiego nigdy nie widział, o dziwnym metalicznym połysku. Oprócz tego nóż w pochwie, składaną siekierę, kilka naczyń do gotowania, zapalniczkę i pojemniczki z zapasowym paliwem, złożoną mapę, latarkę elektryczną...

Mapa!

Rozłożył ją, zapalił latarkę i pochylił się, by móc odczytać nazwy miejscowości.

Kierowca powiedział, że Willow Grove jest jakieś sto mil stąd. To było miejsce, do którego zmierzał. W końcu to jakiś cel na tym świecie, przeznaczenie w sytuacji bez przyszłości. Miasto na mapie i osoba o nieznanym imieniu, ktoś posiadający cenną dla niego wiadomość.

Blake rozłożył koc, a resztę rzeczy schował z powrotem do plecaka.

Zobaczył, że szop przysunął się do niego, widocznie zwabiony rozmaitością jego skarbów z plecaka.

Blake przybliżył się do ściany i położył, otulając szczelnie kocem, wtykając jego brzegi pod siebie. Wydawało mu się, że koc przylega do niego tak, jakby miał w sobie magnes. Mimo że był cienki, grzał zaskakująco mocno. Podłoga była miękka i bez

dziur. Blake wyciągnął rękę i nabrał w dłoń substancji, na której leżał. Przesypał ją wolno przez palce, rozróżniając spróchniałe drewno, które latami spadało z tunelu wysokiego pnia, tworząc na ziemi miękkie legowisko.

Oczy mu się zamykały i czuł nadciągający sen. Jego świadomość jakby zanurzała się w szczelinę, w której już coś było - jego dwie pozostałe osobowości. Otoczyły go i stali się jednym. Było to jak powrót do domu, jak spotkanie z przyjaciółmi, zbyt długo oczekiwane. Nie mówili nic, słowa nie były im potrzebne. Przywitali się z radością i ze zrozumieniem, stali się jednym istnieniem. Andrew Blake przestał istnieć, nie był nawet człowiekiem, ale istotą bez imienia, kimś większym niż Andrew Blake czy jakikolwiek inny człowiek.

Do ich zjednoczenia, radosnego i przyjemnego powitania wdarła się natrętna, męcząca myśl. Zmagał się z nimi i mógł się uwolnić, stać znowu sobą, tożsamym bytem - już nie Andrew Blakiem, lecz Zmiennikiem.

“Poszukiwaczu, kiedy się obudzisz, będzie zimniej niż teraz. Czy możesz zamienić się ze mną na noc? Biegasz dużo szybciej i potrafisz znaleźć drogę w ciemnościach...”

“Tak, zamienię się. Tylko że masz ubrania i plecak. Znowu będziesz nago i...”

“Możesz je nieść. Masz ramiona i dłonie, pamiętasz? Ciągłe zapominasz, że masz ręce.”

“W porządku - zniecierpliwiał się Poszukiwacz. - Już dobrze, wezmę to.”

“Willow Grove” - powiedział Zmiennik.

“Tak, wiem. Czytałem mapę razem z tobą.”

Znowu zaczęła ogarniać go senność, ale poczuł delikatny dotyk na ramieniu i otworzył oczy. Zobaczył, że szop przeczołgał się i

leży teraz koło niego.

Podniósł brzeg koca, okrył kudłate ciało zwierzęcia i spokojnie zasnął.

Zmiennik mówił, że będzie zimniej, i rzeczywiście było zimno, ale i tak za gorąco na bieganie. Za gorąco, by mógł pozostać tu dłużej. Poszukiwacz dotarł na szczyt i z radością przywitał zimne podmuchy ostrego północnego wiatru.

Zatrzymał się i stał na kamieniach, wystawiony na podmuchy wiatru. Z jakichś, geologicznych zapewne, przyczyn ten jedyny grzbiet pozostał nagi. Tym dziwniejsze, że wszystkie pagórki wokół porastał gęsty, wysoki las.

Niebo było bezchmurne i świeciły gwiazdy, ale Poszukiwacz myślał, że jest ich mniej niż na jego rodzimej planecie. Można stać na tym wzniesionym skrawku ziemi i przyjmować obrazy z gwiazd, chociaż już wiadomo było, że dla Myśliciela to nie są tylko obrazy. On uważał je za kalejdoskop życia innych ras i kultur, za przekaz nagich faktów, surowych danych, z których można będzie któregoś dnia wydedukować prawdę wszechświata.

Poszukiwacz zadrżał na myśl, że jego mózg i zmysły mogłyby dotrzeć do odległych o lata świetlne istot i odebrać wrażenia ich zmysłów, myśli ich mózgów. Drżał, choć wiedział, że gdyby nawet tak zrobił, Myśliciel pozostałby niewzruszony. Nie drgnąłby nawet, choćby miał mięśnie i nerwy zdolne reagować na wzruszenia. Po prostu dlatego, że nie było nic, absolutnie nic, co mogłoby zaskoczyć Myśliciela. Dla niego świat nie był tajemniczy, życie uważał za masę danych i faktów, praw i zasad, którymi mógł karmić swój umysł i wykorzystywać je siłą swej logiki.

- Ale dla mnie - pomyślał poszukiwacz - to wszystko jest zagadką. Dla mnie nie muszą istnieć przyczyny, nie mam obowiązku uciekać się do logiki, docierać do lodowatego serca bezdusznych faktów.

Stał na ostrej krawędzi szczytu, ogon opuścił prawie do ziemi i wystawiał swój srebrny pysk na podmuchy silnego wiatru. Jemu wystarczyło, że świat był pełen niezwykłości i piękna. Nigdy nie prosił o więcej. Wiedział, że miał jedną nadzieję, iż świat nie straci w jego oczach swego blasku, piękna i cudowności.

A może już rozpoczął się proces przytępienia jego wrażliwości? Wbrew swej woli znalazł się w sytuacji, w której miał więcej możliwości poszukiwania tajemnic i nowych cudów, ale czy piękno i zaciekawienie nie słabły na myśl, że jest tylko poszukiwaczem danych dla logicznego mózgu Myśliciela?

Próbował przebadać swój umysł. Stwierdził z radością, że nadal jest w nim miejsce na zachwyty i mistycyzm. Tutaj, na owiewanym wiatrami szczycie, pod kopułą rozgwieźdzonego nieba, z obszarami szumiących lasów w dole, wśród drzew rozmawiających z ciemnościami, w morzu obcych zapachów i nieznanymi wibracjami atmosfery, na tej obcej planecie stać go było na zachwyty przeszywający dreszczem każdy nerw w jego ciele.

Przestrzeń rozciągająca się między nim a następnym wzgórzem wyglądała na wolną od wszelkich zagrożeń. Daleko po lewej stronie ciągnęła się wstążka górskiej autostrady. Przejeżdżające samochody zaznaczały swą obecność ruchomymi liniami światła. W dolinie mieszkali ludzie. Wiedział to dzięki płomykom sztucznego światła i wibracjom czy może promieniowaniu (nie wiedział, jak to nazwać), które emitowali ludzie i ich dziwna siła zwana elektrycznością.

W koronach drzew śpiewały nocne ptaki, jakieś większe

zwierzę (jednak mniejsze od niego) prześliznęło się pod krzakami, myszy tłoczyły się w swych gniazdkach, a dziecięły ukrywały w swych dziuplach. Nieprzeliczone gromady mieszkańców nor i jam wędrowały przez warstwy gnijących liści i piasku. Poszukiwacz wymazał ich obecność ze świadomości. W tym momencie nie interesowały go te różnorodne formy życia.

Zbiegł cicho ze wzgórza, mijał lasy, zauważając po drodze każde drzewo i krzak, klasyfikował i katalogował wszystkie większe zwierzęta, czujny na niebezpieczeństwo. Bał się tylko zagrożenia, którego nie umiałby rozpoznać i ocenić: Lasy skończyły się i zobaczył przed sobą pola, drogi i domy. Zatrzymał się, by zbadać okolicę.

Mężczyzna z psem spacerował w dolinie, którą przecinała prywatna droga. Właśnie jechał po niej samochód w stronę odległego samotnego domu. Stado krów leżało na łące, dolina poza tym była bezpieczna i pusta. Nie liczył oczywiście myszy, szczurów i innych typowych dla tej planety gatunków stworzeń.

Zaczął biec przez dolinę.

Trzymał plecak na lewym ramieniu. Torba była wypchana, bo zawierała ubrania Zmiennika i inne rzeczy. Bagaż sprawiał mu kłopot, pozbawiał go naturalnej równowagi i Poszukiwacz musiał ciągle uważać by nie zaczepić nim o krzak czy gałąź.

Przystanął na chwilę, rzucił ciężar na ziemię i rozprostował zdrętwiałe ramię. Czuł ból i zmęczenie w lewej ręce. Wyciągnął prawą rękę, wziął plecak, wepchnął go pod pachę i ruszył w dalszą drogę. Myślał, że może byłoby lepiej często przekładać bagaż. Nie czułby takiego zmęczenia i bólu w ramionach.

Wdrapał się na szczyt i przystanął na parę minut, by odpocząć przed dalszym biegiem.

Willow Grove. Tam kazał mu biec Zmiennik. Sto mil. Byłby

tam przed świtem, jeśli udałoby się mu zachować dotychczasowe tempo. A co czeka ich trzech, gdy dotrą do tego nieznanego miejsca? Wierzba to drzewo, a gaj to wiele drzew razem, dlaczego więc ludzie dają miejscom geograficznym tak dziwne nazwy? To było mało logiczne. Lasy umierają i znikają, a wtedy nazwa miejscowości traci swe znaczenie.

Nietrwałe jest to wszystko. Ludzie jako rasa są z natury nietrwali. Ta ciągła zmiana warunków ich życia, nazywana postępem, przyczynia się do nietrwałości ich istnienia. Uważał, że znaczną przewagę ma inne życie, kiedy dana rasa wymyśla sobie jego idealny rodzaj, ustanawia podstawowe wartości i zasady. Żyje wtedy pewna i zadowolona.

Ruszył do przodu, ale zaniepokoił go nieznanый hałas. Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Dźwięk powtórzył się - słabe, odległe odgłosy trąbki.

Pomyślał, że pewnie pies znalazł trop i dano sygnał.

Zaczął biec szybko, ale ostrożnie, sprawdzał teren przed sobą w dolinie i po obu stronach, w gąszczu leśnym. Dotarł do skraju lasu, przystanął, by zbadać równinę rozciągającą się na dnie kotliny. Nic nie zwróciło jego uwagi. Pobiegł bez przeszkód, z łatwością przeskakując pojedyncze płoty.

Po raz pierwszy poczuł zmęczenie. Noc była zimna, jednak on nie przywykł do temperatur na Ziemi. W skokach wyciągał ciało jak najdalej, chciał dotrzeć do celu przed świtaniem. Czuł, że musi zwolnić i odpocząć. Liczył, że nabierze sił i wyrówna bieg.

Przebiegł dolinę kłusem i wspiął się na szczyt dosyć wolno. Obiecał sobie, że usiądzie na górze i odpocznie, by z nowymi siłami odzyskać poprzednie tempo.

Był w połowie drogi na szczyt, gdy usłyszał szczekanie - bliskie i głośne. Wiatr niósł dźwięki i Poszukiwacz nie był pewien, z

jakiego dochodziły one kierunku i z jakiej odległości.

Na górze zatrzymał się i usiadł. Księżyc wznosił się wysoko i drzewa rzucały długie cienie na małą łąkę na stromym zboczu.

Szczekanie było coraz głośniejsze. Wiedział, że to nie jest jeden pies, lecz kilka. Próbował je policzyć i zrozumiał, że są co najmniej cztery, może nawet pięć czy sześć.

Może to polowanie na szopy? Krasnolud mówił przecież, że niektórzy ludzie gonią psy za zwierzętami i nazywają to sportem. To, oczywiście, nie miało nic wspólnego ze sportem. To szczególna przewrotność nazywać zabijanie sportem, chociaż ludzie wyglądali na jeszcze bardziej przewrotnych w innych sprawach. Uczciwa wojna to co innego, ale to nie było uczciwe ani to nie była wojna.

Szczekanie dochodziło teraz zza jego pleców, było wyraźne i szybko się przybliżało. W ujadaniu psów pojawiła się szalona, dzika nuta. Znalazły trop i goniły ofiarę opętane jedną myślą.

Trafiły na ślad!

Poszukiwacz zerwał się i obrócił do tyłu. Skierował swą skoncentrowaną uwagę na zbocze, które przebył. Psy już były w pobliżu, pędziły nie z nosami przy ziemi, lecz wysoko uniesionymi, czując zapach zwierzyny w powietrzu.

Uświadomił sobie, co to oznacza. Powinien był zgadnąć, gdy usłyszał szczekanie po raz pierwszy. Psy nie goniły za szopem. Walka toczyła się o większą stawkę.

Przerażony ruszył co sił w dół drugiego zbocza góry. Psy dopadły szczytu i już nic nie tłumilo ich dzikiej pieśni, dochodzącej do uszu Poszukiwacza.

W pędzie skulił się do ziemi, nabrał niezwykłej szybkości, tylko ogon powiewał za nim. Przebiegł dolinę, przed nim było następne wzgórze. Zostawił psy w tyle, ale znów poczuł

zmęczenie wysysające siły z jego ciała. Znał koniec takiej ucieczki - mógł kilkakrotnie zostawić pościg w tyle, zbierając siły w panicznym, szalonym wysiłku, ale musi przegrać, kiedy zmęczenie zwielokrotni się i odbierze mu szybkość. Myślał, że może powinien wybrać dobry teren, zacząć się i czekać na nie. Tak miałby więcej szans. Kiedy indziej, nie teraz. Było ich zbyt wiele. Był pewien, że pokona dwa lub trzy na raz. Tu było pięć czy sześć. Mógł wyrzucić plecak i uwolniony od ciężaru, odzyskując dawną równowagę, biegłby szybciej. Ale i tak przewaga byłaby niewielka, a on obiecał Zmiennikowi, że nie zgubi jego rzeczy. Zmiennik nie byłby zadowolony, gdyby je wyrzucił. Już okazywał swe niezadowolenie, kiedy Poszukiwacz zapominał o istnieniu swych rąk i dłoni.

Pomyślał, że to dziwne, iż psy poszły jego śladem. Jako obcy na tej planecie musi różnić się od wszystkiego, co mogą znać psy: ma inny zapach, zostawia odmienny ślad. Ale różnica, jeżeli taka w ogóle istniała, widocznie nie wywoływała w nich strachu, a raczej rozbudziła w nich silniej instynkt polowania. Zrozumiał, że nie różnił się tak znacznie od istot zamieszkujących tę planetę.

Biegł wolniej, zdecydowanymi, pewnymi skokami i pozornie tylko miał szansę. Coraz bardziej tracił siły. Wkrótce będzie musiał je zebrać, by znowu zyskać trochę przewagi, a wiedział, że go na to nie stać. Koniec jest bliski.

Mógł oczywiście wezwać Zmiennika na pomoc. Przybraliby jego postać. Możliwe, że psy przerwałyby pościg, gdyby wyczuły nagle ślad człowieka, a nawet gdyby dogoniły go, nie zaatakowałyby. Nie chciał jednak takiego rozwiązania. Powiedział sobie, że musi walczyć do końca. Duma nie pozwoliłaby mu na wezwanie Zmiennika.

Dobiegł do szczytu i ujrzał przed sobą dolinę, a w środku niej

dom z rozświetlonymi oknami. Plan nasuwał mu się automatycznie.

Nie Zmiennik, lecz Myśliciel. Jedna sztuczka i oszukają pościg.

“Myślicielu, czy możesz czerpać energię z domu?”

“Tak, oczywiście. Kiedyś tak zrobiłem.”

“A od zewnątrz też?”

“Kiedy jestem wystarczająco blisko - tak.”

“W porządku. Kiedy dobiegnę do...”

„Nic nie musisz tłumaczyć, wiem, jaki masz plan. Uciekaj...”

Poszukiwacz runął w dół jak burza. Nadzieja bliskiego wyzwolenia dodawała mu sił, pędził prosto na dom. Rozwścieczone psy widziały zwierzynę na pustej równinie. Wyteżały resztki energii, by ją dopaść.

Poszukiwacz obejrzał się w biegu i zobaczył psy zbite w gromadę - oświetlone księżycową poświatą straszliwe cienie bestii. Słyszał ujadanie zwierząt przygotowanych na morderczą walkę i zwycięstwo.

Nagle szczekanie wybuchło wzmożoną falą, przemieniło się w krzyk śmierci, wypełniający dolinę aż po wzgórza i sklepienie nieba.

Dom był już niedaleko. Na dźwięk zawziętego szczekania wewnątrz zapaliło się kilka świateł. Duża lampa przed domem rozbłysła, oślepiając swą jasnością. Mieszkańcy byli widać poruszeni hałasem polowania w pobliżu swego domu.

Poszukiwacz pięknym susem przesadził niski palikowy płot, odgradzający dom od pól, i wylądował w pełnym świetle. Drugim susem dopadł domu i przyłgnął do ściany.

“Teraz! - zawył do Myśliciela. - Teraz!”

Było bardzo zimno. Fala ostrego, niemal śmiertelnego zimna uderzyła go niby cios potężnej pięści, paralizujący ciało i umysł.

Na wzgórzach, nad nierówną linią roślinności zawisł satelita planety. Łąd był surowy i suchy, przez konstrukcję zwaną przez ludzi płotem przeskakiwały rozwścieczone bestie znane jako psy.

Ale gdzieś w pobliżu był bank energii, którą Myśliciel bez namysłu zaczął czerpać, pchany koniecznością, w desperackiej walce o przetrwanie, niemal w panice. Chwycił się tej szansy i przyjął mnóstwo energii, o wiele więcej, niż faktycznie potrzebował. Światła w domu zgasły momentalnie. Myśliciel znalazł się w zupełnych ciemnościach.

Ale za to było mu ciepło. Ciało przybrało kształt piramidy i zaczęło świecić. Odzyskał dane, bardziej dokładne i zwięzłe niż dawniej, posegregowane i skatalogowane, gotowe, by użyć ich w każdej chwili. Jego mózg już dawno nie pracował tak logicznie, sprawnie i szybko.

“Myślicielu! - krzyczał Poszukiwacz. - Wyłącz to! Psy! Uważaj na psy!”

Oczywiście, Poszukiwacz miał rację. Wiedział o psach, znał ten genialny plan i wszystko szło po ich myśli.

Psy skręcały na boki, wbijały łapy w ziemię, by zatrzymać się po swym szaleńczym pędzie. Przemiana wilka, którego tak wspaniale dogoniły, w nieznaną obiekt przeraziła je, uczyniła nędzną bandą skowyczących tchórzy.

Myśliciel uświadomił sobie, że miał zbyt dużo energii. Przestraszył się. Nie mógł sobie poradzić z taką ilością ciepła.

Pozbył siego.

Wybuchnął.

Rozległ się trzask i dolina rozświetliła się na moment ogniem błyskawicy. Farba na ścianach domu szerniała i zwęglona posypała się na ziemię.

Ogień buchnął psom prosto w pyski. Zawyły i przeskakując płot, uciekły z podkulonymi ogonami. Jeszcze długo niosły za sobą dym i swąd tłęcej się sierści.

Blake wiedział, że Willow Grove to miasto znane mu w przeszłości. Jednocześnie wiedział, że to niemożliwe. On nie miał przeszłości. Może gdzieś słyszał o tym mieście, czytał artykuł czy widział zdjęcie w gazecie? Niemożliwe, by kiedyś tu był.

A jednak, gdy tak stał o świcie na rogu jednej z ulic, natrętnie powracały stare wspomnienia, wzór wyryty w jego pamięci zgadzał się z obrazami - schody do banku wyrastające wprost z chodnika, stare wiązy wokół parku na końcu ulicy. Wiedział, że w parku jest statua stojąca na środku fontanny, która częściej była sucha, niż działała, oraz starożytna armata na masywnych kołach z lufą zabrudzoną przez gołębie.

Zauważał nie tylko znane sobie elementy, ale umiał nawet wychwycić różnice. W dawnym sklepie ogrodniczym mieścił się obecnie sklep dla kolekcjonerów i salon jubilerski, fronton zakładu fryzjerskiego został odnowiony, ale całe miasto pokryte było patyną starości, której nie widział tu ostatnim razem.

Kiedy ostatnim razem widział Willow Grove?!

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek mógł widzieć to miasto. Jak to możliwe, by je widział i zapomniał o nim? Przynajmniej, z technicznego punktu widzenia, powinien pamiętać wszystko, co poznał lub zobaczył. W tamtej chwili, w szpitalu, to wszystko do niego powróciło - wszystko, czym był i co zrobił. Dlaczego więc nie przypomniał sobie Willow Grove?

To stare miasto, niemal jak eksponat z czasów starożytnych. Nie było tu latających domów i fundamentów dla przelotnych gości, nie było drapaczy chmur czy kompleksów mieszkaniowych

na przedmieściach. Tutaj ludzie mieszkali w prawdziwych, solidnych budynkach z drewna, cegły i kamienia, zbudowanych na trwałe w jednym miejscu, od których nikt nie wymagał, by latały. Co prawda, niektóre miały elektrownie słoneczne dziwacznie zainstalowane na dachach, a na przedmieściach była większa elektrownia komunalna, zaopatrująca najwidoczniej domy bez własnego zasilania.

Blake poprawił plecak na ramieniu i naciągnął kaptur bardziej na twarz. Przeszedł przez ulicę i szedł wolno chodnikiem, zauważając na każdym kroku znajome szczegóły, nazwy i miejsca. Jake Woods był bankierem i już z pewnością nie żył, ponieważ jeśli kiedyś widział to miasto, musiało to być co najmniej dwa wieki temu. Razem z Charleyem Breenem poszli kiedyś na wagary, łowili ryby w strumyku i złapali kilka kleni.

Powtarzał sobie, że to niewiarygodne, niemożliwe. Wspomnień jednak przybywało, obrazy osób i zdarzeń z przeszłości były żywe, wyraźne, trójwymiarowe. Pamiętał, że Jake Woods był chromy i nosił laskę z ciężkiego, świecącego, ręcznie ciosanego drewna. Charley miał piegi i szeroki, zaraźliwy uśmiech, a ponadto zawsze wciągał go w tarapaty. Stara Minnie Short chodziła ubrana w szmaty, dziwacznie powłóczyła nogami i pracowała na pół etatu jako księgowa w składzie drewna. Teraz na miejscu starego składu wybudowano ze szkła i plastyku agencję wynajmu poduszkiowców.

Doszedł do ławki naprzeciw restauracji i usiadł ciężko. Nieliczni przechodnie przyglądali mu się z zaciekawieniem.

Świetnie się czuł. Nawet po ciężkim całonocnym biegu Poszukiwacza był świeży i pełen sił. Pomyślał, że to dzięki energii skradzionej przez Myśliciela, a przekazanej Poszukiwaczowi i w dalszej kolejności jemu. Zdjął plecak z ramienia i postawił na

ławce. Potem zsunął kaptur z twarzy.

Dopiero teraz ludzie otwierali sklepy i zakłady. Pojedynczy samochód przejechał ulicą z cichym szumem. Czytał nazwiska właścicieli sklepów, ale nie znał żadnego z nich. Nazwy sklepów i nazwiska ich właścicieli były widocznie jedyną rzeczą, która zmieniła się w tym mieście.

Piętro nad bankiem zajmowali różni specjaliści, o czym informowały duże napisy na szybach okiennych - dentyści, lekarze, prawnicy. Alvin Bank, doktor nauk medycznych; H. H. Oliver, stomatolog; Ryan Wilson, adwokat; J. D. Leach, optometra; William Smith...

Chwileczkę! Zaraz! Tam był Ryan Wilson!

W pozostawionym liście było właśnie to nazwisko - Ryan Wilson. Po drugiej stronie ulicy było biuro człowieka, który wysłał wiadomość, że ma mu coś interesującego do przekazania. Zegar nad drzwiami banku wskazywał prawie dziewiątą, więc Wilson już jest w swoim biurze albo wkrótce przyjdzie: Gdyby nawet biuro było zamknięte, zostanie i poczeka na niego.

Blake wstał i przeszedł przez ulicę. Obrotowe drzwi skrzypiały przy pchnięciu, schody były strome i ciemne, a farba na ścianach klatki schodowej łuszczyła się i sypała na podłogę. Biuro Wilsona znajdowało się w końcu korytarza. Drzwi wejściowe były otwarte. Wszedł do pustego przedpokoju i w pomieszczeniu obok zobaczył ubranego w koszulę mężczyznę pracującego nad jakimiś papierami. Na biurku stał kosz pełen innych papierów.

Mężczyzna podniósł głowę.

- Proszę wejść - powiedział.

- Pan Ryan Wilson?

Mężczyzna skinął twierdząco głową.

- Moja sekretarka jeszcze nie przyszła - wyjaśnił. - Czym mogę

panu służyć?

- Dostałem od pana wiadomość. Nazywam się Andrew Blake. Wilson odchylił się do tyłu i zaczął mu się uważnie przyglądać.

- A niech to! - powiedział wreszcie. - Nigdy nie myślałem, że spotkam pana. Sądziłem, że przepadł pan na dobre.

Blake pokręcił głową zaskoczony takim przywitaniem.

- Widział pan poranną gazetę? - zapytał Wilson.

- Nie, nie widziałem.

Wilson sięgnął po złożony egzemplarz leżący na rogu biurka i otworzył, podsuwając Blake'owi.

Największy nagłówek brzmiał:

Czy człowiek z gwiazd jest wilkołakiem?

A podtytuł dodawał:

Poszukiwanie Blake'a trwa.

Poniżej tytułu Blake zobaczył swe własne zdjęcie.

Już czuł, jak kamienieje mu twarz. Próbował się opanować, by nie pokazać żadnych uczuć i myśli.

Usłyszał, jak Poszukiwacz szaleńczo dobija się do jego świadomości, jak próbuje przejąć stery.

„Nie! Nie! - krzyknął do niego. - Zostaw. Ja się tym zajmę.”

Poszukiwacz uspokoił się.

- To bardzo ciekawe - odezwał się Blake. - Dziękuję, że mi pan to pokazał. Czy już wyznaczyli nagrodę?

Wilson złożył gazetę i odłożył ją na biurko.

- Wystarczy wykręcić numer - ciągnął Blake. - Numer do szpitala jest...

Wilson przerwał mu ruchem ręki.

- To nie moja sprawa - powiedział. - Nie obchodzi mnie, kim pan jest

- Nawet gdybym był wilkołakiem?

- Nawet - odparł spokojnie Wilson. - Jeżeli pan zechce, wyjdzie pan stąd w każdej chwili, a ja wrócę do pracy. Ale gdyby zechciał pan zostać, jestem zobowiązany do zadania panu kilku pytań i gdy pan na nie odpowie...

- Pytania?

- Tak, tylko dwa proste pytania.

Blake zawahał się.

- Działam na zlecenie pewnego klienta - wyjaśnił Wilson. - Dla klienta, który umarł sto pięćdziesiąt lat temu. Tę sprawę przekazywano w naszej firmie adwokackiej z pokolenia na pokolenie. Mój pradziadek zobowiązał się do wykonania ostatniej woli naszego klienta.

Blake potrząsnął głową, próbując odpędzić mgłę spowijającą jego mózg. Coś się tutaj fatalnie nie zgadzało. Wiedział to od pierwszej chwili, kiedy zobaczył to miasto.

- W porządku - powiedział. - Proszę pytać.

Wilson odsunął jedną z szuflad biurka i wyjął dwie koperty. Jedną odłożył na bok, drugą otworzył i wyjął z niej kartkę papieru. Rozłożył ją i przysuwając bliżej, powiedział:

- No dobrze, panie Blake. Oto pierwsze pytanie: Jak nazywała się pana nauczycielka w pierwszej klasie?

- Zaraz, nazywała się - zaczął Blake - nazywała się... - Przez chwilę poszukiwał odpowiedzi. - Wiem. Nazywała się Jones. Panna Jones. Chyba Ada Jones. To już tak dawno.

A jednak to nie było tak dawno. Przypomniał ją sobie w jednej chwili: pedantyczna stara panna z kędzierzawą fryzurą i o surowym wyrazie twarzy. Nosila purpurową bluzkę. Jak mógł zapomnieć o tej purpurowej bluzce?

- Dobrze - skwitował Wilson. - Co pan i Charley Breen zrobiliście z arbusami diakona Watsona?

- Cóż - zaczął Blake - my... Zaraz, a skąd pan o tym wie?

- To nieistotne - odparł Wilson. - Proszę nie zważać na to i odpowiedzieć.

- Więc - Blake był zażenowany - sędzę, że to był głupi żart. Obu nam było nieprzyjemnie, kiedy to zrobiliśmy. Nikt się o tym nie dowiedział. Charley ukradł swojemu ojcu strzykawkę. Jak pan wie, jego staruszek był lekarzem.

- Nic nie wiem - zaznaczył Wilson.

- Wzięliśmy tę strzykawkę i buteleczkę nafty i zrobiliśmy wszystkim arbuzom mały zastrzyk z nafty. Po prostu wbijaliśmy igłę przez skórę. Rozumie pan, tak po trochu, tylko żeby arbuzy miały śmieszny smak.

Wilson odłożył papier i wziął drugą kopertę.

- Test przeszedł pan wyśmienicie, więc to należy do pana - powiedział uroczyście, wręczając Blake'owi kopertę.

Blake wziął ją i przeczytał napis - bardzo stary; atrament już wyblakł i zbrązowiał. Litery były pisane ręcznie, najwidoczniej drżącą dłonią.

Napis brzmiał:

“Do człowieka, który ma mój mózg”.

Pod spodem był podpis:

Theodore Roberts.

Ręka zaczęła mu drzeć, aż opadła, tak iż ledwie mógł utrzymać kopertę. Próbował wyprostować ramię i powstrzymać drżenie.

Teraz już wiedział - znowu wiedział wszystko. To, co znał kiedyś i o czym zapomniał: twarze, nazwiska, fakty.

- To jestem ja - zmusił sztywne usta do ruchu. - To byłem ja, Teddy Roberts. Nie jestem Andrew Blakiem.

Doszedł do zamkniętej dużej żelaznej bramy, minął boczną furtkę i zaczął iść pod górę krętą żwirową ścieżką. W tyle za nim pozostało miasto Willow Grove, a wokół leżeli ci, którzy już osiągnęli starość, gdy on był jeszcze kilkunastoletnim chłopcem. Pochylone kamienie cmentarne porastał mech, między grobami rosły sosny, całość zaś otaczał żelazny płot.

- Pójdzie pan ścieżką na lewo - tłumaczył mu Wilson. - Na prawo, tak w połowie wzgórza, znajdzie pan rodzinny grobowiec. Ale Theodore tak naprawdę nie umarł, wie pan. Istnieje nadal w Banku Mózgów i w panu. Tam leży tylko jego ciało. Sam tego nie rozumiem.

- Ja też nie - odparł Blake - ale czuję, że muszę tam iść. Więc przyszedł, wspinając się po stromej, rzadko używanej, wyboistej drodze. W czasie wspinaczki myślał o tym, że cmentarz wydawał mu się bardziej znajomy niż miasto. Sosny na cmentarzu były wyższe i potężniejsze, niż je zapamiętał, ciemniejsze i posepniejsze, niż myślał, nawet w pełnym słońcu. Wiatr wyśpiewywał wśród ich ciężkich igieł dobrze znane mu pieśni żałobne.

List podpisał Theodore. Nie napisał go jednak Theodore, ale raczej Teddy. Mały Teddy Roberts.

Później też ciągle Teddy Roberts, młody fizyk z Caltech i Instytutu Technologii Massachusetts, któremu wszechświat prezentował swój błyszczący i piękny mechanizm, aż dopraszający się o poznanie i zrozumienie. Theodore przyjdzie później. Doktor Theodore Roberts, stary, poważny mężczyzna o

powolnym chodzie i niskim głosem, z włosami przyprószonymi siwizną. Blake wiedział, że tego mężczyzny nie znał i nigdy nie pozna. Umysł, który miał, który odcisnięto na jego syntetycznym mózgu, który wpisano w jego syntetyczne ciało, należał do Teddy'ego Robertsa.

Gdyby chciał porozmawiać z Teddym Robertsem, wystarczyło podnieść słuchawkę, wykręcić numer Banku Mózgów i przedstawić się. Możliwe, że musiałby chwilę poczekać, by usłyszeć głos Theodore'a Robertsa, by poznać jego myśli. To nie byłby już głos tego człowieka, bo zgasł on na zawsze wraz z jego ciałem. To nie byłby umysł Teddy'ego Robertsa, tylko starszy, mądrzejszy, bardziej zrównoważony, który wyrósł z jego umysłu. Myślał, że to nic nie da, że to będzie równie obojętne, jak rozmowa z nieznajomym. Może się mylił? Przecież to Theodore, a nie Teddy napisał do niego list. Stary człowiek swą słabą, drżącą ręką przesyłał mu pozdrowienie i wiadomość.

Czy umysł może być człowiekiem? Czy raczej jest oddzielnym samoistnym bytem? Jak wiele znaczy w człowieku umysł, a ile ciało? Ile człowieczeństwa on sam nosił w ciele Poszukiwacza, a o ile mniej w ciele Myśliciela? Myśliciel jako żywa istota znacznie różnił się od człowieka, był biologicznym silnikiem przetwarzającym energię. Jego zmysły były inne od ludzkich, a w miejsce mózgu miał połączone cechy logiki, mądrości i instynktu.

Blake przystanął w głębokim cieniu sosen i z przyjemnością wdychał powietrze ciężkie od zapachu żywicy. Ochładzał go lekki powiew wiatru. Na wzgórzu, na końcu cmentarza, pomiędzy omszałymi granitowymi płytami pracował jakiś mężczyzna. Światło porannego słońca odbijało się od jego narzędzi.

Tuż przy bramie stała kaplica kontrastująca bielą swych

starych ścian z ciemną zielenią sosen. Prosta wieżyczka wspinała się ku górze, bezskutecznie próbując dorównać wysokim drzewom. Przez otwarte drzwi Blake zobaczył łagodnie rozświetlone wnętrze.

Blake wolno minął kaplicę i zaczął iść w górę cmentarza. Żwir chrząścił mu pod stopami. Do połowy wzgórza i na prawo. Dojdzie do miejsca, gdzie grobowa płyta oznajmia światu, że pod nią spoczęło w tej ziemi ciało Theodore'a Roberta.

Blake zawahał się.

Po co chce tam iść?

Odwiedzić miejsce, gdzie leżało jego ciało. Nie, nie jego ciało, lecz człowieka, który dał mu swój umysł.

A jeśli ten umysł nadal żył, jeśli żyły obydwie umysły, to jakie znaczenie miało ciało? Było tylko skorupą, której nikt nie żałował i która mogła spocząć byle gdzie.

Odwrócił się i zaczął schodzić w dół, do bramy. Doszedł do kaplicy, zatrzymał się i długo patrzył na miasto.

Nie był gotowy tam powrócić. Wiedział, że może nigdy nie będzie na to przygotowany. Gdyby znowu wrócił do miasta, będzie musiał wiedzieć, co robić. Nie wiedział, co ma robić, nie miał żadnego pomysłu na swe życie.

Odwrócił się, poszedł do kaplicy i usiadł na schodku.

Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Co mu pozostało?

Teraz już wiedział, kim jest. Nie musiał biec w poszukiwaniu odpowiedzi. Miał grunt, na którym mógł się oprzeć, ale była to bardzo słaba podstawa.

Sięgnął do kieszeni szaty i wyjął list. Zgarbiony siedział na stopniu i odczytywał po raz kolejny:

Mój drogi panie - to, jak przypuszczam, może być dziwnym i

niezręcznym sposobem zwracania się do pana. Wypróbowałam inne formuły powitania, ale wszystkie brzmiały źle, zdecydowałam się więc powrócić do tej, która choć wydaje się zbyt formalna, jest przynajmniej pełna szacunku.

W tej chwili już wie pan oczywiście, kim jestem i kim jest pan, nie ma więc potrzeby wyjaśniać, jakiego rodzaju łączą nas więzy, które jak miemam, są pierwszymi tego typu na Ziemi i prawdopodobnie są kłopotliwe dla nas obu.

Żytem z nadzieją, że powróci pan któregoś dnia i usiądziemy obaj z kieliszkami w dłoniach, by spędzić przyjemnie czas, porównując notatki i spostrzeżenia. Teraz, skoro już tak długo pana nie ma, obawiam się trochę, że może pan nie wrócić. Martwię się, że jakieś wydarzenie uniemożliwiło panu powrót. Ale gdyby pan powrócił tak, bym mógł jeszcze pana spotkać, musi to nastąpić szybko, bo zbliża się koniec mojego życia.

Mówię koniec życia, choć nie jest to całkiem prawdziwe. Jeśli chodzi o moje ciało, to, oczywiście, umrę, ale mój umysł będzie nadal istniał w Banku Inteligencji wśród wielu innych, zdolny do dalszego funkcjonowania jako niezależna jednostka lub współpracowania z innymi istniejącymi tam umysłami w charakterze ciała doradczego grupy ekspertów.

Nominację przyjąłem po wielu wahaniach. Zdaję sobie sprawę z tego, jak wielki to honor, ale nawet po podjęciu tej decyzji nie jestem pewien, czy jest to mądre i korzystne dla mnie oraz dla ludzkości. Nie jestem pewien, czy człowiek może żyć dobrze wyłącznie jako czysty umysł, oraz obawiam się, że z czasem ludzkość uzależni się zbyt silnie od zakumulowanej mądrości i wiedzy, które gromadzą tak zwane Banki Mózgów. Jeśli pozostaniemy, tak jak to ma miejsce obecnie, jedynie ciałem doradczym, które będzie otrzymywać problemy do rozpatrzenia i

ewentualnej rekomendacji, wtedy bank będzie służył pożytecznym celom. Ale jeżeli ludzie zaczęliby kiedyś polegać jedynie na mądrości przodków, wychwalając ją i ubóstwiając, kłaniając się jej i ignorując jednocześnie współczesną mądrość, to staniemy się przeszkodą i przyniesiemy uszczerbek prawdziwej wiedzy.

Nie jestem pewien, dlaczego piszę panu o tym. Prawdopodobnie dlatego, że jest pan jedynym, komu mogę to powiedzieć - właściwie jest pan w jakiś sposób mną samym.

To dziwne, że jeden człowiek w ciągu swojego życia był zmuszony podjąć dwie podobne decyzje. Kiedy wybrano mnie, by odwzorować mój umysł na pańskim mózgu, miałem wiele obiekcji, podobnie jak teraz. Czułem, że z wielu względów mój umysł nie będzie najlepszy dla pana. Przekazywanie panu moich uprzedzeń i przesądów to naprawdę żadna przysługa. Przez wszystkie te lata byłem niespokojny i zastanawiałem się, czy mój umysł dobrze panu służy, czy, niestety, źle.

Doprawdy, gdy rozważamy takie kwestie, musimy zauważyć, jak bardzo człowiek oddalił się od prostej bestii, którą był przed wiekami. Czasami zastanawiam się, czy nie zajdziemy za daleko, czy przez próżność inteligencji nie wejdziemy na zakazany ląd. Takie myśli przychodzą mi tylko ostatnimi czasy. To wątpliwości starzejącego się człowieka, trzeba je więc pominąć.

List ten może wydawać się panu nieuporządkowany i bezcelowy. Jeśli wytrzyma pan ze mną jeszcze jakiś czas, postaram się, w granicach rozsądku, przedstawić jego zamierzony cel.

Przez te lata często o panu myślałem. Jak się pan czuje, czy pan żyje i jeśli tak, to kiedy pan wróci? Myślę, że już uświadomił pan sobie, iż przez niektórych, może nawet przez większość pana twórców jest pan uważany jedynie za zjawisko, powiedzmy - problem w bioinżynierii. Wierzę, że do tej pory, żyjąc z tą

świadomością przez tyle lat, przyzwyczai się pan i nie poczuje urażony tak szczerym stwierdzeniem. Myślę, że należy pan do ludzi, którzy mogą to zrozumieć i zaakceptować.

Ja jednak nigdy nie myślałem o panu inaczej niż jak o innym człowieku, podobnym do mnie przez swą pełnię człowieczeństwa. Jak pan wie, byłem jedynakiem, nie miałem ani brata, ani siostry. Często zastanawiałem się, czy nie mógłbym myśleć o panu jako o bracie, którego nigdy nie widziałem. Myślę, że jednak dopiero teraz znam prawdę. Pan nie jest moim bratem. Pan jest kimś bliższym niż brat. Pan jest moim drugim "ja", równym mi we wszystkim i w żadnym wypadku nie gorszym.

Piszę więc ten list, mając nadzieję, że jeśli pan powróci, to chociaż umrę fizycznie, będzie pan chciał skontaktować się ze mną. Bardzo jestem ciekaw, co pan wbił i co pan myślał. Wydaje mi się, że z perspektywy pańskiej pracy i pańskich podróży mógł pan rozwinąć swój interesujący i pouczający punkt widzenia.

To, czy zechce się pan ze mną skontaktować, muszę pozostawić pańskiej decyzji. Nie jestem do końca pewien, czy my dwaj powinniśmy rozmawiać, choć bardzo bym chciał. Pozostawiam to panu, ufając, że pan najlepiej będzie wiedział, co należy zrobić.

W tej chwili zadaję sobie ciągle pytanie, czy mądrym jest, by umysł człowieka funkcjonował wiecznie. Dochodzę do wniosku, że chociaż umysł może stanowić większą część człowieka, to jednak człowiek nie jest tylko umysłem. Człowiek to coś więcej niż wiedza i pamięć, zdolność do uczenia się i rozwijania poglądów. Czy człowiek może wchodzić na nieskończony ład, który musi istnieć tam, gdzie przetrwał tylko umysł? Oczywiście, pozostaje człowiekiem, ale można kwestionować jego człowieczeństwo. Można pytać, czy staje się czymś więcej, czy czymś mniej niż człowiekiem?

Gdyby, ewentualnie, zdecydował się pan ze mną porozmawiać, ciekaw jestem pańskiego zdania na ten temat.

Gdybym kiedykolwiek dowiedział się, iż wolał pan nie kontaktować się ze mną, proszę być pewnym, że to zrozumiem. W takim wypadku chcę też, by wiedział pan o mojej dozgonnej życzliwości i miłości do pana.

Z wyrazami szacunku -

Theodore Roberts

Blake złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni szaty. Pomyślał, że nadal jest Andrew Blakiem, a nie Theodore'em Robertsem. Może Teddym Robertsem, ale nigdy Theodore'em Robertsem. Gdyby usiadł przed aparatem telefonu i wykręcił numer Banku Mózgów, co by powiedział Theodore'owi Robertsowi? Co mógł mu powiedzieć? Nie miał nic do zaoferowania, Byliby jak dwaj mężczyźni poszukujący u siebie nawzajem pomocy, której nie mogli sobie udzielić.

Mógłby powiedzieć: jestem wilkołakiem - tak mnie nazywają gazety. Jestem tylko częściowo człowiekiem, zaledwie w jednej trzeciej. Reszta jest czymś innym, czymś, o czym pan nigdy nie słyszał, w co by pan nie uwierzył, gdyby nawet usłyszał. Nie jestem człowiekiem i nie ma dla mnie miejsca na Ziemi. Jestem znikąd. Jestem potworem, który rani wszystkich, gdy tylko ich dotknie.

Miał rację, ranił wszystkich, którzy byli mu bliscy. Elaine Horton, która go pocałowała - dziewczyna, którą mógł pokochać, może już kochał. Mógł ją kochać tylko człowieczą częścią swego istnienia, jedną trzecią siebie. Mógł zranić jej ojca, tego cudownego staruszka o dziwnych zasadach i przekonaniach. Mógł zranić doktora Danielsa, swego pierwszego i przez jakiś

czas jedynego przyjaciela. Mógł zranić ich wszystkich. Będzie ranił ich, jeżeli nie...

I o to chodziło, jeżeli nie...

Musi coś zrobić, musi zacząć działać.

Rozmyślał nad tym, co powinien zrobić, i nic mu nie przychodziło do głowy.

Wstał, obrócił się w stronę bramy, potem zawrócił i wszedł do kaplicy. Szedł wolno między rzędami ławek. W środku panował półmrok. Było bardzo cicho. Elektryczny kandelabr zamocowany na pulpicie zaledwie rozpraszał cienie niczym słabe ognisko płonące w ciemnościach opuszczonej równiny. Dobre miejsce na myślenie. Miejsce na to, by wszystko rozważyć i uporządkować. Tutaj zbierze myśli, oceni sytuację i zobaczy, co się da zrobić. Doszedł do przodu kaplicy i zszedł na bok, by usiąść na ławce. Nie usiadł. Stał, wchłaniając półmrok i ciszę potęgowaną szumem drzew.

Wiedział, że tu musi zadecydować. W końcu dotarł do miejsca i czasu, z którego nie było odwrotu. Przedtem biegł do określonego celu, teraz impulsywne uciekanie nie miało sensu. Już nie miał dokąd uciekać - dotarł do punktu przeznaczenia i jeśli ma biec, to musi wiedzieć dokąd.

W tym małym miasteczku dowiedział się, kim i czym jest. To miasto jest dla niego ślepą uliczką. Cała planeta była dla niego ślepą uliczką. Nie było dla niego miejsca na Ziemi i między ludźmi.

Chociaż był Ziemiąninem, nie mógł nazwać siebie człowiekiem. Był hybrydą, a raczej niespotykanym dotąd potworem, który wyrósł z szaleńczego, wadliwego planu naukowców.

Był jak drużyna. Drużyna składająca się z trzech różnych istot.

Jako zespół mieli zdolności i możliwości badania i rozwiązywania podstawowych problemów wszechświata, ale nie tych występujących na zamieszkałej przez ludzi Ziemi. Tutaj nic nie mógł zrobić i nikt nie mógł mu pomóc.

Może na jakiejś skolonizowanej planecie, zimnej i nieurodzajnej, gdzie nie istniała kultura ze swymi wpływami - może tam mógłby działać? Nie sam, lecz jako drużyna, wszyscy trzej.

Przypomniał sobie zawrót głowy, który mieli na myśl, że mogą poznać cel i znaczenie wszechświata. Nawet nie poznać, ale dotrzeć bliżej niż jakakolwiek inteligentna istota.

Ponownie myślał o tym, co leży w mocy ich trzech mózgów, złączonych nie zamierzoną i nieświadomą pomysłowością ludzi - siła i piękno, zadziwienie i okropność. Z lękiem uświadomił sobie, że jest oto sfałszowanym narzędziem, które mogąc poznać cały wszechświat, gwałciło wszystkie jego prawa i ukryte tajemnice.

Możliwe, że z czasem ich umysły zjednoczą się i wtedy jego człowieczeństwo przestanie mieć znaczenie, bo zwyczajnie przestanie istnieć. Wtedy zerwą się wszystkie więzy łączące go z planetą zwaną Ziemią i z zamieszkującą ją rasą dwunożnych stworzeń. Będzie wolny, zapomni o tym i będzie spał spokojnie. Kiedy zapomni i przestanie być człowiekiem, zacznie uważać zdolności i możliwości swego połączonego mózgu za coś zwyczajnego. Wiedział, że chociaż bardzo bystry, mózg ludzki pozostaje wielce ograniczony. Ale wiedział ponadto, że był bezpieczny, ciepły i wygodny.

Dzięki temu, w co go wyposażono, przewyższał ludzkość. Ale ta wyższość raniła go. Stracił ciepło i wygodę, stał się słaby i pusty.

Przykucnął na podłodze i oplótł się ramionami. Myślał, że nawet ta niewielka przestrzeń, jaką skulony zajmuje, nie należy do niego. Ani on do niej. Dla niego nigdzie nie było miejsca. Był nicością splątaną i zapoczątkowaną przez przypadek. Był intruzem, nikt nie planował jego istnienia. Może był intruzem tylko na tej planecie, ale dzięki ludzkości ta planeta miała dla niego znaczenie; uważał ją za jedyne ważne miejsce.

Może za tysiąc lat pozbędzie się swego człowieczeństwa, ale dla niego liczyła się terażniejszość na tej planecie, nie wieczność i nie wszechświat. Poczuł, że ktoś mu współczuje, i niejasno uświadomił sobie, skąd to uczucie pochodzi. Wiedział, że to pułapka. Walczył z nią mimo rozpacz i rozgoryczenia. Zmagał się coraz słabiej, a oni próbowali go pokonać. Słyszał ich myśli i słowa, słyszał, co mówili do niego, ale nic nie rozumiał. Dosięgli go, otoczyli swą obecnością, swym obcym ciepłem - dającym pewność i bezpieczeństwo.

Zanurzył się w zapomnieniu, jego skamieniałe z bólu serce rozgrzało się. Przechodził w świat, w którym nie istniało nic oprócz ich trzech - tylko on i ci dwaj, połączeni na wieki.

Ostry, zimny grudniowy wiatr ze świstem strącał brązowe liście z samotnego dębu stojącego w połowie drogi na wzgórzu. Na szczycie był cmentarz porośnięty sosnami, które jęczały w silnych podmuchach zimowej wichury. Po niebie przewalały się ciężkie chmury. Zapach śniegu wisiał w powietrzu. Przy bramie cmentarza stały dwie ubrane na niebiesko postacie. Słabe, zimowe słońce, przedzierające się przez chmury, odbijało swe promienie w wypolerowanych guzikach i lufach karabinów. Po jednej stronie bramy zebrała się grupka gapiów i przez kraty zaglądała ciekawie do białego wnętrza kaplicy.

- Dzisiaj jest ich niewielu - powiedział Ryan Wilson do Elaine Horton. - Przy dobrej pogodzie, zwłaszcza w czasie weekendu, zbierał się tu tłum. - Postawił kołnierz swojej szaty i otulił nim szyję. - Mnie się to nie podoba - dodał. - Tam jest Theodore Roberts. Nie dbam o to, jaki przybierze kształt, ale to nadal jest on.

- Wydaje mi się - zaczęła niepewnie Elaine - że doktor Roberts cieszył się dobrą opinią w Willow Grove.

- Jak najbardziej. To jedyny wybitny człowiek spośród nas. Miasto jest z niego dumne.

- Jest pan oburzony zachowaniem ludzi?

- Nie wiem, czy to można nazwać oburzeniem. Dopóki ludzie zachowują się kulturalnie, nie mamy żadnych zastrzeżeń. Ale nie lubimy, gdy ludzie urządzają tu sobie zabawę.

- Może nie powinnam była tu przyjeżdżać? Długo o tym myślałam i wydawało mi się, że muszę to zrobić.

- Była pani jedyną jego przyjaciółką - powiedział z powagą Wilson. - Tym bardziej miała pani prawo tu przyjechać.

Grupka ludzi oderwała się od bramy i ruszyła w stronę miasta.

- W taki dzień jak dzisiaj, niewiele mogą zobaczyć - wyjaśnił Wilson. - Postoją trochę i idą. Widok samej kaplicy nie jest zbyt interesujący. Oczywiście, przy dobrej pogodzie drzwi kaplicy były otwarte i można było spojrzeć do środka. Wtedy zresztą też nie było można wiele zobaczyć. Na początku to była plama czerni, plama nicości. Nie można tego było normalnie zobaczyć. Ale teraz, gdy drzwi są otwarte, można zobaczyć w środku coś świecącego. Na początku to nie świeciło. Było niewidoczne. Patrzyło się jakby w dziurę zawieszoną nad podłogą. Wszystko było wymazane z tego miejsca. Myślę, że to rodzaj jakiejś tarczy. A teraz stopniowo ta tarcza, te siły obronne znikają i widać świecące miejsce.

- Czy mogę wejść do środka?

- Myślę, że tak. Zaraz zawiadomię kapitana. Nie można winić Administracji Przestrzeni za ten nadmiar ostrożności. Na nich spoczywa cała odpowiedzialność za to, co może mu się stać. Oni zaczęli ten eksperyment dwieście lat temu i jeżeli coś się tutaj stanie, to tylko w wyniku planu "Wilkołak". - Zobaczył, jak Elaine mimowolnie drgnęła. - Proszę mi wybaczyć. Nie powinienem był tego mówić.

- Dlaczego nie? - odpowiedziała. - Choć to mało przyjemnie brzmi, wszyscy tak to nazywają.

- Mówiłem pani o tym, jak przyszedł do mojego biura. To był miły młody człowiek. - Wilson próbował zatrzeć złe wrażenie.

- To był przestraszony człowiek - sprostowała Elaine - uciekający od świata. Gdyby mi tylko wspomniał o tym...

- Może wtedy jeszcze nie wiedział...

- Wiedział przynajmniej, że ma kłopoty. Senator, ja, może doktor Daniels pomogliśmy mu.

- Nie chciał pani w to angażować. W takie rzeczy nie można wciągać nawet przyjaciół, a on chciał zachować pani przyjaźń. Obawiał się, że kiedy pani pozna prawdę, to odrzuci go.

- Rozumiem, dlaczego tak myślał. Obwiniam się o to, że nawet nie próbowałam go zapytać. Nie chciałam go ranić. Myślałam, że powinien mieć szansę, by samemu znaleźć odpowiedź.

Ludzie zeszli ze wzgórza, minęli ich i poszli drogą do miasteczka.

.. 30 ..

Piramida stała z lewej strony, przed rzędem krzeseł. Świeciła delikatnie, rozsyłając wokół smugi jasności i pulsując leciutko.

- Proszę zbyt blisko nie podchodzić - powiedział kapitan. - Może pani to przestraszyć.

Elaine nie odpowiedziała. Stała, wpatrując się w piramidę. Gardło ścisnęło jej się ze zdziwienia i strachu.

- Może pani podejść jeszcze dwa lub trzy rzędy do przodu - dodał kapitan. - Gdyby za blisko pani stanęła, mogłoby być niebezpiecznie. Sami naprawdę nie wiemy.

- Przestraszyć to? - pytanie samo cisnęło się na usta.

- Nie wiem - powiedział z zakłopotaniem kapitan. - Tak się właśnie zachowuje, jakby się nas bało albo było podejrzliwe, albo po prostu nie chciało mieć z nami nic do czynienia. Od niedawna tak wygląda. Przedtem to było czarne, niby kawałek pustki. Jakby tam nic nie było. Stworzyło sobie własny świat, uruchomiło wszystkie siły obronne.

- Czy on teraz wie, że go nie skrzywdzimy?

- Jego?

- Andrew Blake'a - odpowiedziała.

- Pani go znała, prawda? Pan Wilson tak mówił.

- Widziałam go trzy razy.

- Jeżeli chodzi o to, czy on wie, to całkiem możliwe, że tak. Niektórzy naukowcy tak myślą. Wielu z nich próbowało to zbadać... O, przepraszam, panno Horton - próbowało go zbadać. Ale nie zaszli daleko. Niewiele da się tu zobaczyć.

- Czy oni są pewni - zająknęła się - czy są pewni, że to jest

Andrew Blake?

- Pod tą piramidą - odparł kapitan. - U podstawy piramidy, po prawej stronie.

- Szata! - krzyknęła. - To ta, którą mu dałam!

- Tak, ta, w którą był ubrany. Jest tam na podłodze. Kawałek wystaje.

Ruszyła do przodu środkiem kaplicy.

- Nie za daleko - ostrzegł kapitan. Poszła jeszcze krok do przodu i stanęła.

Pomyślała, że to głupie. Jeżeli tam jest, to przecież wie. Wie, że to ona i nie będzie się bał - wie, że go kocha.

Piramida pulsowała delikatnie.

Możliwe, że jednak nie wie. Może odciął się od świata, a jeśli tak, to musiał mieć powody.

Zastanawiała się, jak można się czuć, wiedząc, że ma się umysł innego człowieka. Pożyczony umysł, bo ludzkość nie jest w stanie całkowicie go wyprodukować. Wystarczyło pomysłowości na zbudowanie kości, ciała, mózgu, ale nie umysłu. A o ile jest gorzej, gdy się wie, że jest się częścią innych umysłów, przynajmniej dwu?

- Kapitanie? - zapytała.

- Tak, panno Horton.

- Czy naukowcy wiedzą, ile tam jest mózgów? Czy możliwe, że więcej niż trzy?

- Nie wydaje mi się, żeby wiedzieli. Oceniając na podstawie sytuacji, można przypuszczać, że nieskończona liczba.

Miejsce na nieskończoną ilość mózgów, na każdą myśl istniejącą we wszechświecie.

- Jestem tu - powiedziała cicho i łagodnie do tego, co kiedyś było Andrew Blakiem. - Jestem tu. Czy nie możesz powiedzieć, że

też tu jesteś? Jeśli będziesz mnie kiedyś potrzebował, jeśli znowu zamienisz się w człowieka...

Ale dlaczego miałyby zamienić się z powrotem w człowieka? Może zamienił się w to, żeby nie być człowiekiem, by nie patrzeć na ludzkość, do której nie mógł należeć?

Odwróciła się od tego z wahaniem, ale czuła, że jeszcze musi spojrzeć choć raz. Piramida stała, świecąc łagodnie, była spokojna i solidna, ale tak oddalona, że Elaine z żalu ścisnęło się gardło i łzy napłynęły do oczu. Powtarzała sobie uparcie, że nie będzie płakać. Z czyjego powodu miałyby płakać? Andrew Blake'a? Z powodu samej siebie czy nierozważnej ludzkości? Pomyślała, że nie umarł. Ale to było może nawet gorsze niż śmierć. Gdyby umarł, mogłaby odejść, mówiąc po prostu: żegnaj. Raz zwrócił się do niej o pomoc. Teraz już nie mogła mu pomóc ani ona, ani nikt z ludzi. Pomyślała, że on jest poza ludzkością.

Znowu się odwróciła.

- Już pójdę - starała się mówić spokojnym tonem. - Kapitanie, czy mógłby mnie pan odprowadzić?

Kapitan podał jej ramię i razem wyszli z kaplicy.

To wszystko tam było. Wielkie czarne wieże strzelały ku niebu wprost z wyboistej granitowej powierzchni planety. Zielona polana porośnięta kwiatami i trawami, pełna beztrosko baraszkujących zwierząt, stała nieruchomo w czasie. Różowobiałe struktury wznosiły się nad spienionym morzem w zwiewnych skrętach i spiralach. Bezkres jałowej musztardowo-piaskowej równiny pełnej odosobnionych kopuł inteligencji nie dawał się objąć zmysłami.

Te i inne obrazy - wychwycone z odległych gwiazd rozrzuconych jak kryształy na niebie otaczającym planetę wirujących piasków i śniegów. Oprócz tego były myśli, idee, koncepcje przyłączone do tych obrazów jak kawałki ziemi do korzeni.

Większość z tych myśli i idei była oderwanymi cząstkami wiedzy, które choć nie związane z obrazami rzeczy, były ważnymi znakami pozwalającymi ułożyć ogromną siatkę w logiczną całość. Było to zadanie wielkie i czasami kłopotliwe, ale kawałek po kawałku różne dane dopasowywały się do pustych miejsc. Zidentyfikowane usuwano z czynnych rozważań, choć były zakodowane i w każdej chwili dostępne.

Pracowało z zadowoleniem, szczęśliwe - i to je właśnie martwiło. Zadowolenie było dopuszczalne, a nawet pożądane, ale szczęście było nie na miejscu. To było coś nieznanego, nie powinno tego odczuwać, bo to była emocja, obcy mu stan. Dla uzyskania najlepszych rezultatów nie można pozwolić sobie na emocje. Dlatego było nimi zirytowane i próbowało je wymazać.

Mówiło sobie, że to infekcja. Zaraziło się od Poszukiwacza, który był bardziej niezrównoważoną istotą. Może też od Zmiennika? Musiało strzec się przed takimi wypadkami. Szczęście było już wystarczająco niebezpieczne, a oni dwaj żyli innymi emocjami, może bardziej nielogicznymi niż ta.

Więc pozbyło się szczęścia i postawiło strażę, by spokojnie kontynuować pracę. Redukowało idee, myśli, pojęcia możliwie jak najdalej, pozostawiało z nich tylko reguły, aksjomaty i symbole, uważając przy tym, by nie stracić substancji, która będzie potrzebna później.

Były także wskazówki dręczące swą częstotliwością, wymagające większego zastanowienia i może nawet więcej danych. Wzór logiczny był potencjalnie rozsądny, ale rozciągał się zbyt daleko, zostawiając miejsce na pomyłki, i trzeba było więcej danych, by wyznaczyć właściwy kierunek. Nic nie było nigdy proste, a za to mnóstwo rzeczy było zdradliwych. Potrzeba było surowej dyscypliny i samokontroli, by wyeliminować z procesu koncept własnej osobowości. Wiedziało, że z tego właśnie powodu szczęście jest tak niebezpieczne.

Wziąć na przykład materiał tej czarnej wieży. Wydawało się niemożliwe, by tak cienka budowla mogła stać. A jednak. Nie mogło wątpić w to, że była cienka. Otrzymało pewną i wyraźną informację. Inna była wskazówka o neutronach - tak solidnie ściśniętych razem, że tworzyły metal - utrzymywanych w mocnym związku niemożliwą do zidentyfikowania siłą. Informacja wskazywała na czas, ale czy czas mógł być siłą? Może nie uporządkowany czas? Czas próbujący zająć swe właściwe miejsce w przeszłości lub w przyszłości, bez końca dążący do nieosiągalnego dla siebie celu, oddalanego przez jakiś fantastyczny mechanizm?

I wszyscy łowcy przestrzeni, którzy zarzucają swe sieci wokół pustych sześciastokątów lat świetlnych, chwytają energię wysyłąną w kosmos przez tysiące rozpalonych słońc. Wychwytyją niewiarygodny strumień obrazów rzeczy, które choć raz znalazły się w przestrzeni lub kiedyś w niej żyły - jakby wybierali śmiecie z niezmiernych, opustoszałych przestrzeni kosmicznych. Nic nie wiadomo o takich łowcach, jak zarzucają sieci, jakie to sieci mogą wychwytywać energię? Istniała tylko ta myśl o polujących łowcach. Może to jakaś fantazja, niejasna idea wspólnego umysłu, wiara, mit czy religia? Czy rzeczywiście mogli istnieć tacy łowcy?

Takich niejasnych informacji było wiele. Jeszcze wrażenie tak słabe, że ledwie uchwytnie. Słabe, bo wysłane z gwiazdy tak dalekiej, że nawet światło się zmęczyło. Umysł wszechświata to wszystko, co mówiło. Nic poza tym. Może oznaczało umysł, od którego pochodzi wszelkie myślenie, gromadzący wszelkie myśli, ustanawiający prawa i porządek rzeczy, poruszający elektrony wokół jądra i odmierzający czas istnienia galaktyki?

Było tego wiele. Wszystko fragmentaryczne i zastanawiające. A to tylko początek, zbiór dotyczący jednej chwili na jednej planecie. Wszystko było ważne, każda wiadomość, każde wrażenie. To wszystko dało się gdzieś dopasować, umieścić w układzie praw i zasad, przyczyny i skutku, akcji i reakcji, z których składał się wszechświat.

Potrzebowało jedynie czasu. Zdobędzie więcej danych, wykorzysta swą logikę i ułoży z tego spójną całość. Wtedy czynnik czasu zostanie zlikwidowany. Pozostanie już tylko wieczność.

Myśliciel, skulony na podłodze kaplicy, pulsował delikatnie. Mechanizm jego logicznego mózgu zbliżał się do poznania

prawdy uniwersalnej.

Zmiennik zmagał się.

Musi się wydostać. Musi uciec. Nie mógł pozostać pogrzebany w tej czerni i ciszy, wygodnie i bezpiecznie, w otaczającym go braterstwie.

Nie chciał się zmagać. Wolał raczej pozostać dokładnie tam, gdzie był, i tym, czym był. Ale coś go zmusiło do walki. Coś nie w nim, ale z zewnątrz. Jakaś rzecz, istota czy sytuacja wzywała go i powtarzała, że nie może zostać. Choćby bardzo chciał, nie może zostać. Coś pozostało nie zrobione, a musiało być dokończone. On był jedynym, który mógł tego dokonać. Bez względu na to, co to miało być.

“Cicho, cicho - uspokajał Poszukiwacz. - Lepiej ci będzie tam, gdzie jesteś. Na zewnątrz jest za dużo dla ciebie smutku i rozgoryczenia.”

Zastanowił się nad tym, co znaczy - na zewnątrz. Trochę z tego pamiętał - twarz kobiety, wysokie sosny w pobliżu bramy. Inny świat, widziany jakby przez ścianę płynącej wody, odległy i nieprawdopodobny. Ale wiedział, że tam istnieje.

“Zamknąłeś mnie! - krzyknął. - Musisz mnie wypuścić.”

Myśliciel nie zwracał na niego uwagi. Myśliciel nieprzerwanie myślał. Skierował swą energię na miliony informacji i faktów - wysokie czarne wieże, musztardowe kopuły, ślad czegoś lub kogoś wyszczekującego rozkazy dla wszechświata.

Wola i siły Zmiennika osłabły. Poddał się pustce i ciszy.

“Poszukiwaczu” - powiedział.

“Nie. - Poszukiwacz domyślił się wszystkiego. - Myśliciel ciężko

pracuje.”

Leżał i wyładowywał swój bezsłowny gniew na nich obu. Gniewał się w swoich myślach. Wściekłość jednak na nic się nie zda.

Pomyślał, że on nigdy ich tak nie traktował. Zawsze ich słuchał, kiedy miał ciało. Nie ignorował ich.

Leżał, odpoczywał i myślał, czy nie lepiej było pozostać w wygodzie i spokoju. Czy coś miało znaczenie? Czy Ziemia miała dla niego znaczenie?

Ziemia! Właśnie o to chodzi!

Ziemia i ludzkość. Te dwie rzeczy miały znaczenie. Może nie dla Poszukiwacza czy Myśliciela - chociaż co ma znaczenie dla jednego z nich, musi mieć wartość dla nich trzech.

Walczył coraz słabiej, nie miał sił ani woli.

Znowu się położył. Zbierał moce i cierpliwość.

Wiedział, że dbali o niego. Zabrali go w czas największego cierpienia, otoczyli i trzymali blisko, by go uzdrowić. Nie pozwolą mu odejść.

Próbował przywołać ból, mając nadzieję, że wraz z nim odzyska moc ciała i siłę woli. Niestety, nie mógł go sobie przypomnieć. Był jakby wymazany z jego istnienia, docierał najdalej do jego brzegów.

Zanurzał się w ciemność, pozwalał, by zapanowała cisza, ale nawet wtedy wiedział, że znowu będzie walczył o swą wolność. Słabo i pragnąc porażki, bo tylko ta zewnętrzna siła nie pozwalała mu ulec. Niezrozumiały nakaz zobowiązywał go do tego.

Leżał cichutko i myślał nad tymi wydarzeniami podobnymi do snu. Był niby górolaz, który nigdy nie może dotrzeć do szczytu. Jak alpinista wiszący nad przepaścią, który nagle poślizgnął się i

leci przerażony w dół, boi się roztrzaskania o dno, co nigdy nie następuje.

Przed nim były czas i beczynność. Sam czas był próżnią, bo tak jak Myśliciel wiedział, że to czynnik bez znaczenia.

Próbował zobaczyć swą sytuację we właściwej perspektywie, ale nie mógł właściwie znaleźć dla niej żadnej perspektywy. Czas był zamazaną plamą, a rzeczywistość mgiełką, przez którą przyплыnęła do niego twarz - na początku nic nie znacząca, lecz w końcu uświadomił sobie, że to ktoś znany mu, że ta otoczona mrokiem twarz na zawsze wyryła się w jego mózgu. Usta poruszały się i choć nie mógł nic usłyszeć, te słowa też na zawsze wyryły się w jego pamięci.

- Jeśli będziesz mógł, daj mi znać.

Pomyślał, że właśnie to musi zrobić. Musi dać jej znać. Ona czeka na wiadomość. Chce wiedzieć, co się z nim stało. Wyrwał się z ciemności i ciszy, choć wydawało mu się, że słyszy wokół siebie krzyk - wściekły protest dwóch pozostałych. Wokół niego zawirowały w ciemnościach czarne wieże. Poczucie ruchu. Ale brak obrazów. Po chwili dopiero odzyskał wzrok. Stał w mrocznej kaplicy oświetlonej jedynie słabym światłem kandelabru. Słyszał dochodzący z zewnątrz szum sosen. Ktoś krzyczał. Zobaczył biegnącego żołnierza. Inny żołnierz stał zaskoczony z wzniesionym do góry karabinem.

- Kapitanie! Kapitanie! - krzyczał biegnący żołnierz. Drugi podszedł kilka kroków do przodu.

- Spokojnie, synu - powiedział Blake. - Nigdzie nie idę. Coś zaplątało się wokół jego kostek. Zobaczył, że to jego własna szata. Wyplątał się z niej, potem podniósł ją i założył na ramiona.

Człowiek w mundurze z dystynkcjami na ramieniu przeszedł przez kaplicę i stanął przed Blake'em.

- Kapitan Saunders, proszę pana - powiedział. - Z Administracji Przestrzeni. Ochronialiśmy pana.

- Ochronialiście? - zapytał Blake. - Czy raczej pilnowaliście?

- Po trochu i jedno, i drugie - powiedział kapitan z lekkim uśmiechem. - Gratuluję panu odzyskania ludzkiej postaci.

Blake obciągnął szatę wokół ciała.

- Nie do końca ma pan rację - powiedział. - Wie pan, że nie jestem człowiekiem. To znaczy, nie całkiem człowiekiem.

Pomyślał, że miał tylko ludzkie ciało, a raczej jego formę. Chociaż powinno być coś więcej. Był zaplanowany i wykonany jako człowiek. Oczywiście, że się zmienił, ale nie tak bardzo, by stać się nie-ludzkim. Jest nie-człowiekiem w wystarczającym stopniu, by go odrzucono. Nie-człowiekiem na tyle, by ludzkość uważała go za potwora.

- Czekaliśmy - zaczął kapitan. - Mieliśmy nadzieję...

- Jak długo? - nie dał mu dokończyć Blake. - Jak długo to trwało?

- Prawie rok - odpowiedział kapitan.

Aż rok - pomyślał Blake. To nie wyglądało na tak długo; wyglądało na nie więcej niż kilka godzin. Zastanawiał się, jak długo był trzymany bez swej świadomości w uzdrawiających głębiach ich wspólnego umysłu? Kiedy dowiedział się, że musi się uwolnić? Czy już od początku swego uwięzienia? Uświadomił sobie, że trudno to rozstrzygnąć, bo czas w rozdzielonym na kilka części umyśle traci swe znaczenie, jest bezużyteczny jako miara trwania.

Przynajmniej wystarczająco długo, by został uzdrowiony. Znikły smutek i rozpacz. Mógł znieść świadomość, że nie jest człowiekiem w wystarczającym stopniu, by żądać dla siebie miejsca na Ziemi.

- Więc co teraz? - zapytał.

- Mam rozkaz, by zabrać pana do Waszyngtonu, do Administracji Przestrzeni, gdy tylko to będzie możliwe i bezpieczne.

- Bezpieczeństwo już ma pan zapewnione. Nie będę sprawiał kłopotów.

- Tu nie chodzi o pana - wyjaśnił kapitan. - Na zewnątrz jest tłum.

- Cóż to ma znaczyć? Jaki tłum?

- Tłum czcicieli. Wygląda na to, że fanatycy uważają pana za mesjasza posłanego, by wybawić człowieka od wszelkiego zła. Innym razem zbierają się grypy, które twierdzą, że jest pan potworem... Proszę mi wybaczyć. Zapomniałem się.

- Te grupy sprawiały wam kłopoty, tak?

- Czasami, powiedziałbym, że nawet sporo. Dlatego musimy wysłiznąć się stąd niepostrzeżenie.

- A nie byłoby lepiej po prostu wyjść i położyć temu wszystkiemu kres?

- Niestety. Tej sytuacji nie da się tak prosto rozwiązać. Będę z panem szczery. Tylko my wiemy, że pana tu nie będzie. Nadal tu będą stali strażnicy...

- Pozwolicie ludziom wierzyć, że nadal tu jestem?

- Tak, to będzie najprostsze wyjście.

- Ale i tak któregoś dnia...

- Nie. - Kapitan potrząsnął głową. - Nie na długo. A potem już pan odleci. Przygotowany statek czeka na pana. W każdej chwili może pan wyjechać. Jeśli pan zechce, oczywiście.

- Pozbywacie się mnie?

- Może. Ale także umożliwiamy panu pozbycie się nas.

Ziemia chciała się go pozbyć; może obawiała się, może zwyczajnie brzydziła się jako nieudanym produktem własnych ambicji i wyobrażeń, nieudanym towarem, który trzeba jak najszybciej zniszczyć. Nie było dla niego miejsca na Ziemi ani wśród ludzkości. A jednak był ludzkim wytworem, który zaistniał dzięki bystrym umysłom i twórczej wyobraźni naukowców.

Dziwił się temu, gdy po raz pierwszy rozmyślał o tym w kaplicy. Teraz stał przy oknie we własnym domu w Waszyngtonie, wyglądał na ulicę i to samo zajmowało jego myśli. Wiedział, że już wtedy miał rację i trafnie ocenił reakcje ludzi.

Z drugiej strony, nie mógł do końca rozstrzygnąć, ile w tym stosunku do niego było odruchowej reakcji zwykłych ludzi, a ile oficjalnej opinii narzuconej przez Administrację Przestrzeni. Dla Administracji był starym błędem, zbyt śmiałym eksperymentem i im szybciej go się pozbędą, tym lepiej.

Przypomniawszy sobie, że na wzgórzu za bramą cmentarną był tłum - tłum zebrany po to, by oddać cześć temu, za co go uważali. Ekscentrycy, fanatycy - a w gruncie rzeczy to zwyczajni ciekawscy ludzie, rzucający się na każdą sensację, by wypełnić jakoś swe puste życie. Pomimo to - ciągle ludzie.

Oglądał rozświetlone ulice Waszyngtonu, nieliczne samochody na jezdni, przechadzających się pod drzewami ludzi. Myślał, że to jest Ziemia i jej mieszkańcy - ludzie, którzy mieli swoją pracę, rodzinę i dom, do którego zawsze można powrócić, obowiązki i przyjemności, zmartwienia i małe triumfy, a wreszcie przyjaciół. Gdyby w jakichś niewyobrażalnych

okolicznościach mógł stać się członkiem ludzkości, gdyby został zaakceptowany, to, zastanawiał się, czy mógłby to przyjąć? Nie był sam. Nie mógł brać tylko siebie pod uwagę, bo byli jeszcze ci dwaj i mieli równe prawa do materii stanowiącej ich wspólne ciało.

Ich nie obchodziło to, że został złapany w emocjonalną pułapkę, chociaż wtedy, w kaplicy, zajęli się nim ze zrozumieniem. Nie miał wątpliwości, że nie byli zdolni do przeżywania takich uczuć, chociaż przyszło mu do głowy, że Poszukiwacz może być równie wrażliwy i uczuciowy jak on.

Wydawało mu się, że nie zniesie myśli o odrzuceniu go przez Ziemię. Dlaczego był wyrzutkiem na tej planecie i musiał stać się wiecznym banitą we wszechświecie? Bo dla ludzkości był w najlepszym razie pariasem.

Statek czekał na niego, był prawie gotowy i do niego należała decyzja - odlecieć czy pozostać. Jednak Administracja wyraźnie mu dała do zrozumienia, że lepiej by było, gdyby odleciał. Zostając nic w rzeczywistości nie zyskiwał. Mógł mieć jedynie nadzieję, że kiedyś stanie się w pełni człowiekiem. I gdyby mógł - gdyby tylko mógł - to czy rzeczywiście chciałby tego? Tępo patrzył w okno, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

Otrzeźwił go odgłos pukania.

Drzwi otworzyły się i zobaczył w nich strażnika. Po chwili wszedł gość. Oślepiiony jasnym słońcem Blake nie od razu go rozpoznał. Potem uświadomił sobie, że go zna.

- Senator - powiedział jakby sam do siebie. - Miło, że pan przyszedł. Nie myślałem, że chciałby pan mnie odwiedzić.

- Dlaczego miałbym nie przyjść? - zdziwił się senator. - Wyraźnie pan napisał, że chce się ze mną spotkać.

- Nie wiedziałem, czy zechce mnie pan widzieć. Mimo

wszystko to ja w dużej mierze przyczyniłem się do wyniku referendum.

- Możliwe - zgodził się Horton. - Tak, chyba ma pan rację. Stone używał nieetycznych argumentów, przedstawiając pana jako przerażający przykład. Choć muszę mu przyznać, że zrobił to bardzo efektownie.

- Bardzo mi przykro. To właśnie chciałem panu powiedzieć. Byłbym przyszedł do pana, ale wygląda na to, że obecnie moja wolność jest trochę ograniczona.

- Cóż, możemy porozmawiać też na inne tematy. Jak pan się domyśla, referendum i jego wyniki to dla mnie dość bolesna sprawa. Dwa dni temu złożyłem rezygnację. Powiem panu szczerze, na pewno nieprędko przyzwyczaję się do utraty fotela senatorskiego.

- Usiądzie pan? - zapytał Blake. - Proszę bardzo, tam jest fotel. A ja poszukam czegoś do picia.

- Niezły pomysł. Popieram z całego serca. Już jest wystarczająco późne popołudnie, by czegoś się napić. Pamiętam, że kiedy przyszedł pan do nas, piliśmy razem brandy. To była specjalna butelka, o ile się nie mylę. - Usiadł w fotelu i rozejrzał się po pokoju. - Muszę powiedzieć, że nieźle pan sobie radzi. Nie jest tu gorzej niż w oficerskich apartamentach.

- Ze strażnikiem przed drzwiami.

- Boją się o pana, to wszystko.

- Możliwe, że tak, ale nie ma potrzeby. - Podszedł do barku, wyjął butelkę i dwie szklaneczki. Potem wrócił i usiadł na sofie naprzeciw senatora.

- Rozumiem, że wkrótce nas pan opuści - zaczął senator. - Słyszałem, że statek jest prawie gotów.

Blake skinął głową i podał senatorowi szklaneczkę z brandy.

- Zastanawiałem się nad tym statkiem - powiedział. - Polecę samotnie, jako cała załoga. Całkowicie zautomatyzowany. Jak można ukończyć coś takiego w przeciągu roku... ?

- Och, to nie był rok - zaprotestował senator. - Czy nikt nie raczył opowiedzieć panu o tym statku?

Blake potrząsnął przecząco głową.

- Zbyli mnie. To chyba trafne słowo - zbyli mnie kilkoma wyjaśnieniami. Pokazali mi, jakie dźwignie popychać i jakie guziki naciskać, bym poleciał tam, gdzie zechcę. Pokazali, jak pracuje automat kuchenny, utrzymanie statku - to wszystko. Oczywiście, zadawałem im pytania, ale wyglądało na to, że nie ma na nie odpowiedzi. Myślę, że głównie chodzi o to, by jak najszybciej wymieść mnie z powierzchni Ziemi.

- Rozumiem. To stara wojskowa gra. Powiedzmy, że to taka dziwna tradycja, zachowywanie tajemnic. Może to trochę śmieszna ostrożność i temu podobne. - Obrócił szklaneczkę w dłoni i popatrzył na Blake'a ze zrozumieniem. - Proszę się nie obawiać, jeśli o tym pan myślał. To nie jest żadna pułapka i statek zrobi wszystko to, o czym panu mówili.

- Miło mi to słyszeć, senatorze.

- Ten statek nie został zbudowany od razu. Poprawniej jest powiedzieć, że powoli wzrastał. Był bez przerwy projektowany przez ponad czterdzieści lat. Bez przerwy zmieniany. Budowany, a potem rozbierany, by wprowadzić nowe układy czy ulepszenia. Bez przerwy testowany. Wie pan, to jakby próba zbudowania doskonałego statku. Pracowano nad nim miliony godzin, koszty doszły do bilionów dolarów. W końcu stał się tylko złożeniem ulepszeń, bo chyba co roku wprowadzano nowe. Ten statek może działać wiecznie i człowiek może żyć w nim wiecznie. W ten sposób ktoś wyposażony tak jak pan może polecieć w kosmos i

wykonywać zadania, do jakich jest zdolny.

- Jeden drobiazg mnie zastanawia, senatorze. - Blake zmarszczył brwi. - Po co ten cały kłopot?

- Kłopot? Nie rozumiem pana.

- Cóż, niech pan posłucha. We wszystkim, co pan powiedział, jest dużo racji. To dziwne stworzenie, o którym pan mówił - którego jedną trzecią stanowią ja - może polecieć takim statkiem, błędzić po wszechświecie i prowadzić badania. Ale jaka jest z tego korzyść? Co ludzkość będzie z tego miała? Czy wierzy pan, że może któregoś dnia powrócimy przez miliardy lat świetlnych, by przekazać Ziemi swoją wiedzę?

- Nie wiem - wyznał senator. - Może to jest myśl. Możliwe, że moglibyście zrobić nawet to. Możliwe, że będzie w panu dość człowieczeństwa, by mógł pan wrócić.

- No, w to akurat wątpię.

- Cóż, rozmawianie o tym nie ma sensu. Może to być niemożliwe, nawet gdyby pan chciał. Jesteśmy świadomi tego, ile czasu zajmą pańskie badania, i do tego nie jesteśmy tak głupi - ja tak przynajmniej sędzę - by wyobrażać sobie, że będziemy trwać wiecznie. Nawet jeśli miałyby pan odnaleźć kiedyś odpowiedzi na podstawowe pytania, możliwe, że ludzkość już ich od pana nie odbierze.

- Znajdziemy odpowiedź. Jeżeli tylko polecimy, to na pewno.

- Jest jeszcze inne wytłumaczenie. Czy nie przyszło panu do głowy to, że ludzkość jest zdolna wysłać pana, umożliwić przebywanie w kosmosie i szukanie odpowiedzi, nie oczekując korzyści? Wiedząc, że gdzieś we wszechświecie istnieje inteligencja, dla której użyteczna będzie pańska wiedza?

- Nie myślałem o tym i trudno mi w to uwierzyć.

- Jest pan rozgoryczony z powodu ludzi, prawda?

- Tego nie powiedziałem. Nie jestem pewien, co czuję. Człowiek powraca do domu i nie pozwala mu się pozostać. Wyrzuca go się w chwilę po przybyciu.

- Oczywiście, nie musi pan lecieć. Po prostu myślałem, że sam pan chciał. Ale jeśli woli pan pozostać...

- Po co miałbym zostawać? - prawie krzyknął Blake. - By oficjalnie, w majestacie prawa trzymano mnie w pięknej klatce? By mi się przyglądano i wytykano palcami? By głupcy klękali przed klatką i modlili się do mnie, tak jak w Willow Grove?

- To rzeczywiście raczej mało sensowne - zgodził się senator. - Mam na myśli pozostawanie na Ziemi. W kosmosie będzie pan miał przynajmniej co robić...

- Jeszcze jedno mnie zastanawia - Blake zmienił temat. - Skąd tyle o mnie wiecie? Jak odkryliście prawdę? Jak się do niej dokopaliście?

- To kwestia dedukcji opartej na intensywnej obserwacji i badaniu. Ale nic byśmy nie zrobili bez pomocy Krasnoludów.

No tak - pomyślał Blake. Znowu te wszędobylskie Krasnoludy.

- Interesowały się panem - ciągnął Horton. - Wygląda na to, że one interesują się wszystkim, co żyje. Myszami polnymi, owadami, jeżozwierzami, a nawet ludźmi. Przypuszczam, że można je nazwać psychologami, choć nie w powszechnie rozumianym znaczeniu tego słowa. Ich zdolności daleko wykraczają poza psychologię.

- To nie byłem ja. Chcę powiedzieć, że to nie był Andrew Blake.

- Nie, jako Andrew Blake był pan po prostu człowiekiem. Ale one wyczuły was trzech. Na długo przedtem, zanim my wiedzieliśmy o tym. Choć w końcu też byśmy to odkryli. Spędziły mnóstwo czasu z Myślicielem. Siedziały tam i patrzyły na niego. Ja jednak podejrzewam, że robiły coś więcej.

- Tak więc ludzie i Krasnoludy przekazują sobie podstawowe wiadomości.

- Może nie wszystko, ale w tym wypadku wystarczyło, by poznać pańskie możliwości. Zrozumieliśmy, że takich zdolności nie wolno stracić. Musi pan mieć szansę, by je wykorzystać.

Wiedzieliśmy, że tutaj, na Ziemi, nie są przydatne. Wtedy Administracja zdecydowała się na przekazanie panu statku.

- Więc powracamy do jednego punktu - podsumował Blake. - Mam zadanie do wykonania. Chcę czy nie, muszę się go podjąć.

- To zależy od pana - odparł sztywno Horton.

- Nie prosiłem o taką pracę.

- Nie. Wiem, że pan nie prosił, ale spodziewam się, że można z niej czerpać jakąś satysfakcję.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, niezadowoleni z rozmowy. Horton wypił brandy i odstawił szklankę. Blake sięgnął po butelkę.

- Nie, dziękuję - powiedział senator. - Muszę już iść. Tylko mam do pana jeszcze jedno pytanie. Co już pan wie i co spodziewa się pan tam znaleźć?

- Nie mam pojęcia, czego możemy oczekiwać. A jeśli chodzi o to, co wiemy: wiele rzeczy, które w sumie nic nie znaczą.

- Żadnej wskazówki? Czy nie wyłania się jakiś wzór, jakaś ostateczna myśl?

- Tak, jest jedna wskazówka. Bardzo słaba. Uniwersalny umysł.

- Umysł, który operuje światem, naciska niezbędne guziki?

- Może - odparł Blake. - Może coś w tym rodzaju. Horton odetchnął głęboko.

- O mój Boże - westchnął.

- Tak - o mój Boże - powtórzył Blake, niemal szyderczo.

- Muszę już iść. - Horton wstał pośpiesznie. - Dziękuję za

brandy - powiedział chłodno.

- Senatorze - odezwał się Blake - przesłałem Elaine wiadomość, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Próbowałem też dodzwonić się. Na próżno.

- Tak - odpowiedział Horton. - Wiem o tym.

- Przepraszam pana, muszę się z nią zobaczyć przed wyjazdem. Są pewne rzeczy, które chcę jej powiedzieć...

- Panie Blake - mówił Horton - moja córka nie chce ani pana widzieć, ani rozmawiać z panem.

Blake podniósł się wolno i patrząc mu w twarz, zapytał:

- Ale jaki jest powód? Może mi pan powiedzieć?

- Myślałem, że to musi być jasne nawet dla pana, panie Blake.

Cienie pełzały po pokoju. Blake już od wielu minut siedział nieruchomo na sofie z jedną natrętną myślą powracającą do jego skołatanego mózgu. W kółko rozważał jeden niezaprzeczalny fakt.

Ona nie chce się z nim zobaczyć ani nawet porozmawiać - to przecież wspomnienie jej twarzy pomogło mu wyzwolić się z ciemności i ciszy. Jeżeli senator mówił prawdę, to wszystkie tęsknoty i wysiłki poszły na marne. Lepiej by było, gdyby pozostał tam, gdzie był; leżał i uzdrawiał się, póki Myśliciel prowadził swe rozmyślenia i kalkulacje.

Ale czy senator rzeczywiście mówił prawdę? Czy nie była to jakaś forma zemsty za rolę, jaką Blake odegrał w odrzuceniu projektu bioinżynierii? Czy nie powiedział tak, by choć w części odpłacić za swe rozczarowanie i porażkę?

Blake wiedział, że to nie było zbyt prawdopodobne. Senator z pewnością na tyle znał się na polityce, by wiedzieć, że głosowanie powszechne nad projektem bioinżynierii przypominało loterię. W tym wszystkim było coś dziwnego. Na początku Horton był uprzejmy, byle słówkiem zbył sprawę referendum, a potem stał się nagle zimny i szorstki. Jakby odgrywał dobrze obmyśloną rolę. Ale to z kolei nie miało żadnego sensu.

“Wspaniale to przyjmujesz - powiedział Myśliciel. - Nie wrywasz włosów z głowy, nie zgrzytasz zębami i nie płaczesz.”

“Och, zamknij się! - uciszył go Poszukiwacz. - Zostaw go w spokoju.”

“Ależ to miał być komplement - upierał się Myśliciel. - Chciałem go wesprzeć moralnie. On dobrze do tego podchodzi. Uroczyście, bez wybuchów emocji. To jedyny sposób, by rozwiązać taki problem. - Myśliciel westchnął. - Chociaż muszę przyznać, że nie rozumiem istoty tego problemu” - dokończył.

“Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Poszukiwacz do Blake’a. - Zgadzam się na każdą decyzję, jaką podejmiesz. Jeśli chcesz na jakiś czas pozostać na tej planecie, ja nie mam nic przeciw. Wytrzymam to.”

“Och, z pewnością. Nie ma problemu - dodał Myśliciel. - Bo czym jest ludzkie życie? Chyba nie chcesz tu zostać dłużej, niż trwa jedno ludzkie życie?”

- Proszę pana - spytał Pokój - czy mam włączyć światło?

- Nie - odpowiedział Blake. - Jeszcze nie.

- Ale już się robi ciemno, proszę pana.

- Nie przeszkadza mi to.

- Czy zje pan kolację?

- Nie. Na razie nie. Dziękuję.

- Kuchnia przygotowuje wszystko, co pan zechce.

- Jeszcze nie jestem głodny. Powiem wam, gdy będzie trzeba.

Powiedzieli mu, że nie mają nic przeciwko, jeżeli zechciałby zostać na Ziemi i spróbować stać się człowiekiem. Ale czy to miałyby sens?

“Mógłbyś spróbować - powiedział Poszukiwacz. - Może ta kobieta zmieniłaby zdanie.”

“Nie sądzę, żeby to było możliwe” - odpowiedział Blake.

I to właśnie było najgorsze. To, że mógł zrozumieć, dlaczego nie zmieni swej decyzji i nie chce mieć nic do czynienia z taką jak on istotą.

Tu nie chodziło tylko o Elaine, choć wiedział, że ona była

najważniejsza. To także kwestia ostatecznego odcięcia się od ludzi, z którymi mógł szukać pokrewieństwa, tęsknoty za domem, którego nigdy nie miał, a którego istnienia domagało się jego człowieczeństwo, rezygnacji z prawa do urodzenia się, zanim mógł się o nie upomnieć.

Wiedział, że te trzy rzeczy są dla niego najważniejsze - dom, prawo do urodzenia się i pokrewieństwo. W głębi serca wiedział też, że nigdy ich nie będzie miał.

Delikatnie odezwał się sygnał telefonu.

- Telefon dzwoni - poinformował go Pokój.

Przesunął się wzdłuż sofy, tak że znalazł się przed ekranem telefonu. Podniósł słuchawkę. Ekran migotał, ale nie ukazała się na nim żadna twarz.

- To będzie rozmowa bez wizji - powiedziała automatyczna telefonistka. - Może pan odmówić odebrania tego telefonu.

- Nie, proszę mówić. Nie robi mi to żadnej różnicy.

Formalny, lodowaty głos bez cienia intonacji powiedział:

- Tu mówi mózg Theodore'a Robertsa. Czy to pan Andrew Blake?

- Tak - odpowiedział Blake. - Jak się pan czuje, doktorze Roberts?

- W porządku. Nie może być inaczej.

- O, przepraszam. Zapomniałem. Nie pomyślałem nad tym, co mówię.

- Nie skontaktował się pan ze mną, więc ja dzwonię do pana. Myślę, że powinniśmy porozmawiać. Wiem, że wkrótce pan odlatuje.

- Tak, statek jest prawie gotowy.

- Leci pan, by się uczyć.

- Tak - odpowiedział Blake.

- Wszyscy trzej?

- Tak, my trzej.

- Często o tym myślałem - powiedział umysł Theodore'a Robertsa - odkąd mnie poinformowano o pańskiej sytuacji. Oczywiście przyjdzie dzień, gdy już nie będziecie różni, ale staniecie się jednym.

- Też o tym myślałem - odparł Blake. - Ale to zajmie dużo, naprawdę dużo czasu.

- Czas nie ma dla pana znaczenia - zauważył umysł Theodore'a Robertsa, - Dla żadnego z was. Macie nieśmiertelne ciało, które można zabić tylko przez całkowite zniszczenie. Ja nie mam ciała i jestem uodporniony na przemoc. Jedyna rzecz, która może mnie zabić, to awaria urządzeń, które utrzymują mój umysł przy życiu. Ziemia także nie ma znaczenia. Chcę, żeby poznał pan wagę tego faktu. Ziemia jest tylko punktem w przestrzeni, małym i nieważnym punktem. Kiedy się zastanowić, to niewiele jest rzeczy we wszechświecie, które naprawdę mają znaczenie. Jeśli szuka pan dominującej siły, to proszę szukać inteligencji.

- A rodzaj ludzki? - zapytał Blake. - Ludzkość? Czy też nic nie znaczył...

- Rodzaj ludzki - dowodził precyzyjny, lodowaty głos - jest odłamkiem inteligencji. Niejako pojedynczy człowiek, niejako istota w ogóle.

- Ale inteligencja... - Blake przerwał, bo widział bezsens tej rozmowy. Nie warto było prezentować swych poglądów tej rzeczy, z którą rozmawiał. Nie mówił z człowiekiem, ale z pozbawionym ciała umysłem, który był równie uprzedzony, jak zwyczajni ludzie. Utracił świat fizyczny, pamiętał go jak przez mgłę, prawdopodobnie tak, jak dorosły przypomina sobie swe dzieciństwo. Umysł Theodore'a Robertsa istniał w

jednowymiarowym świecie, małym świecie o zmiennych parametrach, gdzie wszystko mogło dziać się jedynie jako ćwiczenie intelektualne.

- Co pan powiedział? A raczej, co zamierzał pan powiedzieć?

- Myślę - Blake zignorował pytanie - że mówi mi pan to, bo...

- Mówię to panu, bo wiem, że musi pan być boleśnie doświadczony i szalenie zagubiony. A ponieważ jest pan częścią mnie...

- Nie jestem częścią pana - przerwał mu Blake. - Dał mi pan swój umysł dwa wieki temu. Od tego czasu bardzo się zmienił i to już nie jest pański umysł.

- Myślałem... - zaczął Theodore Roberts.

- Wiem, to miło z pana strony, ale to nie da nic dobrego. Sam sobie poradzę, bo muszę i nie mam innego wyboru. Budowało mnie zbyt wielu ludzi. Nie mogę podzielić się na tyle części, by każdemu oddać jego udział - ani panu, ani biologom dokonującym przepisu pańskiego umysłu na mój mózg, ani technikom, którzy zrobili moje ciało, kości, nerwy.

Zapanowała nieprzyjemna cisza.

- Przepraszam pana - powiedział szybko Blake. - Może nie powinienem tego powiedzieć. Mam nadzieję, że pan się nie gniewa.

- Nie, nie jestem zły. Raczej zadowolony. Już nie muszę się martwić o to, czy moje uprzedzenia nie przeszkadzają panu. Ale za bardzo się rozgadałem, a zamierzam przecież powiedzieć panu coś, co jak myślę, powinien pan wiedzieć. Był jeszcze ktoś drugi. Taki jak pan. Inny syntetyczny człowiek wysłany winnym statku...

- Tak, wiem o tym - powiedział Blake. - Często się zastanawiałem... Co pan o nim wie?

- Ten człowiek wrócił - powiedział umysł Theodore'a Roberts'a.
 - Został przywieziony. Bardzo podobnie jak pan...
 - Czy to znaczy, że został ożywiony na Ziemi?
 - Tak, ale tym razem statek wrócił w kilka lat po odlocie. Załoga była przestraszona tym, co się wydarzyło...
 - Więc moje pojawienie się nie wywołało większego zdziwienia?
 - Myślę, że jednak tak. Nikt nie skojarzył tego z tak odległym wydarzeniem. Niewielu ludzi w Administracji wiedziało o tym. Dopiero na krótko przed pańską ucieczką ze szpitala, po tej konferencji bioinżynierii, zaczęto zastanawiać się, czy nie jest pan tym drugim. Ale zanim coś można było zrobić, pan zniknął.
 - A co z tym drugim? Czy jest nadal na Ziemi? Może Administracja go trzyma?
 - Przykro mi, ale nie wiem - odpowiedział umysł Theodore'a Roberts'a. - Nie wiem, co się z nim stało. Po prostu zniknął.
 - Zniknął! To znaczy, że go zniszczyli?!
 - Nie wiem.
 - Do diabła, musi pan wiedzieć! - krzyczał Blake. - Proszę mi powiedzieć! Pójdę tam i rozszarpie wszystko na kawałki. Znajdę go...
 - To nic nie da. Już go tam nie ma. Już nigdy tam nie będzie.
 - Ale kiedy to było? Jak dawno temu?
 - Kilkanaście lat temu. Dużo wcześniej, niż pana znaleziono.
 - Zaraz... Skąd pan to wie? Kto panu powiedział...
 - Są nas tutaj tysiące i to, co wie jeden, jest dostępne wszystkim. Nic nie można przegapić.
- Blake czuł, jak mrozi go fala bezradności. Drugi człowiek przepadł. Theodore Roberts wie, co mówi. Tylko gdzie? Umarł? Został ukryty? Znowu wysłany w kosmos?

Drugi człowiek, jedyna istota we wszechświecie, z którą mogło go łączyć bliższe pokrewieństwo. A teraz go nie ma.

- Jest pan pewien?

- Tak - odpowiedział Theodore Roberts. - Wraca pan w kosmos? - zapytał po chwili ciszy. - Już pan się zdecydował?

- Tak. Myślę, że już jestem zdecydowany. Na Ziemi nie trzyma mnie nic.

Wiedział, że mówi prawdę. Stracił drugiego syntetycznego człowieka i Elaine. **Senator Horton** kiedyś był przyjacielski, a przy pożegnaniu stał się sztywny i zimny. Theodore Roberts był tylko mechanicznym głosem, odzywającym się z pustki swego jednowymiarowego życia.

- Kiedy pan powróci - odezwał się Theodore Roberts - nadal tu będę. Proszę do mnie zadzwonić, dać znać.

Jeśli wrócę - pomyślał Blake. Jeśli nadal tu będziesz. Jeśli ktokolwiek tu będzie. Jeśli warto będzie wracać na Ziemię.

- Tak - odpowiedział. - Oczywiście. Zadzwonię do pana. Przerwał połączenie. Siedział bez ruchu w ciemnościach i w ciszy. Czuł, że Ziemia oddala się od niego, ucieka, pozostawiając go w samotności.

Ziemia pozostała w tyle. Słońce skurczyło się, ale nadal było Słońcem, a niejedną z wielu gwiazd. Statek spadał w głąb długiego tunelu wektorów grawitacji, które w krótkim czasie zwiększą szybkość maszyny do punktu, w którym gwiazdy wydają się ślizgać na swych orbitach i zmieniać kolory. A potem zacznie się wolne przeniesienie w świat istniejący poza szybkością światła.

Blake siedział w fotelu pilota i oglądał przestrzeń przez zakrzywioną przezroczystą ścianę kabiny. Pomyślał, że jest bardzo cicho. Cicho i spokojnie, bo pustka pomiędzy gwiazdami wolna była od wszelkich wydarzeń. Za chwilę musi wstać i przejść po statku, by zobaczyć, czy wszystko działa jak należy. Z góry wiedział, co zobaczy. W takim statku nie mogło dojść do awarii.

“Wracamy do domu - powiedział Poszukiwacz, cichutko dając Blake’owi znak swego istnienia. - Znowu wracamy do domu.”

“Ale nie na długo - odpowiedział mu Blake. - Na tyle, byś zdążył zebrać dane, na które kiedyś zabrakło czasu. Potem polecimy dalej i będziesz mógł sięgać do innych gwiazd.”

Pomyślał, że będą tak wędrować bez końca, gonić za zbiorami z innych planet, przetwarzać dane przez biologiczny komputer mózgu Myśliciela. Poszukiwać, zawsze szukać danych i wskazówek, które pomogą ułożyć strukturę wszechświata w zrozumiały wzór. Zastanawiał się, co mogą odnaleźć. Może wiele rzeczy, których nikt się nie spodziewał.

“Poszukiwacz nie ma racji - powiedział Myśliciel. - My nie

mamy domu. My nie możemy mieć domu. Zmiennik już to wie. Z czasem uświadomimy sobie, że nie potrzebujemy domu.”

“Statek będzie naszym domem” - powiedział Blake.

“Nie statek - sprzeciwił się Myśliciel. - Jeśli koniecznie chcecie mieć dom, to ostatecznie wszechświat. Cała przestrzeń jest dla nas domem.”

Blake pomyślał, że chyba to chciał mu powiedzieć umysł Theodore’a Robertsa. Powiedział, że Ziemia jest tylko punktem w przestrzeni. I tak jest z innymi planetami i gwiazdami - to tylko punkty energii i materii skoncentrowane w dużych odległościach od siebie. Pomiędzy nimi jest pustka. Roberts powiedział, że inteligencja jest wszystkim, co naprawdę istnieje. Jako jedyna ma znaczenie. Nie samo życie, nie materia, nie energia, lecz inteligencja. Bez inteligencji cała ta rozproszona materia, pulsująca energia, cała pustka nie miały znaczenia. Tylko inteligencja nadawała sens energii i materii.

Pomimo to, myślał Blake, warto było mieć gdzieś jakąś przystań w tej bezkresnej pustce. Móc, choćby we własnym umyśle, wskazać jakiś konkretny punkt i powiedzieć: to mój dom. Mieć miejsce, z którym nas coś wiąże, jakiś punkt odniesienia.

Siedząc teraz w fotelu i oglądając kosmos z wnętrza statku, przypomniał sobie tę chwilę w kaplicy, kiedy po raz pierwszy zrozumiał swą bezdomność. Nie mógł do niczego należeć: ani do Ziemi, ani do niczego innego. Chociaż z Ziemi, nie był jej prawdziwym synem; choć w ludzkiej postaci, nie był nigdy człowiekiem. Uświadomił sobie, że tamta chwila dała mu coś jeszcze: pewność, że bezdomność nie może mieć znaczenia dla niego, istoty, która nigdy nie będzie sama. Miał ich dwóch. Nawet jeszcze więcej. Miał cały wszechświat, wszystkie myśli i fantazje,

każdy zrodzony kiedykolwiek wytwór intelektu.

Pomyślał, że Ziemia jednak mogła być jego domem. Miał prawo tego oczekiwać. To tylko punkt w przestrzeni, maleńka drobina w kosmosie. Nie jest ważne, jak była mała. Człowiek potrzebował takiego sygnału wzywającego do domu jak latarnia morska. Człowiek z Ziemi coś znaczył, miał tożsamość. Człowiek wszechświata ginął wśród gwiazd.

Usłyszał ciche kroki. Poderwał się i odwrócił.

W drzwiach stała Elaine Horton.

Ruszył szybko do przodu i nagle zatrzymał się, jakby rażony jakąś myślą.

- Nie! - krzyknął. - Nie! Ty nie wiesz, co robisz.

Pasażer na gapę - śmiertelny na nieśmiertelnym statku. Nie chciała z nim rozmawiać, nie...

- Wiem, co robię - powiedziała. - Jestem tu, gdzie moje miejsce.

- Android - stwierdził z goryczą. - Syntetyczny człowiek przysłany po to, by mnie uszczęśliwił. A tymczasem prawdziwa Elaine...

- Andrew - przerwała łagodnie. - Ja jestem prawdziwą Elaine. Uniósł ręce w geście niedowierzania, a ona znalazła się nagle w jego ramionach i przytuliła do niego. Drżał ze szczęścia na myśl, że ona jest z nim, że ma kogoś ludzkiego, kogoś bliskiego i bardzo szczególnego.

- Ale ty nie możesz! - krzyknął. - Nie możesz, bo nie znasz prawdy. Ja nie jestem człowiekiem. Nie zawsze jestem taki jak teraz. Czasami zmieniam się w inne rzeczy,

- Ja wiem to wszystko. - Podniosła głowę i patrzyła na mego. - Ty nie rozumiesz. Ja jestem tym drugim. Drugim z nas.

- To był jakiś mężczyzna - powiedział. - To był...

- To nie był drugi mężczyzna. To była kobieta. Jako druga była

kobieta.

Pomyślał, że to proste. Theodore Roberts nie wiedział nic dokładnie i uznał, że to był drugi mężczyzna.

- A Horton? Jesteś jego córką. Potrząsnęła przecząco głową.

- Elaine Horton istniała naprawdę- powiedziała - ale umarła. Popełniła samobójstwo. To było straszne. Z jakichś okropnych powodów. To by zniszczyło karierę senatora.

- Więc ty...

- Właśnie tak. Ja nic o tym nie wiedziałam. Kiedy senator zaczął poszukiwać zapisów o starym planie "Wilkołak", dowiedział się oczywiście i o mnie. Uderzyło go moje podobieństwo do jego córki. Ja w tym czasie byłam już od lat w stanie hibernacji. Jesteśmy bardzo niegrzecznymi ludźmi, Andrew. Wcale nie zachowywaliśmy się tak, jak oni tego od nas oczekiwali.

- Wiem, wiem. I cieszę się z tego powodu. Więc przez cały czas wiedziałaś, że...

- Nie, dopiero ostatnio. Widzisz, senator miał Administrację o parę kroków, więc po śmierci córki poszedł do nich szalony z bólu i zrozpaczony na myśl o utraconej karierze. Oni chcieli zachować eksperyment w tajemnicy, więc dali mu mnie. Myślałam, że jestem jego córką, kochałam go jak ojca. Zrobili wszystko, co było możliwe, bym w to uwierzyła. Zrobili mi pranie mózgu, uzależnianie.

- Senator musiał wiele przejść. Najpierw śmierć córki, potem ty, jakby w zastępstwie...

- On był dość silny, by to znieść - oświadczyła. - To kochany człowiek, najwspanialszy ojciec, tylko w polityce staje się bezwzględny.

- Kochałaś go.

- Tak, Andrew. Tak to jest. I nadał uważam go za swego ojca. Z wielu powodów. Nikt się pewnie nie dowie, ile kosztowało go wyznanie mi prawdy.

- A ty? Ciebie też coś to kosztowało.

- Czy nie rozumiesz? Nie mogłam zostać. Od kiedy wiedziałam, po prostu nie mogłam zostać. Też bym była monstrem, podobnie jak ty. To życie bez końca. A co bym zrobiła po śmierci senatora? Co by tam dla mnie zostało?

Pokiwał ze zrozumieniem głową. Myślał o dwóch osobach, o dwojgu ludzi stojących przed tą samą decyzją.

- A oprócz tego - ciągnęła - należę do ciebie. Myślę, że wiedziałam to już wtedy, gdy zabłądziłeś do naszego domu, cały przemoczony i zmarznięty. Wiedziałam od pierwszej chwili.

- Senator powiedział mi...

- Że nie chcę ciebie widzieć i z tobą rozmawiać.

- Ale dlaczego? - pytał. - Dlaczego?

- Próbowali cię wystraszyć. Bali się, że nie będziesz chciał lecieć, że przyłgniesz na zawsze do Ziemi. Chcieli, żebyś myślał, że już nic dla ciebie nie pozostało na Ziemi. Senator, umysł Theodore'a Robertsa i wszyscy inni. Zrozum, musieliśmy lecieć. Jesteśmy narzędziami wytworzonymi przez Ziemię i danymi wszechświata w prezencje. Jeśli inteligencje wszechświata mają kiedykolwiek dowiedzieć się, co się dzieje, co było kiedyś i co się zdarzy, to my możemy w tym pomóc.

- Więc należymy do Ziemi? Ziemia nas uznaje?

- Oczywiście - powiedziała. - Teraz wiedzą o nas i są z nas dumni.

Trzymał ją w objęciach i wiedział, że wreszcie Ziemia jest jego domem i na zawsze nim pozostanie. Ludzkość będzie z nimi, gdziekolwiek się znajdą. Byli rozszerzeniem ludzkości, jej dłońmi

i umysłami sięgającymi tajemnic wieczności.